



# *Nichols Mary*



# *Prawdziwa dama*

# *Prolog*

*1817 r.*

Wszyscy poza Maddy zakończyli już swoje obowiązki. Wy-  
chodząca z kuchni kucharka rzuciła na odchodne:

- Ruszaj się szybciej, bo zanim skończysz, wstanie świt i znów  
zacznie się robota.

Ostatni goście wyszli przed godziną, natomiast lord i lady Bulford,  
ich dwie córki Hortense i Annabel oraz panicz Henry udali się do  
swoich pokoi, nie dbając o to, że jedna ze służących pozostała sama z  
ogromną stertą brudnych naczyń.

Gdy wreszcie uporowała się z robotą, Maddy znów pomyślała, że  
gdyby nie tragiczna śmierć matki, nie musiałyby harować jak  
niewolnica. Mama wpadła pod powóz na Oxford Street, gdy wybrała  
się po wstążkę do sukni, którą właśnie szyła. Była dobrą krawcową i  
gdyby nie ten wypadek, córka odziedziczyłaby po niej zawód i  
pracownię.

Wszyscy nazywali to tragicznym wypadkiem, ale w dniu pogrzebu  
Maddy podsłuchiwała sąsiadów, którzy mówili, że powożący  
karykiem młody dandys z pijacką brawurą popędzał konie i doszło  
do tragedii. Był jednak arystokratą, do tego pijanym, co, jak widać,  
usprawiedliwiało fakt, że pozbawił matki dziewięcioletnie dziecko.

Najgorsze jednak było to, że Maddy nie miała również ojca, a w  
każdym razie nic o nim nie wiedziała, toteż wysłano ją do sierocińca  
przy Monmouth Street, gdzie przebywały dzieci żołnierzy, którzy  
zginęli na wojnie. Zapewne więc jej ojciec był żołnierzem, ale nie  
miała pewności, bo matka nigdy o nim nie wspominała.

Gdy skończyła dwanaście lat, wysłano ją na służbę do lady  
Bulford. Kuchnia w domu przy Bedford Row stała się całym jej  
światem na długie dwa lata, a każdy następny dzień był taki jak  
poprzedni. Maddy nie miała tu żadnej bratniej duszy, bo reszta  
służby traktowała ją z wyższością ze względu na to, skąd przyszła,

choć przecież nie była to jej wina. Co najwyżej besztano ją lub udzielano życiowych porad, jak to głupiej niemocie z sierocińca. Miała wolne tylko dwie godziny w niedzielę po południu. Spacerowała wówczas po parkach, udając, że jest damą, a dama, jak wiadomo, ma tylko jeden obowiązek, czyli pięknie wyglądać i zwrócić na siebie uwagę jakiegoś przystojnego młodzieńca, który porwie ją i zapewni życie w luksusie, jakim cieszyli się Bulfordowie.

Za bardzo lubiła marzyć. Kucharka często ją za to strofowała, ale co oprócz marzeń mogło ożywić jej dni? Marzyła i teraz. Przykucnięta przed piecem, wpatrywała się w resztki żaru, modląc się o cud przemiany kuchty w damę.

Coś wyrwało ją z zamyślenia. W drzwiach stał panicz Henry odziany w nocną koszulę, na którą narzucił pikowany szlafrok. Pośpiesznie podniosła się na nogi i dygnęła.

- Kim jesteś? - zapytał Henry.

- Nazywam się Maddy, sir.

- To niezwykle imię. - Gdy się uśmiechnął, w jego ciemnych oczach błysnęła iskra humoru.

Uznała, że jest bardzo przystojny.

- To zdrobnienie od Madeleine, sir. - Odkąd tu przybyła, nazywano ją Maddy, uznawszy, że Madeleine jest zbyt wyszukany imieniem dla kuchty.

- Od jak dawna tu pracujesz?

- Od samego rana, sir.

- Pytałem, od jak dawna pracujesz dla naszej rodziny?

- Od dwóch lat, sir. Czy mogę coś dla pana zrobić? Dokładnie otaksował ją wzrokiem.

- Możesz, oczywiście że możesz.

- A co takiego?

- Hm... Zszedłem na dół po szklanek mleka. Nie mogę zasnąć.

Poszła do spiżarni, gdzie na chłodnej posadzce stał dzbanek z mlekiem.

- Czy mogłabyś je podgrzać? Wolałbym ciepłe. - Gdy znów rozniecała ogień, Henry nie spuszczał z niej wzroku. - Jesteś bardzo

ładna, wiesz o tym?

- Nie. - Na jej policzki wypełzł rumieniec. - Nie powinien pan mówić takich rzeczy, sir.

- Dlaczego nie, skoro to prawda? Założę się, że kręci się wokół ciebie wielu chłopaków.

- Nie, sir. Jestem jeszcze zbyt młoda na to, by chłopcy kręcili się wokół mnie, a poza tym nie wolno mi się z nimi spotykać. - Gdy tylko pojawiła się w tym domu, lady Bulford postawiła sprawę jasno. Dwunastoletnia Maddy nie zrozumiała, w czym rzecz, ale od tamtej pory zdążyła wiele usłyszeć o świecie, a w szczególności o młodych mężczyznach, i ta nowo nabyta wiedza bez wątpienia zaszokowałyby jej matkę, gdyby jeszcze żyła.

- Ile masz lat?

- Czternaście.

- Mój Boże! Jesteś wyrośnięta jak na swój wiek. Widocznie moja matka dobrze cię karmi.

Nie miała ochoty ujawniać, że dojada resztki nawet nie ze stołu Bulfordów, lecz ze stołu służących. Była osobą od czarnej roboty i w hierarchii znajdowała się ledwie o jeden stopień wyżej od psów i kotów, które mieszkały na podwórzu i były karmione jako ostatnie.

Przełała mleko do szklanki.

- Proszę, sir. Mam nadzieję, że będzie pan lepiej spał.

- Z pewnością. Dobranoc, Maddy.

- Dobranoc, sir.

Zniknął, ona zaś zajęła się wygaszaniem ognia. Coś takiego! Syn pana zwrócił na nią uwagę i pochwalił jej urodę. Czy naprawdę jest ładna? Mama zawsze powtarzała, że tak. Szyła jej piękne sukienki i szcnotkowała gęste włosy, aż zaczynały lśnić jak jedwab. Było to jednak dawno. Teraz Maddy nosiła mundurek służącej i zwykle była tak zmęczona, że przejeżdżała tylko grzebieniem po włosach, by je rozplatać.

Gdyby mama żyła, wciąż mieszkałyby w małym mieszkanku nad pracownią krawiecką, która zapewniała im życie na przyzwoitym poziomie, a Maddy uczyłaby się szyć suknie, pelisy, ładną bieliznę i

kapelusze. Mama mówiła, że wyrobią sobie nazwisko, zostaną najlepszymi szwaczkami w Londynie i największe damy będą stały w kolejce po stroje od madame Charron i jej uroczej córki. Oczywiście nie nazywały się Charron, lecz Cartwright, mama jednak twierdziła, że francuskie nazwisko brzmi lepiej.

Porzuciła marzenia i powlokła się na strych, gdzie mieszkali służące. Jej pokój znajdował się w rzędzie innych, mniej lub bardziej wygodnych, w zależności od statusu lokatorki. Była już w łóżku, gdy nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął panicz Henry w nocnej koszuli.

Usiadła wyprostowana, z zaskoczenia nie zdołała wykrztusić ani słowa.

- Nie bój się, mała. - Z uśmiechem zamknął za sobą drzwi. - Wciąż nie mogę zasnąć.

- Mam zejść na dół i przynieść panu jeszcze mleka? - Pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, to tej nocy w ogóle nie zaśnie.

- Nie, moja droga Madeleine. - Usiadł na brzegu łóżka i wziął ją za rękę. - Sądzę, że udałoby mi się zasnąć, gdybym mógł się do ciebie przytulić.

- Sir! - Maddy była zaskoczona i zmieszana, a jednocześnie w dziwny sposób podniecona. Serce waliło jej głośno i nie potrafiła wydobyć z siebie nic oprócz tego stłumionego okrzyku.

Henry znów się uśmiechnął.

- Jesteś taka ciepła i piękna, masz ciało bogini. Nie mogłem zasnąć, bo myślałem o tobie. Chcę cię dotykać, czuć cię przy sobie, całować. - Pochylił nad nią twarz. Usta miał miękkie i wilgotne, pachniał winem i brandy. Jego dłonie rozpoczęły wędrówkę po jej ciele. Podciągnął koszulę nocną i siłą rozsunął nogi.

Maddy wiedziała, że to, co on próbuje zrobić, jest złe. W sierocińcu i od służących słyszała o męskim pożądaniu, napominano ją, by za wszelką cenę strzegła dziewictwa, nim na jej palcu znajdzie się ślubna obrączka. Mówiono jej, że to najgorszy grzech, podawano przykłady dzieci, których matki nigdy nie wyszły za mąż. Takie dzieci, nazywane bękartami, rodziły się, gdy dziewczyna spała w

jednym łóżku z mężczyzną przed nocą poślubną. Czasami również i ją nazywano bękartem, kimkolwiek bowiem był jej ojciec, matka prawdopodobnie nigdy nie wzięła z nim ślubu. Wtedy Maddy reago-  
wała wściekłością, mówiła, że jej ojciec był bohaterem i zginął,  
walcząc za swój kraj.

Jednak dopiero teraz w nagłym przeblysku zrozumiała gadaninę  
służących. To, co się działo, to nie była fantazja ani wymarzony cud.  
To był koszmar.

- Nie! - krzyknęła, szamocąc się gwałtownie. - Nie wolno!

- Nie wolno? - Przygniótł ją swoim ciężarem. - Droga Madeleine,  
kimże jesteś, by mówić, co mi wolno, a czego nie? Robię, co chcę, a ty  
jesteś służącą i masz mnie słuchać. Nie chcesz chyba, byśmy cię  
zwolnili bez referencji, prawda?

- Mógłby pan mi to zrobić? - spytała z lękiem.

- Oczywiście, jeśli nie będziesz posłuszna. - Ukrył twarz w  
zagłębieniu między jej piersiami.

- Jestem porządną dziewczyną - powiedziała bezradnie, wciąż  
próbując się uwolnić. - Proszę mnie puścić!

- Puszczę cię, gdy z tobą skończę. - Już się nie uśmiechał, tylko  
patrzył na nią z ponurą determinacją, która w dziwny sposób  
zwiększyła opór Madeleine. Gdyby Henry nadal zasypywał ją  
komplementami, szeptał czułe słówka i traktował delikatnie,  
wówczas, mimo ceny dziewictwa, być może by mu uległa. Pragnęła  
być kochana, chciała, by ktoś wreszcie dostrzegł w niej ludzką istotę  
obdarzoną uczuciami, potraktował z czułością. Jednak Henry,  
nieprzywykły do tego, by czegokolwiek mu odmawiano, wpadł w  
złość, i to sprawiło, że ona również dostała furii.

Z całej siły wymierzyła mu cios w podbrzusze, a gdy zsunął się z  
niej z jękiem, wypadła na korytarz, a potem na schody, szukając  
bezpiecznego schronienia w kuchni. Nim jednak zdążyła tam  
dotrzeć, na podeście zderzyła się z lordem Bulfordem, który wyszedł  
z sypialni, by sprawdzić, co to za zamieszanie.

- Pali się? - zawołał gromko.

- Nie, sir.

- Więc co się tu dzieje?

- Pański syn jest w moim pokoju - wyjaśniła Maddy. - Chciał... nie powinien był...

- Mój syn? Nie opowiadaj bzdur, ty mała błaźnico. Niby co panicz Henry miałby robić w twoim pokoju?

- George, co się tu dzieje? - Lady Bulford dołączyła do męża. Maddy pomyślała, że odziane w nocne stroje lordostwo nie wygląda tak dostojnie jak zazwyczaj.

- Ta bezczelna dziewczucha oskarża Henry'ego o to, że przyszedł do jej pokoju!

Milady obrzuciła kuchnię taksującym wzrokiem i z niesmakiem wykrzywiła usta.

- Postradała rozum! Albo pomyliła Henry'ego z którymś z lokajów. A skoro przyjmowała ich w swoim pokoju, to możemy zrobić tylko jedno...

- Nikogo nie przyjmowałam w swoim pokoju! - wykrzyknęła Maddy. - Syn jaśnie państwa przyszedł do mnie bez zaproszenia. Czy naprawdę sądzisz, milordzie, że mogłabym pomylić panicza Henry'ego z kimś innym? Zszedł do kuchni po mleko, a potem zszedł, aż pójdę na górę, i przyszedł do mnie.

- Dobry Boże! Co za bezczelność! - zawołała lady Bulford. - Henry miałby zainteresować się takim czymś! Przyznaj się, co zamierzałaś osiągnąć, wymyślając tę historyjkę? Chodziło o pieniądze?

- Nie, pani. Chcę tylko, by pozwolono mi wrócić do łóżka i by nikt więcej nie przychodził do mojego pokoju - odrzekła Maddy, wyraźnie wymawiając każde słowo, tak jak nauczyła ją matka. - Milady, czy mogłaby pani powiedzieć swojemu synowi, że jego względy nie są mile widziane?

- Na Boga! Dość tego! - Twarz Bulforda poczerwieniała z oburzenia. - Chcesz wrócić do łóżka, tak? A czy mogę zapytać, z kim?

- Z nikim. Jestem zmęczona. Pracowałam przez cały dzień...

- No cóż, jeśli uskarżasz się na przepracowanie, łatwo możemy temu zaradzić - stwierdziła lady Bulford. - Natychmiast się spakuj i opuść ten dom. Nie potrzebujemy już twoich usług.

- Przecież nic złego nie zrobiłam!

- Rzucanie fałszywych oskarżeń pod adresem mojego syna jest złe. Bezcelne odnoszenie się do chlebodawców jest złe. Narzekanie na pracę też jest złe. Przecież wszyscy wiedzą, że odnoszę się do służby bardzo wyrozumiale.

- A do tego bieganie po domu w środku nocy w nocnej koszuli - dodał lord Bulford, obrzucając jej sylwetkę wzrokiem pełnym uznania.

- Ja tylko uciekałam...

- W takim razie możesz stąd uciec na dobre. Wolno ci wrócić teraz do łóżka, ale gdy zejdziesz na śniadanie, ma cię już tu nie być.

- Dokąd pójdę, panie?

- Możesz wrócić tam, skąd przyszłaś. I nie spodziewaj się, że dostaniesz referencje.

- Błagam, panie...

- Dość! Zniknij mi z oczu, zanim wyrzucę cię z domu w ciemną noc.

Zapłakana Maddy wróciła do siebie i rzuciła się na łóżko. Na szczęście niechciany gość już sobie poszedł. Dlaczego nikt jej nie uwierzył? To było niesprawiedliwe! Dokąd miała pójść, jak żyć, do kogo się zwrócić? Nie mogła wrócić do sierocińca, była już na to za stara. Czy pozostawał jej tylko przytułek dla ubogich?

Gdyby Henry Bulford miał choć odrobinę wstydu, powinien przyznać się do swego postępków i oczyścić ją z zarzutów, wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Należał do arystokracji, a tacy ludzie mieli mnóstwo pieniędzy i sądzili, że dzięki temu wolno im robić, co tylko zechcą. Młody dandys, który zabił jej matkę, był taki sam. Ona zaś znajdowała się na samym dnie hierarchii społecznej i nikt się z nią nie liczył.

Stopniowo jednak rozpacz zaczęła przechodzić w gniew, dzięki czemu Maddy poczuła się silniejsza. Nie, nie pozwoli się zgnębić! Była równie dobra jak oni, a nawet lepsza, i zamierzała to udowodnić. Któregoś dnia pokona ich i będą musieli uznać, że jest im co najmniej równa. Jeśli po drodze zdarzy jej się rozdeptać kilku arystokratów, tym lepiej, a jeżeli jednym z nich okaże się Henry



**Bulford, to znakomicie. Nie wiedziała jeszcze, jak tego dokona ani ile czasu jej to zajmie, była jednak pewna, że nikt ani nic nie stanie jej na drodze. Zamierzała urzeczywistnić swe marzenia: chciała zostać damą. A moc, by to osiągnąć, będzie czerpać z nienawiści do arystokracji, w której szeregi zamierzała wtargnąć.**

SR

# *Rozdział pierwszy*

*1827 rok*

Gdy ostatni akt sztuki dobiegł końca, sala rozbrzmiała aplauzem. Aktorzy kilkakrotnie wychodzili przed kurtynę i kłaniali się publiczności, choć było oczywiste, że owacja przeznaczona jest przede wszystkim dla pięknej panny Madeleine Charron. Wszyscy mężczyźni z towarzystwa po prostu oszaleli na jej punkcie. Duncan Stanmore, markiz Risley, nie był tu wyjątkiem.

- Sam nie wiem, co podziwiam bardziej, jej urodę czy talent aktorski - powiedział do przyjaciela, Benedicta Willoughby'ego.

- Jeśli wpadła ci w oko, to najlepiej z góry przygotuj się na porażkę - stwierdził Benedict. - W odróżnieniu od innych aktorek panna Charron jest bardzo wybredna.

- Mówisz tak tylko dlatego, że w zeszłym tygodniu dała ci kosza.

- Nie tylko ja zostałem odprawiony, bo odrzuciła wszystkie zaproszenia. Słyszałem jednak, że w zeszłym tygodniu wybrała się na przejażdżkę z sir Percivalem Ponsonbym, więc pewnie nie jest aż tak niedostępna.

- Sir Percy to łagodny, starszy dżentelmen. Nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Nie twierdzę, że jest niebezpieczny, ale sam chyba przyznasz, że to stary dziwak. Ma sześćdziesiątkę na karku, a wciąż nosi te nedorzeczne stroje!

- Ma doskonałe maniery i wie, jak należy traktować młodą kobietę. Poza tym wiesz przecież, że zawsze miał słabość do aktorek, które z kolei doceniają jego galanterię i czują się przy nim bezpiecznie. On zaś nie stanowi żadnego zagrożenia, bo jest zaprzysięgłym kawalerem.

- Dobry Boże, co ja słyszę? Chyba nie zamierzasz zaciągnąć jej do ołtarza?

- Nie bądź głupi, Willoughby. Mój szanowny ojciec dostałby

apopleksji. Lecz tak czy siak, zaproszę ją na kolację.

- Jasne, tylko pomachasz jej przed nosem tytułem i majątkiem, a ona padnie ci do stóp.

- Niczym nie będę machał. Zrobię to, nie ujawniając się ani z tytułem, ani z majątkiem.

- Kiedy?

- W ciągu najbliższego tygodnia. Mogę się założyć o dwadzieścia pięć funtów.

- Stoi.

Gdy wyszli na ulicę, Duncan wyciągnął z sakiewki kilka gwinei i potrząsnął nimi przed kwiaciarką.

- Biorę wszystkie. - Wrzucił monety do koszyka. - Proszę zanieść kwiaty do garderoby panny Charron.

Kwiaciarka obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Czy mam przekazać jakąś wiadomość, sir?

- Nie, zanieś tylko kwiaty. Zrób to samo każdego wieczoru aż do końca tygodnia. - Dorzucił garść monet i zwrócił się do Benedicta: - Chodź, Willoughby. Stawiam kolację u White'a, a potem możemy zagrać w karty.

- Nie wybierasz się za kulisy?

- Mam stać w kolejce razem z tymi wszystkimi, którzy mają nadzieję, że panna Charron ich zauważy? Nic z tego.

Benedict, który przywykł już do dziwnych metod działania przyjaciela, wzruszył ramionami i poszedł za nim do klubu.

Pod koniec tygodnia do teatru dostarczono niewielką paczuszkę zaadresowaną na nazwisko panny Madeleine Charron. W środku znajdował się kolczyk z brylantem i nieopatrzona podpisem karteczka z takim oto przesłaniem:

*Dostaniesz drugi, jeśli wybierzesz się ze mną w poniedziałek na kolację. Mój powóz będzie czekał po spektaklu przy tylnym wyjściu z teatru.*

Jeśli nieznany ofiarodawca chciał ją w ten sposób zaintrygować, to plan się powiódł. Co prawda przywykła do otrzymywania kwiatów od wielbicieli, a także egzaltowanych miłosnych liścików, czemu

towarzyszyła nadzieja na wspólną kolację, jednak cała zawartość koszyka kwiaciarce każdego wieczoru, przez cały tydzień, a potem kolczyk, tak piękny, że na jego widok ścisnęło ją w gardle - to było coś zupełnie innego. Ten wielbiciel różnił się od wszystkich pozostałych.

- Jest bogaty - na widok błyskotki zauważyła przyjaciółka Madeleine, Marianne Doubleday. Wkraczała już w wiek średni, była jednak doskonałą aktorką. Siedem lat wcześniej przez kilka miesięcy udawała bogatą, świetnie urodzoną damę i cała śmietanka towarzyska Londynu złapała się na haczyk. - Na pewno nie wiesz, od kogo?

- Nie mam pojęcia.

- Pójdiesz z nim na kolację?

- Nie wiem. Kimkolwiek jest, wydaje się bardzo pewny siebie.

- Niewątpliwie oznacza to, że jest arystokratą, a przecież właśnie na tym ci zależy, czyż nie?

Zaprzyjaźniły się przed kilkoma laty, kiedy Maddy dołączyła do trupy jako krawcowa, a gdy zaczęła stawiać pierwsze kroki na scenie, Marianne uczyła ją grać, emitować głos tak, by każdy szept był słyszalny nawet na galerii, poruszać się z wdziękiem, używać dłoni i oczu w taki sposób, by wyrażać pożądane emocje, a zarazem ukryć swe prawdziwe myśli, uważnie słuchać rozmów i wychwytywać ukryte za słowami treści. Uczyła ją też, jak poruszać się w świecie dobrze urodzonych. W dużej mierze to dzięki tym naukom Maddy udało się zdobyć tak wysoką pozycję.

W rewanżu zwierzyła się jej, że pragnie zostać damą. Marianne nie wyśmiała tych ambicji, wszak szlachetnie urodzeni mężczyźni czasem żenili się z aktorkami, ostrzegała jednak przed trudnościami czyhającymi na tej drodze. Takie pary zwykle wykluczano z towarzystwa, a życie damy wcale nie przypominało bajki, bowiem bogactwo i status niosły z sobą również obowiązki.

- Poza tym rodzice młodego milorda będą piętrzyć przed wami przeszkody - ostrzegała - i nie zawahają się przed użyciem wszelkich środków. Oczywiście będą mieli już jakąś kandydatkę na narzeczoną

dla swego syna, chyba że zagniesz parol na kogoś starszego, najlepiej wdowca z dziećmi.

- Nie, to mi nie odpowiada. - Maddy skrzywiła się. - Chcę, żeby ludzie mi zazdrościli, a także by mnie podziwiali i traktowali poważnie. Chcę mieć wspaniały dom, powóz i służbę. Wtedy nikt nie ośmieli się traktować mnie jak istotę niższego rzędu.

- Masz wysokie wymagania, Maddy. Dobrze ci radzę, bierz to, po co sięgnąć możesz, i ciesz się tym, zamiast marzyć o gwiazdce z nieba.

Choć Marianne знаła ambicje Maddy, nie wiedziała, co się za nimi kryło. Nie miała pojęcia, że młodą przyjaciółkę wciąż ogarnia wściekłość na samą myśl o Henrym Bulfordzie i jego bezdusznych rodzicach. Upływ czasu nie zmniejszył zajadłej niechęci. Przez wszystkie lata, gdy musiała walczyć o przetrwanie, pielęgnowała w sobie pragnienie... czego? Zemsty? Nie, nie o to chodziło. Henry Bulford zdążył już odziedziczyć tytuł i ożenić się, a Maddy wcale nie zamierzała niszczyć mu rodzinnego życia. Gdy kiedyś, po spektaklu, znaleźli się na tym samym przyjęciu, nawet jej nie poznał. Dlaczego jednak miałby skojarzyć bladą, chudą dziewczynę z kuchni, którą próbował zgwałcić, z piękną aktorką, która podbiła cały Londyn?

Od tamtej pory wiele wody przepłynęło pod Mostem Londyńskim. Niektóre z tych lat były tak okropne, że Maddy wołałaby o nich zapomnieć, z drugiej jednak strony pamięć o nich wzmacniała jej determinację. Poradziła sobie ze wszystkimi przeszkodami, jakie rzucał jej pod nogi los, choć bywała bliska załamania. Głodowała, zebrała, a nawet musiała kraść, by przeżyć - cóż, żaden powód do chwały. Wreszcie znalazła posadę szwaczki, co dało jej nędzną bo nędzną, ale jednak stabilizację. Praca trwała od świtu do nocy, płacono grosze, stać ją było jedynie na okropną norę w roli mieszkania.

Zyskała więc tylko szansę na przetrwanie, co przytłumiło jej ambicje, lecz oto pewnego dnia 1820 roku - pamiętała datę, bowiem zdarzyło się to wtedy, gdy król usiłował rozwieść się z żoną, stając się obiektem drwin w całym kraju - otrzymała zamówienie na

kostium teatralny dla trupy z Covent Garden. Zlecenie było pilne i Maddy sama zaniósła kostium w drodze do domu.

Aktorzy świętowali akurat sukces ostatniej premiery. Szefem trupy był Lancelot Greatorex. Jego dziwny strój i ekstrawaganckie zachowanie zafascynowały Maddy. Widząc jej źle skrywaną ciekawość, zapytał, czy jest aktorką.

- Nie, skądże - odparła spłoszona.

- Skąd wiesz, że nią nie jesteś?

- Ależ proszę pana! Nigdy w życiu nie stałam na scenie.

- Nie musisz być na scenie, by grać rolę. Wszyscy to robimy od czasu do czasu. Chyba nie powiesz, że nigdy nie fantazjowałeś? Nigdy nie udawałeś, że jesteś kimś innym niż w rzeczywistości?

- Nie myślałam o tym w ten sposób.

- Ładnie się wyrażasz. Jak zarabiasz na chleb?

- Jestem krawcową.

- Zwykłą szwaczką czy dobrą krawcową?

- Ten kostium w całości wyszedł z moich rąk.

- Widzę, że potrafisz szybko pracować.

- Tak, proszę pana.

- Ile zarabiasz?

- Sześć funtów rocznie, proszę pana.

- Mogę ci zaoferować dwa razy tyle.

- Och, nie sądzę, bym potrafiła grać, proszę pana.

- Aktorek mamy na pęczki, ale dobra krawcowa to skarb. Czy chciałabyś dołączyć do mojej grupy i szyć kostiumy? Miewamy kłopoty z zakładami krawieckimi, a ty byłabyś na miejscu.

Zgodziła się bez wahania. Odpowiadał jej cygański styl życia, bo tak pracowały teatry, najważniejsze jednak, że jej ambicje odżyły. Jeśli chciała zdobyć lepszą pozycję w życiu, zagrać rolę, do której nie została urodzona, nie było lepszego miejsca niż teatr, by się tego nauczyć.

Szyła, naprawiała i prasowała kostiumy, aż wreszcie awansowała na osobistą garderobianą Marianne Doubleday. Dużo rozmawiały z sobą, więc przez cały czas uczyła się czegoś nowego, a kiedy wyszło

na jaw, że umie czytać, powierzono jej rolę suflerki. Co więcej, w razie potrzeby dawała zastępstwa na scenie. I tak odeszła w zapomnienie Maddy, a narodziła się aktorka Madeleine Charron.

Lecz czy to jej wystarczało? Czy to było spełnienie jej marzeń? Czy nadal pragnęła zostać damą, nie taką z marzeń czy sztuk, ale prawdziwą? Czy mogło jej się to udać? A może, jak mówiła Marianne, równie dobrze mogłaby sięgać po gwiazdkę z nieba?

Uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Sądziś więc, że nie powinnam przyjmować tego zaproszenia?

- Jak chcesz. To tylko zaproszenie na kolację, które do niczego nie zobowiązuje.

- Zapewniam cię, Marianne, że niczego więcej nie zamierzam oferować.

Wielokrotnie już przyjmowała podobne zaproszenia od wielbicieli i zawsze zastanawiała się, czy to jest właśnie ten mężczyzna, który spełni jej marzenia, ale nim wieczór dobiegł końca, nieodmiennie przekonywała się, że nie. Przyczyny były różne: brak tytułu szlacheckiego, zbyt młody lub zbyt zaawansowany wiek, brak urody czy wrodzona głupota, co odbiłoby się na potomstwie, nadmierna gadatliwość lub milczkowatość... Niektórzy zaś, szczególnie żonaci, zainteresowani byli jedynie tym, czego w żaden sposób nie zamierzała im dać, bo nie widziała się w roli przelotnej miłostki.

- Uważaj, Maddy, żeby nie uznano cię za flirciarę - przestrzegła ją przyjaciółka.

- Nie obawiaj się, Marianne. Dałaś mi dobrą szkołę.

W poniedziałek wieczorem Maddy spędziła przed lustrem znacznie więcej czasu niż zwykle. Zawsze szczyciła się dobrym smakiem, a ponieważ była doskonałą krawcową, jej suknie, choć nieliczne, były z najlepszych materiałów i znakomicie uszyte. Myśl, że śmiało może się równać z kobietami, które stały od niej wyżej w hierarchii społecznej, dobrze wpływała na jej samopoczucie.

Wybrała kreację z błękitnego jedwabiu z obcisłym gorsetem gładko opinającym kształty i rozkloszowaną spódnicą. Suknia miała krótkie, bufiaste rękawy i duży, wykładany kołnierz wokół głęboko

wyciętego dekoltu, z którego wyłaniały się kremowe ramiona i szyja. Zamierzała też włożyć naszyjnik, lecz po, namyśle wpięła tylko w ucho kolczyk. Potem narzuciła na ramiona ciemnoniebieski aksamitny szal i wyszła na ulicę.

Przed teatrem stał piękny powóz, choć w słabym świetle latarni ulicznych nie sposób było określić jego koloru. W środku nikogo nie dostrzegła. Może wielbiciel przysłał tylko pojazd, który miał ją gdzieś zabrać? To by się jej nie spodobało. Zatrzymała się, owinęła mocniej płaszczem i czekała, aż ktoś inny wykona pierwszy ruch.

Z drzwi powozu wysunęła się dłoń z kolczykiem, takim samym jak ten, który miała w uchu.

- Jeśli podejdziesz bliżej, moja droga, założę ci drugi. Jesteś piękna, ale wyglądasz trochę niesymetrycznie.

- Czy obawiasz się pokazać swoją twarz, panie?

- W żadnym razie.

Z powozu wyskoczył młody mężczyzna. Ubrany był w modny wieczorowy strój: czarny frak, purpurową kamizelkę z aksamitu i białą koszulę. Gdy zdjął cylinder i się uklonił, Maddy zobaczyła ciemne kędzierzawe włosy i wesołe, brązowe oczy pod śmiało zarysowanymi brwiami. Nos miał długi i cienki, a usta stanowcze. Uśmiechnął się do niej, odkrywając równe białe zęby.

- Jestem twoim niewolnikiem, pani, gotowym spełnić każde twoje życzenie.

- A czy mój niewolnik ma jakieś nazwisko?

- Stanmore, panno Charron. Duncan Stanmore, do usług. -

Nazwisko brzmiało znajomo, choć nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy już je słyszała. - Myślałem o kolacji u Reida. Czy to ci odpowiada, pani?

- Rozumiem, że jeśli się zgodzę, dostanę nagrodę w postaci drugiego kolczyka?

- Och, kolczyk jest twój bez względu na to, czy się zgodzisz, czy nie. Nie zamierzam machać ci nim przed nosem jak marchewką. - Skłonił się. - Jeśli jednak zgodzisz się zjeść ze mną kolację, będę zaszczycony.



- Skoro tak, to przyjmuję zaproszenie.

Roześmiał się, a potem poprowadził Maddy do powozu.

Zauważyła, że na drzwiach wymalowany był herb. Czyli Duncan Stanmore był dobrze urodzony.

Gdy już wsiedli, rzucił do stangreta:

- Do Reida, Dobson.

Jechali więc do znanego z doskonałej kuchni hotelu, ulubionego miejsca aktorów i miłośników teatru.

Mimo że sala była pełna, na widok Duncana Stanmore'a kelner się rozpromienił.

- Dobry wieczór, milordzie. Stół jest już przygotowany.

- Dziękuję, Bundy. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Wcześniejsze doświadczenia kazały Maddy spodziewać się prywatnego pokoju albo przynajmniej stolika upchniętego w mrocznym kącie, gdzie nikt by ich nie zauważył i gdzie jej towarzysz mógłby ją zasypywać komplementami i poić winem w nadziei na nagrodę. Duncan Stanmore najwyraźniej jednak nie znał zasad tej gry. Poprowadzono ich do stolika z boku sali. Miejsce było nieco odizolowane, ale z dobrym widokiem na pozostałych biesiadników, co oznaczało, że oni również byli dobrze widoczni.

- Powiedział do pana: „milordzie” - zauważyła Maddy, gdy kelner oddalił się po zamówionego szampana.

- Po prostu się przejęczył - odrzekł Duncan z uśmiechem.

- Woli pan wystąpić incognito?

- Droga panno Charron, to byłoby niemożliwe, w każdym razie w nie Londynie, lecz nie chcę, byś mnie tytułowała. Zepsułoby to nam wieczór.

Kelner podszedł do stolika z butelką wina w ręce i napełnił kieliszki.

- Szef kuchni poleca rostbef. Jest tak soczysty, że lepszego nie znajdzie się nigdzie na świecie. Jest również turbot w sosie krewetkowym, młeczne prosię i szynka, która rozpływa się w ustach, nie wspominając, oczywiście, o puddingach i słodyczach.

- Mój Boże, nie jestem aż tak głodna - zaśmiała się Maddy, choć w

zakamarkach jej umysłu czaiło się wspomnienie dni, gdy głodowała. Wówczas nawet okruchy potraw, o których mówił kelner, byłyby dla niej uczta. Dlaczego nie potrafiła zapomnieć o tych czasach? - Filet z ryby i nieco wołowiny zupełnie mi wystarczą, dziękuję.

- W takim razie ja zjem to samo - stwierdził Duncan.

- Och, proszę, nie ograniczaj się ze względu na mnie, milordzie. Z radością będę patrzeć, jak jesz.

- Wolę mówić, niż jeść. A poza tym nie zapominaj, proszę, że nie jestem milordem, tylko Duncanem Stanmore'em.

- Podał jej kieliszek. - Za moją piękną towarzyszkę. - Przyjrzał się jej uważnie. Zaiste, była piękna, ale nie w taki sposób jak większość aktorek, które zawdzięczały swą urodę pudrom i szminkom, odpowiedniemu wyrazowi twarzy oraz ostentacyjnemu zachowaniu, obliczonemu na przyciągnięcie uwagi. Jej uroda była zupełnie naturalna. Panna Charron miała nieskazitelną cerę, a w ciemnoniebieskich niczym leśne fiołki oczach błyszcząca inteligencja i humor. Wydawało mu się jednak, że w zarysie jej ust dostrzega cień smutku. Czy właśnie ten smutek sprawiał, że była tak doskonałą aktorką?

- Opowiedz mi o sobie - poprosił, gdy przyniesiono potrawy. - Czy Charron to francuskie nazwisko?

- Tak. Mój dziadek uciekł z Francji z żoną i synem w czasach terroru i nigdy tam nie wrócił. Mój ojciec uważał się za Anglika i w wojnach z Napoleonem walczył po stronie Anglii. Zginął na samym początku wojny, biorąc udział w tajnej misji. Nawet moja matka nie wiedziała, na czym polegało jego zadanie. - Kłamstwa, powtarzane tyle razy, że Maddy sama zaczęła w nie wierzyć, gładko płynęły z jej ust.

- Przykro mi, jeśli mówienie o tym jest dla ciebie bolesne. Nie powinienem był pytać, ale wydawało mi się, że jak na aktorkę masz w sobie coś niezwykłego.

- Rozumiem z tego, że poznałeś już wiele aktorek?

- Kilka - odparł ze śmiechem - ale żadna nie była podobna do ciebie.

- Nonsens!

- To prawda. Jest w tobie coś, co wskazuje na dobre urodzenie. Skoro jednak twój dziadek musiał uciekać z Francji za czasów terroru, to znaczy, że był arystokratą, co wszystko wyjaśnia.

Uśmiechnęła się. Matka bardzo się starała zaszcześcić jej dobre maniery, a Marianne Doubleday dopełniła edukacji. Maddy doskonale potrafiła odgrywać damę, chociaż nie tego chciała. A czego właściwie chciała? Siedem lat wcześniej potrafiłaby bez namysłu odpowiedzieć na to pytanie, ale teraz nie była już taka pewna. Gustowała w swym obecnym życiu. Była podziwiana, pławiła się w światłach sceny, nieźle zarabiała, wielbiciel obdarowywali ją błyskotkami, które mogła nosić lub sprzedać, miała też wielu przyjaciół wśród aktorów, którzy wbrew popularnym przekonaniom nie zawsze rzucali się sobie do gardeł. Po każdym spektaklu młodzi ludzie szturmowali drzwi jej garderoby. Flirtowała z nimi, pozwalając się zapraszać na kolację, a potem delikatnie odsuwała z drogi, starając się nie ranić ich uczuć. Na cóż więc czekała - czy właśnie na tę chwilę i na tego człowieka?

- Naprawdę potrafisz zauważyć dobre urodzenie już po tak krótkiej znajomości? - zdziwiła się.

- Oczywiście. Jak to się stało, że taka kobieta jak ty została aktorką?

- Moja matka zginęła pod rozjeżdżonym powozem, gdy ledwie skończyłam dziewięć lat. Nie miałam żadnych innych krewnych.

- A twoi dziadkowie?

- Rodzice mojego ojca zmarli z tęsknoty za synem, rodzice matki też pewnie nie żyli, w każdym razie nigdy o nich nie wspominała. Zostałam sama na świecie.

- Biedactwo! - Współczucie Duncana wydawało się szczere; Maddy po raz pierwszy poczuła się nieswojo z powodu swojego oszustwa. - Co się stało później?

Dalej już poszło łatwo, bo mogła mówić prawdę - w każdym razie prawie całą prawdę. Opowiedziała mu, że wysłano ją do sierocińca dla dzieci oficerów, już dawno bowiem przyjęła taką wersję, a gdy

podrosła, zaczęła pracować. Nie wspomniała jednak o Bulfordach, bo nie była w stanie o nich mówić.

- Oto cała moja historia. - Uśmiechnęła się. - A teraz opowiedz o sobie.

- Och, same nudy. Urodziłem się, poszedłem do szkoły, a potem zostałem mężczyzną.

- I ożeniłeś się? - Była zdziwiona, że to pytanie przyszło jej do głowy dopiero w tej chwili.

- Nie, choć ojciec już się szykuje, by mnie z kimś wyswatać. Rozumiesz, jestem jego dziedzicem. Mam co prawda przyrodniego brata Freddiego, chłopca jeszcze, i jeśli nie będę miał syna, to on poniesie dalej rodowe nazwisko. To wszystko, co mam do opowiedzenia.

A raczej wszystko, co chciał mi powiedzieć, pomyślała.

- A więc nie musisz zarabiać na życie?

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że prowadzę próżniacze życie, to bardzo się mylisz. Ojciec nigdy by mi na to nie pozwolił. Muszę się zajmować rodzinnymi posiadłościami, dbać o dzierżawców... - Urwał, nim zdążył powiedzieć, że ma jeszcze inne zadanie w życiu, doszedł jednak do wniosku, że zabrzmiałoby to zbyt poważnie. - I to ma być praca?

- Cięższa niż sądzisz, ale, jak widzisz, sezon towarzyski spędzam w Londynie.

- Aby szukać narzeczonej?

- Tak się zwykle robi, choć ta metoda raczej się nie sprawdza w moim przypadku. Ojciec wciąż nade mną rozpacza. Powtarza mi, że jestem zbyt wybredny.

- A jesteś? - Wstrzymała oddech, bowiem ta odpowiedź była dla niej bardzo ważna. Mówił, że jego nazwisko brzmi Stanmore. Pewnie wiązało się z jakimś tytułem, ale nie mogła sobie przypomnieć, by którakolwiek z dziewcząt w jej trupie teatralnej wspominała o takim lordzie, a jako zamiłowane plotkary znały nazwiska wszystkich ważniejszych osób w Londynie.

- Och, sam nie wiem. Pewnie tak. - Rozmowa przebiegała zupełnie

inaczej, niż się spodziewał. W niczym nie przypominała lekkich, żartobliwych konwersacji z innymi kobietami, jednak Madeleine nie z takiej gliny była ulepiona. Mówił serio, gdy wspomniał o jej arystokratycznym pochodzeniu. Świadczyła o tym dumna postawa, sposób, w jaki używała sztucców, piła wino, mówiła. Nie wdzięczyła się głupio, jak czyniły młode kobiety z niższych sfer, gdy próbowały wyrzucić na nim wrażenie. Zachowywała się, jakby byli sobie równi.

- A pod jakim względem jesteś wybredny?

- Nigdy tego nie analizowałem, po prostu wiem, że gdy spotkam właściwą kobietę, od razu ją rozpoznam.

- A więc jeszcze jej nie spotkałeś? - spytała ze śmiechem.

- Być może tak już się stało. - Ta myśl była niedorzeczna, absurda i śmieszna, ale mimo wszystko nie chciała opuścić jego głowy.

- A kiedy ją spotkałeś?

- Przed godziną.

Popatrzyła na niego w milczeniu, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Miałam już wiele ofert, ale ta, jeśli rzeczywiście jest to oferta, jest dla mnie zupełną nowością.

- Śmiejesz się ze mnie? - Zmarszczył brwi.

- A czy powinnam traktować twoje słowa poważnie? Spróbował sobie wyobrazić, że przedstawia Madeleine

Charron jako swoją przyszłą żonę ojcu, macosze i siostrze Lavinii... Cóż, Madeleine słusznie skwitowała to śmiechem.

- Moglibyśmy udawać, że to poważna propozycja? Przynajmniej przez ten jeden wieczór - rzekł lekko. - To byłoby zabawne.

- Zależy, czego ode mnie oczekujesz - odparła z powagą. - Jestem aktorką i udawanie to moja druga natura, ale jeśli chodzi ci o to, co podejrzewam, musisz wiedzieć, że niewłaściwie zrozumiałeś moją rolę.

- Och, nie mam już żadnych wątpliwości, że jesteś arystokratką, madame! Jaki tytuł nosił twój dziadek? Był hrabią, markizem, a może diukiem?

- Hrabią. - Markizów i diuków, czyli najwyższej utytułowanych

arystokratów, zbyt łatwo było wytropić.

Choć żyła w kłamstwie, z natury nie lubiła kłamać i ta rozmowa zaczynała ją męczyć. Duncan Stanmore był zbyt miły, by go oszukiwać, a przy tym miał w sobie wszystkie cechy prawdziwego dżentelmena. Wiedziała, że nie będzie próbował się jej narzucać ani do niczego zmuszać, tak jak Henry Bulford. Gdyby się postarała, mogłaby sprawić, by się w niej zakochał, sprzeciwił się sztywnym poglądom ojca i się z nią ożenił. Piłeczka była po jej stronie, dlatego więc nie miała ochoty jej odbić, dlaczego w chwili, gdy stanęła przed nią szansa na osiągnięcie długo wyczekiwanego celu, straciła odwagę? Tylko wspomnienie upokorzenia doznanego z rąk innego arystokraty powstrzymało ją przed przyznaniem się do oszustwa i otworzenia jedynej wiodącej do miłości drogi, którą są szczerłość i zaufanie.

- Należy rozważnie postępować z wnuczką hrabiego - stwierdził Duncan, nie zdając sobie sprawy z zamętu w myślach Madeleine.

- Przepraszam - powiedziała z nieoczekiwaną powagą.

- A niby za co?

- Jeśli łudziłeś się, że łatwo ci przyjdzie mnie zdobyć...

- Gdyby nawet tak było, szybko byś mi pokazała, gdzie jest moje miejsce. Zacznijmy jeszcze raz od początku, dobrze?

- To znaczy?

- Opowiedz mi, jak to jest być aktorką. Brałem kiedyś udział w sztuce. Wystawiała ją moja siostra, by wspomóc przytułek, którym opiekuje się moja macocha, i przekonałem się, że to ciężka praca.

- Owszem. Jaką rolę grałeś?

- Oberona. To był „Sen nocy letniej”.

- Znam dobrze tę sztukę.

Resztę wieczoru spędzili na przyjemnej rozmowie, żartując i porównując swoje upodobania. Maddy zupełnie zapomniała, że Duncan Stanmore jest zniechęconym arystokratą, odsunęła na bok myśli o swoich planach i była po prostu sobą. On zaś był czarującym, troskliwym rozmówcą i w jego towarzystwie czuła się naprawdę doskonale.

O drugiej nad ranem zauważyli, że są sami w restauracji. W pobliżu kręcili się kelnerzy, gotowi posprzątać ze stołu. Niechętnie podnieśli się z miejsc.

- Ależ ten czas leci - zdumiał się Stanmore. - Nigdy dotąd nie bawiłem się tak doskonale. Dziękuję ci, Madeleine.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Byli już w drzwiach, gdy skłonił się przed nimi właściciel restauracji.

- Mam nadzieję, że wszystko przebiegło zgodnie z pańskim życzeniem, milordzie?

- Owszem. Przyślij rachunek do Stanmore House.

Stanmore House. Maddy wiedziała, gdzie mieści się ta rezydencja i do kogo należy. Powinna była od razu skojarzyć to nazwisko.

Spędziła wieczór w towarzystwie markiza Risleya, spadkobiercy księcia Loscoe. Książę był jednym z najbogatszych ludzi w królestwie, więc jego synowi nie brakowało niczego. Zabawiał ją przez kilka godzin i ani razu nie wspomniał o swym świetnym pochodzeniu. Dlaczego? Madeleine wiedziała doskonale, że większość młodych ludzi lubi się chwalić. Czy w takim razie Duncan też grał jakąś rolę?

Wsunął rękę pod jej łokieć, poprowadził ją do powozu i pomógł wsiąść.

- Powiedz mi, dokąd chcesz jechać, a dowiozę cię tam bezpiecznie.

Jego zachowanie wyraźnie się zmieniło; był teraz nienagannie uprzejmy, jakby umowa, którą zawarli - on płaci za kolację, ona mu towarzyszy - została już wypełniona. Maddy poczuła się rozczarowana, ale powiedziała sobie, że jest niekonsekwentna. W końcu dała mu do zrozumienia, by nie spodziewał się niczego więcej, a on, jako dżentelmen, pogodził się z tym. Mógłby jednak trochę bardziej protestować!

Podawała mu adres. Mieszkanie, które dzieliła z kilkoma koleżankami z teatru, znajdowało się przy końcu Oxford Street. Pojazd ruszył po niemal pustej ulicy. Zapanowało pełne rezerwy milczenie, jakby nagle zabrakło im tematów do rozmowy.

Duncan rzadko zapominał języka w gębie, ale nikt do tej pory nie oczarował go z taką siłą jak ta kobieta. Zafascynowały go nie tylko jej uroda i kształtna figura, ale również to, co i jak mówiła, gestykulacja, poczucie humoru. Oczami wyobraźni widział rozpedzony powóz i drobną figurkę dziecka szlochającego nad martwą matką. Czuł jej cierpienie i sam cierpiał na myśl, że nie miała nikogo, kto mógłby ją pocieszyć - ani ojca, ani dziadków - i trafiła do sierocińca, takiego jak ten, który wspierała jego macocha. Dziwił się, że po tym wszystkim Madeleine nie stała się zgorzkniała, tylko przeciwnie, z godnością i uśmiechem potrafiła wnieść się ponad trudy i bóle, jakie niosło życie.

Był nią urzeczony, wiedział jednak, że mógłby ich połączyć jedynie romans. Nie nadawała się na żonę markiza.

Gdy powóz zatrzymał się przy Oxford Street, wyskoczył, by pomóc jej wysiąść.

- Dziękuję za czarujący wieczór. - Podniósł jej dłoń do ust. Tak wielu młodych mężczyzn robiło to samo wcześniej, ale żaden z nich nie przyprawił jej o równie gorący dreszcz. Uznała to jednak za słabość, za zdradę samej siebie. Nie zamierzała poddawać się urokowi lorda Risleya, nie miała tego w planach. Z nich dwojga to on miał być oczarowany.

- Zapomniałbym. - Wyjął z kieszeni brylantowy kolczyk. - Zatrzymaj to na pamiątkę wspaniałego wieczoru.

- Dziękuję.

- Czy mogę ci go założyć? - Delikatnie zaczepił kolczyk, a potem musnął ustami jej ucho i szepnął: - Zawsze będę o tym pamiętał.

W tej chwili stał się zwykłym adoratorem zza kulis, jednym z tych, którzy zasypywali ją ekstrawaganckimi, nieszczerymi komplementami.

- Jest pan bardzo hojny, markizie - powiedziała z nieco złośliwym uśmiechem.

- A niech to! Przejrzałaś mnie. - Jego śmiech rozluźnił sztywną atmosferę.

- Czy sądziłeś, że nie poznam markiza Risleya?



- Nie, tego nie mogłem się spodziewać - westchnął teatralnie - choć już zacząłem się łudzić, że zakochałaś się we mnie ze względu na moje wspaniałe zalety, a nie dla tytułu.

Nie usłyszał odpowiedzi. Maddy bez słowa weszła do budynku i zamknęła za sobą drzwi, a potem oparła się o nie plecami, nasłuchując odgłosów odjeżdżającego powozu. Dostała swoją szansę i wypuściła ją z rąk. Przez tyle lat dążyła do celu, pielęgnując w sobie nienawiść, a teraz poddała się przy pierwszej przeszkodzie.

Mówił, że jest piękna, że zachowuje się jak arystokratka, że jest inna niż pozostałe kobiety. To prawda, była inna. Niezależnie od tego, co mówiła do Marianne, była oszustką i flirciarą, za co otrzymała sprawiedliwą zapłatę - kolację oraz parę brylantowych kolczyków. Powinno jej pochlebiać, że Duncan na tyle ocenił jej wartość, jednak dla niego brylanty nie były niczym niezwykłym i z pewnością nie nadwerężyły jego kieszeni. Szpilka w fularze markiza była warta wielokrotnie więcej niż ten podarunek.

Znużona poszła na górę do swojego pokoju. Przyodziana w tęczowy szlafrok Marianne siedziała na jej łóżku i czekała na nią.

- No i co? - zapytała, gdy Madeleine stanęła w drzwiach.

- A co? - Opadła na łóżko i zsunęła buty z nóg.

- Co się wydarzyło? Czy dowiedziałaś się, kto to był?

- Tak.

- Miałam rację, to arystokrata, prawda?

- Markiz Risley.

- Syn księcia Loscoe! Jestem pod wrażeniem. I co się wydarzyło?

- Postawił mi kolację u Reida, zabawiał anegdotkami, odwiózł do domu i na pożegnanie dał drugi kolczyk.

- To wszystko? Nie proponował prywatnego pokoju?

- Zachowywał się uprzejmie i szarmancko. Dżentelmen w każdym calu.

- No tak. A ty jesteś rozczarowana! - Marianne wybuchnęła śmiechem.

- Absolutnie nie. - Nie mogła jej zdradzić swoich wątpliwości. - Nie miałam zamiaru padać mu do stóp ani do niczego zachęcać. Muszę

być bardziej subtelna.

- Bardziej subtelna? - Marianne spojrzała jej w oczy. - Maddy, mam nadzieję, że nie zaczęłaś się w nim zakochiwać? Księżę Loscoe nigdy nie pozwoli, by jego syn związał się z aktorką.

- Wiem, ale jeśli ta aktorka jest wnuczką francuskiego hrabiego, to może mógłby przymknąć oko na niektóre jej niedociągnięcia.

- Nie opowiedziałaś mu chyba tej bajeczki o francuskim emigrancie?

- Dlaczego nie?

- Och, Maddy, jeśli będziesz się upierać przy tej historyjce, wpakujesz się w poważne tarapaty. Wyznaj mu prawdę. Obróć wszystko w żart, zanim sam się dowie.

- Gdy mu to opowiadałam, nie wiedziałam jeszcze, kim jest. Udawał zwykłego dżentelmena, a ja ze wszystkich sił starałam się udawać, że jestem kimś nadzwyczajnym, więc wina leży po obu stronach. To była tylko niewinna zabawa. Nie traktowałam tego poważnie, podobnie jak on. - I to właśnie było najgorsze. Stanmore nie zapytał, czy mógłby znów się z nią zobaczyć, sądziła więc, że nie dostanie kolejnej szansy, by wykazać mu swoją przewagę nad nim. To markiz się wycofał, jakby naraz przypomniał sobie, kim jest on, a kim ona. Lord i aktoreczka...

- Cieszę się, że tak mówisz. A teraz połóż się spać, bo jutro do niczego nie będziesz się nadawać. Idę do siebie, dobranoc.

Głęboko zadumana Maddy długo nie mogła zasnąć. Wieczór, z jednej strony tak przyjemny, pod innym względem okazał się katastrofą, bo wszystkie wspomnienia związane z arystokracją wróciły z okrutną, bolesną siłą.

Fakt, że markiz uwierzył w historię o francuskim dziadku i wychwalał dobre maniere Maddy, sprawił, że zaczęła się zastanawiać nad swoim nieznanym ojcem. Próbowwała odnaleźć we wspomnieniach cokolwiek, co mogłoby rzucić jakieś światło na jego postać, ale bez rezultatu. Nie pamiętała, by matka kiedykolwiek o nim wspominała.

Jej dziadek z pewnością nie był francuskim emigrantem, w końcu

sama go wymyśliła. Może jednak ta fikcyjna osoba mogłaby stać się jej przepustką do dobrego towarzystwa? W mroku nocy, gdy wszystko wydaje się możliwe, w jej umyśle zaczął się tworzyć plan tak śmiały, że aż zadrżała. By go przeprowadzić, potrzebowała pomocy Marianne.

- No i co? Jestem ci winien dwadzieścia pięć funtów czy nie? - zapytał Benedict następnego ranka, gdy spotkał Duncana w kawiarni Humbolda. - Minął już tydzień, a nie doszły mnie jeszcze żadne nowiny o oblężonej twierdzy.

- Twierdzy?

- O uroczej Madeleine Charron.

- Mowa była o kolacji i zabrałem ją na kolację. Byliśmy u Reida, na co mam mnóstwo świadków. Więc płac i uśmiechaj się szeroko.

Benedict starannie odliczył dwadzieścia pięć suwerenów i ułożył je na stole w pięciu równych kupkach.

- Mam nadzieję, że powiesz coś więcej.

- Nie mam niczego do opowiadania.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie. To, co się zdarzyło i o czym rozmawialiśmy, to nasza prywatna sprawa i nie ma nic wspólnego z tym zakładem.

- Kazała ci się wynosić do diabła - odrzekł Benedict z triumfem.

- Absolutnie nie. Jednak w odróżnieniu od ciebie nie lubię się zachowywać wobec kobiet jak słoń w składzie porcelany. Wolę delikatne metody. Na dłuższą metę to się opłaca.

- Ach, więc oblężenie trwa. To co, podwajamy stawkę?

- Nowy zakład?

- O noc w jej łóżku.

Duncan powinien był odmówić, wtedy jednak Benedict uzna go za mięczaka i sam podejmie wyzwanie. Myśl o przyjacielu, który próbuje uwieść Madeleine, wprawiła go w desperację.

- Załatwione - rzekł.

- To dotyczy zakładu czy samego uczynku? - Benedict uśmiechnął się szeroko.

- Zakładu, ty zakuta pało.

- Tydzień?"

- Nie, to wymaga subtelnych zabiegów. Dwa tygodnie. -Omal nie odgryzł sobie języka. Gdyby zakład dotyczył kogokolwiek innego, nie byłoby sprawy, ponieważ jednak chodziło o Madeleine Charron, ogarnął go wstyd. Ta kobieta tak wiele wycierpiała i zasługiwała na szacunek. On zaś... - Zobaczmy się później. - Niemal wybiegł z kawiarni.

Wiedział, że nie powinien zabiegać o kolejne spotkanie z Madeleine, lecz wiedział też, że nie zdoła utrzymać się z dala od niej. Co za paskudna sytuacja!

Poszedł na Bond Street, do klubu bokserskiego Jacksona, i tam wyładowywał swoją frustrację na partnerze, aż właściciel musiał przerwać sparing, który zaczął przemieniać się w jatkę. Duncan przeprosił i wrócił do domu.

Co w niego wstąpiło? Spędził miły wieczór w towarzystwie ładnej aktorki. Nie był to żaden powód do bezsennych nocy. Po prostu zapłaci Benedictowi pięćdziesiąt funtów i zakończy całą sprawę.

## *Rozdział drugi*

Lancelot Greatorex, choć również wystawiał burleski albo współczesne sztuki wykpiwające rząd, znany był przede wszystkim ze spektakli szekspirowskich, które pod jego ręką nabierały świeżości i nowego życia. Często wprowadzał do nich współczesne kostiumy, maniery i aluzje do osób żyjących albo wydarzeń z niedawnej historii. Od następnego tygodnia Madeleine miała grać Helenę we „Wszystko dobrze, co się dobrze kończy”. Sztuka ta nadspodziewanie dobrze poddawała się zabiegom Lancelota.

Helena, córka lekarza, leczy króla z tajemniczej choroby i w nagrodę może wybrać sobie za męża jednego z jego dworzan. Wybiera Bertrama, hrabiego Rousillona, ten jednak uważa, że dziewczyna jest zbyt niskiego rodu, i choć musi być posłuszny królowi, wyrusza na wojnę, by uniknąć nocy poślubnej. Po jakimś czasie Helena podstępem wciąga go do swego łóżka, udając inną kobietę, w której Bertram jest zakochany. Dochodzi do wymiany pierścionków. Gdy Bertram uświadamia sobie, co zaszło, akceptuje Helenę jako swoją żonę.

Maddy nie mogła się przekonać do tej sztuki. Uważała, że Helena ma słaby charakter, a zakończenie jest do niczego. Już wcześniej miała wątpliwości, czy małżeństwo oparte na podstępie może okazać się szczęśliwe, a teraz, gdy sama zastanawiała się nad przeprowadzeniem intrygi, to pytanie stało się jeszcze bardziej dręczące. Co prawda nie zamierzała wciągać nikogo podstępem do swojego łóżka - nigdy, przenigdy! - chciała jednak oszukać całą londyńską socjetę.

- Madeleine, uważaj - rzekł Lancelot, gdy po raz drugi przegapiła chwilę, gdy powinna wejść ze swoją kwestią. - Jesteś taka roztargniona. Co się z tobą dzieje?

Spojrzała na niego. Wiedziała, że pod łagodnym tonem skrywał irytację, toteż wzięła się w garść.

- Przepraszam, panie Greatorex, to się już nie powtórzy.

- Mam nadzieję, chyba że wolisz widzieć w tej roli swoją dublerkę. Powtórzmy scenę od początku.

Tym razem wszystko poszło gładko, choć Lancelot, jako perfekcjonista, nigdy nie był zadowolony w stu procentach. Wiedział jednak, jak daleko może się posunąć w krytyce, by nie wywoływać u aktorek ataków histerycznego płaczu. Z drugiej jednak strony nikt nigdy nie widział Madeleine płaczącej, chyba że na scenie, bo gdy sztuka tego wymagała, potrafiła łkać bardzo przekonująco.

Po próbie Marianne i Madeleine spotkały się w garderobie, by przygotować się do spektaklu „Romeo i Julia”.

- To niepodobne do ciebie, żebyś nie weszła na czas - stwierdziła Marianne. - Czy coś się stało?

- Nie, po prostu jestem zmęczona.

- Mam nadzieję, że nie spędziłaś całej nocy bezsennie, fantazjując o markizie Risleyu?

- Skądże! Markiz Risley jest jednym z bogatych próżniaków, a dobrze wiesz, co o takich myślę - odrzekła nieco zbyt szybko i zbyt ostro.

Marianne odgadła, że trafiła w sedno.

- Niedobrze, że go oszukałaś...

- Zawsze mówię to samo, gdy ktoś pyta mnie o rodzinę.

- Nie rozumiem, po co. Jesteś podziwiana i szanowana jako aktorka. Dlaczego to ci nie wystarcza?

- Może dlatego, że zawsze chciałam należeć do prawdziwej rodziny, a skoro ta rodzina może być tylko wymyślona... - Urwała. Własne słowa wydały jej się trywialne i nieprzekonujące.

Marianne wyczuła w jej głosie smutek.

- Masz przecież rodzinę, moja droga - powiedziała miękko. - Masz mnie i całą trupe. My jesteśmy twoją rodziną. Zresztą to również moja rodzina.

- Tak, wiem, ale mimo wszystko...

- Wszyscy mamy jakieś marzenia, Maddy, ale musimy pamiętać, że to tylko marzenia. Fantazjujemy, ale zarazem cieszymy się tym, co życie nam podsuwa. Masz wyjątkowy talent, masz szansę, by twoje

nazwisko było w leksykonach nawet za sto czy dwieście lat, bo już tworzysz historię teatru. Twoja interpretacja szekspirowskich postaci... Och, z pewnością to jest więcej warte, niż gdybyś miała wzbudzić trwającą krótki czas sensację, że udawałaś kogoś, kim nie jesteś.

- Przecież tym właśnie jest aktorstwo.

- Którego miejscem jest scena, nie prawdziwe życie. Marianne sądziła, że na tym rozmowa się zakończy, jednak

Maddy, jakby niepomna reprimendy, chciała coś ugrać.

- Poznałaś Stanmore'ów, prawda? - zapytała lekkim tonem.

- Po raz pierwszy spotkałam ich, gdy brałam udział w dobroczynnym spektaklu „Sen nocy letniej” wystawianym w Stanmore House. Cała rodzina brała w tym udział, nawet dzieci.

- I wszyscy uwierzyli, że jesteś damą?

- Tylko dlatego, że sir Percival Ponsonby przedstawił mnie w ten sposób. To on wymyślił całą historię.

- Nie czuł się źle, oszukując ich?

- To było oszustwo w dobrej sprawie.

- Niczego się nie domyślili?

- Oczywiście prawda w końcu wyszła na jaw. Nigdy nie mieliśmy zamiaru ukrywać jej na dłuższą metę.

- Wybaczyli ci, a w dodatku księżna nadal cię przyjmuje. Wiem, że bierzesz udział w jej spotkaniach towarzyskich.

- Bywam tam, by zabawić towarzystwo, co sprawia mi przyjemność, jednak księżna nie traktuje mnie jak równej sobie, choć dobrze się dogadujemy.

- Czy następnym razem mogłabyś zabrać mnie z sobą?

- Maddy, nie bądź dzieckiem. Pojawiam się tam tylko wtedy, gdy zostanę zaproszona. Nie jest łatwo dostać się do tego domu.

- Mogłabyś coś wymyślić. Już wiem! Zaproponuj im sztukę, która wymaga udziału dwóch aktorek.

- Sama nie wiem... Pewnie mogłabym to zrobić, boję się jednak, że markiz źle to odbierze. Jeśli uzna to za wtargnięcie w życie domowe, rozłości się nie tylko na ciebie, ale również na mnie.

- Przecież on nie wie, że ty wiesz, jak bardzo odbiega od prawdy moja historia. Nikt nie będzie cię winił, a dzięki temu markiz przynajmniej mnie zauważy.

- Przecież już cię zauważył! I jak mu się odwdzieczyłaś?

- Wiem... ale przecież nikomu nie stała się krzywda przez to, że uwierzył w moją opowieść.

- Maddy, skarbie, nawet jeśli syn uwierzy bez zastrzeżeń, ojciec dokładnie sprawdzi każdy szczegół. Jeśli będziesz upierać się przy swojej historii, to wpakujesz się w poważne tarapaty.

- I cóż takiego może odkryć? Tak wielu Francuzów przybyło tutaj po rewolucji, że nie ma sposobu, by prześledzić losy wszystkich.

- Najlepiej by było, gdybyś przyznała się do mistyfikacji i przeprosiła.

- Zrobię to, gdy nadarzy się odpowiednia okazja, ale markiz nic nie wspominał, że znów zamierza mnie gdzieś zaprosić, a przecież nie mogę podejść do niego na ulicy tylko po to, by mu wszystko wyjaśnić.

- Nie, ale pojawienie się w jego domu również nie jest najlepszym pomysłem. Poza tym nie wiem, czy go tam zastaniesz. Mieszka w Stanmore House, ale przecież nie trzyma się rąbka spódnicy macochy i od dawna chadza własnymi drogami.

- Mówił, że jego ojciec nalega, by się ożenił.

- To zrozumiałe, skarbie, ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Ty nie dostaniesz tej roli.

- Może wzięłby mnie pod uwagę, gdybym naprawdę była wnuczką francuskiego hrabiego...

- Gdyby tak było, twoje życie wyglądałoby inaczej i nie nosiłabyś w sercu żalu do arystokracji. I pamiętaj, że jeśli zamierzasz wybrać Stanmore'a za obiekt swej zemsty, to możesz się mocno sparzyć.

- Nie zamierzam się mścić. Chciałabym lepiej poznać ich świat, zobaczyć całą rodzinę. Ciekawi mnie, czy odnoszą się do siebie z miłością i jak traktują służbę. Wiele nauczyłam się od ciebie i jestem pewna, że doskonale wiesz, jak powinna się zachowywać prawdziwa dama, ale chciałabym to zobaczyć na własne oczy. Chcę znaleźć się



wśród nich, choćby na krótko. Bardzo mi to pomoże, gdy będę musiała zagrać damę. Marianne spojrzała na nią sceptycznie.

- A ja mam ci pomóc przeprowadzić ten plan?

- Tak, Marianne. Zdobądź dla mnie zaproszenie na następny wieczorek dobroczynny, w którym będziesz brała udział. Błagam, zrób to tylko raz. Nigdy więcej cię o to nie poproszę.

Sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy. Z pewnością nie chodziło o to, by podnieść swą rangę w oczach markiza, nie wspominając już o jego rodzinie. Gdyby się jednak okazało, że potrafi przekonująco przedstawić historię francuskiego hrabiego i tym sposobem wkupić się do Stanmore House, mogłoby to stać się dla niej przepustką do innych salonów. Gdyby została zaakceptowana w towarzystwie, nie musiałaby uciekać się do małżeństwa z jakimś zauroczonym nią szlachcicem. A potem, pewnego dnia, może udałoby jej się spotkać kogoś, komu mogłaby wyznać prawdę o swoim pochodzeniu i kto mimo wszystko nadal by ją kochał.

Wyobraźnia Maddy szalała. Widziała się już przyjmowaną w dobrym towarzystwie, zasypywaną zaproszeniami, szanowaną i adorowaną. Tak, tego właśnie pragnęła najbardziej: by ją zaakceptowano. Chciała się pokazać w Stanmore House, czuła, że to może się stać początkiem jej nowego życia.

- Proszę cię, Marianne. Jeśli sama nie możesz zapytać księżnej, to może poprosisz o pomoc sir Percy'ego? Wiem, że często bywa w Stanmore House. Może księżna wysłucha jego sugestii?

Sir Percy był jednym z nielicznych mężczyzn, którzy oferowali im swą przyjaźń i opiekę, nie prosząc w zamian o seksualne przysługi. Marianne twierdziła, że to dlatego, iż od dnia jej pierwszego balu niezmiennie kochał księżnę Loscoe, ale gdy ta wyszła najpierw za hrabiego Corringhama, a po jego śmierci za księcia Loscoe, sir Percy, porzuciwszy marzenia o szczęściu, zaczął udawać dziwaka. Jeżeli ktokolwiek mógł pomóc Madeleine, to tylko on.

- Być może tak, ale wątpię, by zgodził się oszukiwać księcia i księżną - stwierdziła Marianne.

- Zrobi to, jeśli go poprosisz. On cię bardzo lubi, powiedział mi to, gdy wybrałam się z nim na przejażdżkę w zeszłym tygodniu.

- Naprawdę? - zaśmiała się Marianne.

- Proszę, zapytaj go.

- Może, jeśli nadarzy się okazja, ale nie mogę ci tego obiecać. A teraz skup się na sztuce. Lancelot woła już aktorów.

Rola Julii w wykonaniu Madeleine przewyższała wszystko, co zdarzyło się jej zagrać wcześniej. Musiała kilkakrotnie wychodzić i kłaniać się, nim wreszcie umilkły owacje. Garderoba tonęła w kwiatkach. Maddy sprawdziła, kto je przysłał, nie było jednak bileciku od markiza Risleya. A więc nie zamierzał kontynuować znajomości. Nie dostał tego, na co miał nadzieję, toteż stracił zainteresowanie. I dobrze, pomyślała Madeleine, choć ku swej złości w głębi serca czuła się rozczarowana.

Duncan zjadł kolację w domu z księciem, księżną i ich gośćmi: jego siostrą Lavinia, jej mężem hrabią Corringhamem oraz siostrą hrabiego Augustą i jej mężem sir Richardem Harnhamem, a teraz popijał herbatę w bawialni.

- Doprawdy, Duncanie, powinieneś się pokazać u Almacka przynajmniej raz w tym sezonie - powiedziała Lavinia.

- Dlaczego? - Kochał swoją siostrę, ale od czasu, gdy przed sześciu laty wyszła za Jamesa i urodziła dwoje nadzwyczaj zwawych dzieci, nabrała przekonania, że potrafi go zmusić do wszystkiego. Uśmiechnął się krzywo. Już wtedy, gdy byli jeszcze mali, próbowała rozstawiać go po kątach. - Dlaczego mam się ubierać w bryczesy i pończochy i sterczeć godzinami niczym lokaj dla wątpliwej przyjemności tańca z jakąś gąską, której wydaje się, że potrafi mnie złapać w małżeńskie sidła?

- Duncanie, błagam, porzuć ten cynizm! W tym sezonie debiutuje wiele bardzo porządnych dziewcząt. Skąd możesz wiedzieć, że wśród nich nie ma tej, której szukasz?

- Wątpię w to. Mam do wyboru albo głupie chichotki tuż po szkole niezdolne do prawdziwej rozmowy, albo stare panny, które desperacko od lat szukają męża, co sezon omiatają się z kurzu i

rzucają się na każdego kawalera, który nieopatrznie podejdzie bliżej.

Książę i księżna, ich macocha, jakiś czas przysłuchiwali się tej rozmowie z żartobliwą tolerancją, teraz jednak księżna uznała za stosowne się wtrącić.

- Duncanie, czy ty nie chcesz się ożenić?

- Nieszczególnie, mamó, a już z całą pewnością nie chcę wskakiwać w małżeństwo tylko dlatego, że jakaś dziewczyna wydaje się do tego odpowiednia. Odpowiednia do czego, zastanawiam się.

- Do tego, by być godną pozycji markizy - wyjaśniła La-vinia.

- Jaka jednak pewność, że będzie również dobrą żoną? Chcę się ożenić z kobietą, do której będę coś czuł, i musi to być uczucie, które przetrwa do końca życia. Nie chcę się wiązać z maszynką do rozmnażania, z którą nie połączy mnie nic więcej. Małżeństwo nie może polegać tylko na tym.

- Innymi słowy, pragniesz kochać i być kochany - powiedziała miękko Frances.

Spojrzał na macochę. Rozumiała go dobrze i często stawiała po jego stronie w sporach z ojcem. Kochał ją za to, ale skoro teraz połączyła siły z Lavinia w poszukiwaniu żony dla niego, to niestety musiał ją rozczarować.

- Gdzieś pośród arystokracji znajduje się kobieta, która zaspokoi twoje potrzeby - nie ustępowała Lavinia. - Musisz tylko dać jej szansę.

- Miałaś szczęście, droga Lavinio, że twój wybranek był odpowiednim człowiekiem z towarzyskiego punktu widzenia i nie wymagano od ciebie żadnego kompromisu, ale tak nie dzieje się zawsze.

- Dziękuję ci bardzo - wtrącił James sucho.

- Wiesz przecież, co mam na myśli.

- Chcę tylko powiedzieć, że powinieneś pojawiać się na spotkaniach, na których możesz poznać odpowiednie młode damy - tłumaczyła Lavinia. - Jeśli nie będziesz wysuwał nosa za próg, to jak możesz dokonać wyboru?

- Wychodzę przecież z domu, nie jestem pustelnikiem.

- Owszem, wychodzisz ze swoimi przyjaciółmi, by sterczeć przy tylnych drzwiach teatru i wypatrywać aktorek, ale tam nie znajdziesz żony.

- Vinny - upomniał ją mąż. - Nie do ciebie należy osądzanie tego, jak twój brat spędza wieczory. Hm... Zaraz, a skąd o tym wiesz?

- Benedict opowiadał swojej siostrze, a Felicity mi powtórzyła.

- A co jej powiedział? - zapytał z niepokojem Duncan.

- Tyle tylko, że założyliście się o to, któremu z was uda się zaprosić pewną aktorkę na kolację.

Duncan ponuro mruknął coś pod nosem. Mógł się spodziewać, że Willoughby wszystko wypapla. Gdyby zakład nie dotyczył uroczej panny Charron, skwitowałby słowa siostry lekkim dowcipem, ale w ich spotkaniu było coś, co nie pozwalało na żarty. Rozmawiali szczerze, miał przywilej ujrzeć prawdziwą twarz Madeleine Charron, nie twarz gwiazdy teatru. Chciał zatrzymać te chwile dla siebie i złościło go, że Benedict traktował to tak lekko.

A jeśli wszyscy dowiedzą się również o drugim zakładzie?! Wówczas popadnie w poważne kłopoty nie tylko z Madeleine, ale również ze swoim pryncypialnym ojcem. Księżę surowo potępiłby takie postępowanie z kobietą, nieważne, służącą, aktorką czy damą.

- Benedict Willoughby lepiej by zrobił, gdyby trzymał język za zębami - rzucił z tłumioną złością.

- A czy wygrałeś ten zakład? - zapytał James.

Duncan nie mógł kazać szwagrowi się zamknąć, znalazł się więc pod ścianą.

- Tak, zaprosiłem ją na kolację, i to wszystko. Nie ma to nic wspólnego z tym, czy pójde do Almacka, czy nie.

- To znaczy, że pójdziesz - stwierdziła Lavinia, zachwycona sukcesem swojej intrygi.

- Wiem, że nie dacie mi spokoju, dopóki się nie zgodzę.

- W takim razie wybierzemy się tam w środę wieczorem. Ma się tam odbyć specjalna uroczystość z okazji rocznicy bitwy pod Waterloo. O ile wiem, Wellington również się pojawi.

- W takim razie będę bezpieczny. Wszystkie kobiety rzucają się na

niego i nawet nie spojrzą na mnie.

- Duncanie, doprowadzasz mnie do rozpacz - westchnęła Lavinia.

Jednak już jej nie słuchał, rozważał bowiem, jak zmusić Benedicta do zachowania tajemnicy w sprawie drugiego zakładu i w ogóle jak się z tego wyplątać, nie tracąc przy tym twarzy.

- Co robisz jutro, Duncanie? - zapytała księżna.

- Nic, czego nie mógłbym przełożyć na inny dzień, jeśli jestem ci potrzebny, mam - odrzekł pogodnie.

- Czy w takim razie mógłbyś wybrać się ze mną do sierocińca? Mam stertę zebranych ubrań i potrzebuję męskiego ramienia do pomocy przy noszeniu koszy.

Typowe dla księżnej, że sama zawiezie te ubrania. Lubiła działać, a nie rzucać pomysły, wykonanie zlecając innym. Nie zniechęcał jej nawet fakt, że sierociniec mieścił się w nieciekawej części miasta. Obiecała jednak księciu, że nigdy nie wybierze się tam bez eskorty, a ponieważ mąż rzadko miał czas, by jej towarzyszyć, absorbowały go bowiem rządowe obowiązki, zwykle prosiła o towarzystwo Duncana lub Jamesa, a czasami sir Percy'ego.

- Jestem do twoich usług, mam. O której chcesz pojechać?

- O dziesiątej, o ile zdołasz o takiej porze wstać z łóżka.

- Będę gotów, zapewniam.

Dotrzymał słowa i zaraz po śniadaniu ruszył z macochą na Maiden Lane.

- Nie masz nic przeciwko temu, że poprosiłam cię o towarzystwo?

- zagaiła księżna, gdy ujechali już kawałek drogi, a Duncan się nie odzywał. - Może oderwałam cię od przyjemniejszych zajęć?

- Nie, absolutnie nie - odrzekł z roztargnieniem.

- To znaczy, że trapi cię coś innego?

- Nie, mam, zupełnie nic - odrzekł fałszywie pogodnym tonem. Przejeżdżali właśnie przez plac przed katedrą Świętego Pawła. Na chodniku zauważył Madeleine Charron w towarzystwie Marianne Doubleday. Zmierzały w stronę targu.

Po bezsennej nocy, podczas której próbował podjąć decyzję, co zrobić z haniebnym zakładem, nie czuł się jeszcze gotów znów ją

ujrzeć, gdy jednak ją zobaczył, taką roześmianą i beztroską, serce zaczęło bić mu szybciej. Gdyby Madeleine mogła poznać jego myśli, zapewne wpadłaby w złość.

Zatrzymały się, spoglądając w stronę powozu, i teraz księżna również je zauważyła.

- To panna Doubleday! Muszę z nią porozmawiać. - Zanim Duncan zdążył zareagować, nakazała stangretowi zatrzymać konie.

Powóz przystanął tuż obok aktorek. Duncan wyskoczył na zewnątrz i otworzył drzwi przed macochą.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość. - Marianne dygnęła.

- Dzień dobry, panno Doubleday. Mam nadzieję, że widzę panią w dobrym zdrowiu?

- Ależ tak, czuję się znakomicie. Czy mogę przedstawić Waszej Wysokości moją przyjaciółkę i koleżankę z teatru, pannę Madeleine Charron?

Frances spojrzała na Madeleine. Duncan stał za nią w milczeniu, niepewny, co się wydarzy za chwilę.

- Miło mi panią poznać, panno Charron, choć i tak rozpoznałabym panią wszędzie. Cieszy się pani w pełni zasłużoną sławą. Widziałam panią w „Romeo i Julii”. Sztuka poruszyła mnie do łez.

- Dziękuję. - Madeleine dygnęła. Zawsze twierdziła, że nigdy nie ugnie kolana przed nikim z arystokracji, nie chciała jednak wprawiać Marianne w zażenowanie, a poza tym Jej Wysokość nie zachowywała się jak nadęta milady. Księżna wskazała na Duncana.

- To mój pasierb, markiz Risley, również miłośnik teatru.

Wstrzymał oddech, na wpół oczekując, iż Madeleine powie, że już się znają, jednak tylko uśmiechnęła się do niego i lekko pochyliła głowę w geście, który właściwie nie był ukłonem. Gdy znów podniosła wzrok, zauważył w jej fiołkowych oczach błysk rozbawienia, na co też się uśmiechnął.

- Panno Charron. - Dotknął kapelusza. - Jestem zaszczycony.

Jeśli księżna zauważyła konspiracyjne spojrzenia, które przebiegły między nimi, to zignorowała je i znów zwróciła się do Marianne:

- Panno Doubleday, cieszę się, że się spotkałyśmy. Chciałabym z panią porozmawiać o wieczorku muzycznym, który mam w planach. O ile nie ma pani innych zobowiązań, to będę bardzo wdzięczna, jeśli zechce pani dla nas wystąpić.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, milady, ale wszystko zależy od dnia. Najlepszy byłby czwartek, bo w czwartki nie mamy wieczornych spektakli.

- Będę o tym pamiętać i przyślę pani wiadomość.

- Będę czekać, Wasza Wysokość.

- Pozostawiam pani wybór tekstu. Na pewno znajdzie pani coś odpowiedniego.

- Pomyślę o tym. - Marianne drgnęła, czując palce Madeleine wpijające się w jej ramię. - Może jakiś dialog? To znaczy o ile Wasza Wysokość się zgodzi, by panna Charron mogła mi towarzyszyć.

- Doskonały pomysł. - Księżna życzliwie spojrzała na Madeleine. - Będzie mi bardzo miło panią widzieć, panno Charron. Planuję kameralne spotkanie i obecność pań z pewnością okaże się wielką atrakcją, prawda, Duncanie?

- Och, niewątpliwie - odrzekł uprzejmie, doskonale zdając sobie sprawę, że Madeleine patrzy na niego z dziwnym błyskiem w oku. Coś knuła. Oby nie zamierzała skompromitować go przed całą rodziną i snobistycznymi przyjaciółkami, które macocha zapraszała na swoje wieczorki. Z drugiej strony nie było pewne, czy go tam spotka, bo rzadko, i tylko na błagania macochy, brał udział w tych śmiertelnie nudnych imprezach.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, milady - powiedziała Madeleine, a gdy księżna i markiz odjechali, dodała: - Nie sądziłam, że to będzie takie łatwe.

- Nie jestem pewna, czy nie byłoby lepiej, gdybym poszła tam sama. Boję się, że poruszę gniazdo szerszeni.

- Nie wierzysz w moje nienaganne maniery? Zobaczysz, będziesz ze mnie dumna.

- Miałabym być z ciebie dumna, skoro wiem, jak doskonale potrafisz nabierać ludzi?

- Tylko odrobinę, i nikt nie poniósł przez to krzywdy. Poza tym mówiłam ci już, że przyznam się do wszystkiego, jeśli tylko nadarzy się okazja, by porozmawiać sam na sam z markizem.

- Z pewnością będziesz miała taką okazję. Widziałam, jak na ciebie patrzył, a ty uśmiechałaś się do niego niczym prawdziwa kusicielka.

- Nie jestem kusicielka.

- Czasami mam wrażenie, że sama nie wiesz, kiedy jesteś na scenie, a kiedy nie.

- Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają - zacytowała Maddy, przypominając sobie słowa, jakie Lancelot Greatorex wygłosił podczas ich pierwszego spotkania: „Nie musisz być na scenie, by grać rolę. Wszyscy to robimy od czasu do czasu. Chyba nie powiesz, że nigdy nie fantazjowałeś? Nigdy nie udawałeś, że jesteś kimś innym niż w rzeczywistości?”. Och, robiła to niejednokrotnie.

- To zapewne prawda - powiedziała Marianne - ale możemy grać tylko te role, w których nas obsadzono, nie zaś...

- Ty grałaś damę - przerwała jej Madeleine. - Wybrałaś się do Stanmore House i zwiódłaś całe towarzystwo. Dlaczego więc ja nie mogłabym tego zrobić?

- Zgodziłam się na to z bardzo ważnego powodu, a mianowicie by pomóc ująć złoczyńcę, który zagrażał lady Lavinii.

- Nigdy mi o tym nie wspominałaś. - Madeleine ucieszyła się, że rozmowa zbiegła w innym kierunku. Gdyby Marianne nadal wypytywała ją o motywy działania, miałyby kłopoty z odpowiedzią. Czy nadal nosiła w sercu żal do arystokracji? I w jaki sposób uczynienie zakochanego idioty z markiza Risleya miałyby wyrównać dawne krzywdy? A może po prostu chciała się przekonać, jak to jest być damą, osobą, z którą inni muszą się liczyć? Albo wstydziła się swojej przeszłości do tego stopnia, że musiała wymyślić sobie inną, lepszą? To jednak oznaczałoby, że wstydzi się również matki, która, choć biedna i bez żadnego tytułu, była kobietą szlachetną w najgłębszym tego słowa znaczeniu i Madeleine była z niej dumna. Żałowała tylko, że nie powiedziała jej nic o ojcu. Był jedynie cieniem,



pustą sylwetką bez żadnej treści.

Może zazdrościła markizowi Risleyowi, że znał swe drzewo genealogiczne sięgające zamierzchłej przeszłości, ona zaś nie wiedziała, od kogo pochodzi. Nawet nie nazywała się Charron, lecz Cartwright, choć i tego nie była pewna. Matka mogła wymyślić to nazwisko, podobnie jak ona wymyśliła francuskiego dziadka, a gdy już raz powołała go do życia, nie potrafiła zrezygnować z niego.

- Maddy, znów zaczynasz śnić na jawie. Jeśli nie zaczniesz zwracać większej uwagi na otoczenie, to któregoś dnia wpadniesz pod powóz.

Słowa Marianne przeniosły ją w przeszłość o piętnaście lat. Stała obok pasmanterii, a mama, która właśnie wyszła ze sklepu, wkładała rękawiczki i mówiła coś o powrocie do domu. Znów usłyszała szcęk podków końskich, dudnienie kół i krzyki, gdy woźnica próbował ściągnąć konie. Zobaczyła jego wykrzywioną twarz, gdy stracił kontrolę nad powozem, a w następnej chwili mamy już nie było obok niej. Błada i nieruchoma leżała na ulicy, spod głowy wypływała strużka krwi. Usłyszała własny krzyk.

- Maddy, Maddy, co się z tobą dzieje? - dotarł do niej głos Marianne. - Jesteś blada jak prześcieradło!

Wzdrygnęła się i nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała wokół siebie. Znów była w 1827 roku, przed kolumnadą Covent Garden, w samym środku ruchu ulicznego. Nikt nie leżał na ulicy, a przyjaciółka ciągnęła ją za rękę.

- Myślałam o mojej matce...

- Och, Madeleine, Bóg powinien pokarać mnie za głupotę. Zapomniałam. Przepraszam cię. Czy możesz mi wybaczyć?

- Nie mam ci czego wybaczać. - Wzięła Marianne pod rękę. - Musimy już iść.

Ten obraz jednak pozostał gdzieś w jej umyśle, jakby musiała wciąż pamiętać, dlaczego była tym, kim była, i dlaczego pragnęła wyrwać się z oków przeszłości. Przecież to matka wymyśliła nazwisko Charron, nadal więc prowadziła ją przez życie. Na tę myśl Madeleine poczuła się lepiej.

- Nie mówiłaś mi wcześniej, że przygotowujesz wieczorek muzyczny - rzekł Duncan, gdy znów siedzieli w powozie.

- A dlaczego miałam ci o tym mówić? Urządzam te wieczorki regularnie, a ty nigdy nie interesowałaś się nimi.

- Przecież brałam udział w ostatnim.

- Tylko dlatego, że bardzo nalegałam, byś się pojawił, a i tak jaśnie oświecony markiz raczył nam towarzyszyć zaledwie kwadrans.

Uśmiechnął się na tę zgryźliwość, jakże nietypową dla macochy

- Może miałem inne zajęcia, mam.

- Och, z pewnością. White lub Boodles, mam rację?

- Brzmi to tak, jakbym był nałogowym hazardzistą, a wiesz przecież, że rzadko grywam na pieniądze.

Frances uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak jej pasierb, syn właściwie, wybrał się na węgry i odwiedził przybytek hazardu, gdy miał zaledwie piętnaście lat. Księżę zmył mu wówczas głowę i zmusił do złożenia obietnicy, że nigdy więcej nie odwiedzi podobnego miejsca. Owszem, wiedziała, że bywał w klubach dla dżentelmenów, ale był już dojrzały i nigdy nie stawiał więcej niż kilka gwinei, czyli żadna strata.

- Rozumiem więc, że masz ochotę zaszczycić swoją obecnością mój najbliższy wieczorek. Czy ma to coś wspólnego z uroczą panną Charron?

- Dlaczego tak myślisz? - spytał zaskoczony.

- Bo znam cię doskonale i wiem, że nie potrafisz się oprzeć ładnej buzi - podkpiwała. - Czy to o nią rywalizowaliście z Benedictem?

- Nie rywalizowaliśmy. Benedict był przekonany, że nie uda mi się zaprosić jej na kolację, jeśli nie wyjawię swojego nazwiska. To wszystko. Teraz żałuję, że przyjąłem ten zakład.

- Dlaczego?

- Bo był niehonorowy.

- Zgadza się.

- Gdy opowiedziała mi o swoim życiu, poczułem wstyd. Ona pochodzi z dobrej rodziny, mam. Jej dziadek był francuskim hrabią, który umknął z kraju przed terrorem rewolucji. Ojciec zginął na

wojnie w służbie naszego króla, a matkę przejechał powóz, gdy Madeleine miała ledwie dziewięć lat. Została aktorką, bo musi z czegoś żyć.

- Jeśli to prawda, to bardzo smutna historia. Bądź jednak ostrożny, Duncanie, i nie wzbudzaj w niej nadziei, których nie będziesz mógł spełnić.

- Mamo, jesteś jeszcze gorsza niż Lavinia. Zaprosiłem ją na kolację, a potem odwiozłem do domu. Nic poza tym się nie zdarzyło. Nie jestem łajdakiem.

- Wiem o tym, kochanie.

Na szczęście powóz właśnie dojechał do sierocińca.

Nie była to pierwsza wizyta Duncana w tym smutnym przybytku, ale dotąd nie zwracał uwagi ani na mieszkańców domu, ani na warunki życia. Widział tylko, że pomieszczenia były czyste, a dzieci ubrane i nakarmione. Teraz jednak, mając w pamięci historię Madeleine Charron, spojrzął na to innym wzrokiem.

Gdy księżna zajęta była rozmową z panią Thomas, która prowadziła przytułek, obszedł cały dom, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. Obejrzał jadalnię, w której stał długi stół i ławy, sale sypialne z rzędami łóżek, kaplicę oraz kuchnię, w której kilkoro dzieci trudziło się przygotowaniem posiłku dla pozostałych. Czy w takich właśnie warunkach mieszkała Madeleine?

Mówiła, że przytułek, do którego trafiła, przeznaczony był dla dzieci oficerów, może więc było tam nieco więcej wygód. Jakież to jednak mogło mieć znaczenie dla dziecka, które pozostało samo na świecie? Strata ukochanej matki... Jego matka zmarła, gdy dobiegał dwunastu lat. Było to straszne przeżycie, ale przecież miał ojca i siostrę, a potem pojawiła się macocha, którą pokochał z całego serca. Jak jednak musi czuć się dziewczyna, która została zupełnie sama na świecie i może paść ofiarą każdego drania, któremu wydaje się, że może kupić jej względy?

Poczuł wielką potrzebę, by chronić pannę Madeleine Charron.

Londyńska publiczność zwykle potrafiła docenić dobrą sztukę, nawet jeśli czasem zachowywała się nieco hałaśliwie, ale podczas

premiery „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” niektórzy tylko czyhali na okazję, by dokuczyć aktorom. Rzucali głupie, a nawet niewybredne komentarze i rechotali zadowoleni z siebie. Ci, którzy chcieli obejrzeć sztukę w spokoju, domagali się ciszy, niestety bezskutecznie. Marianne nie potrafiła zignorować tego rejdachu i grać jak gdyby nigdy nic. Kiedy kurtyna wreszcie opadła po ostatnim akcie, odetchnęła z głęboką ulgą.

- Im też nie podobała się ta sztuka. - Wzruszyła ramionami, gdy wracały do garderoby. - Zastanawiam się, dlaczego pan Greatorex ją wybrał?

- Bzdury. Większość publiczności była zachwycona. Tylko ten drań Willoughby, który uważa się za Bóg wie co, sprawiał kłopoty. Nie widziałaś go? Siedział na widowni z grupą awanturników i cała ta banda starała się uprzykrzyć nam ten wieczór. Inni widzowie próbowali ich uciszyć.

- A oni wtedy zachowywali się jeszcze gorzej. Są przekonani, że pieniądze i pozycja dają im prawo, by robić wszystko, co im się podoba! Są bezczelni, drwią z innych i dziwią się, gdy ktoś ma śmiałość zaprotestować. Ale cóż, skoro nawet morderstwa uchodzą im na sucho... - Jej matka zginęła przez takiego właśnie złotego młodzieńca.

- Zdziwiło mnie tylko, że zauważyłam wśród nich Stanmore'a.

- Naprawdę?!

- Siedział obok Willoughby'ego. Sama widzisz, że niczym się nie różni od pozostałych.

- Nigdy nie powiedziałam, że jest inny.

Trudno jej było to przyznać, ale czuła gorzkie rozczarowanie. Podczas kolacji markiz wydawał się miłym i uważnym kompanem. Rozmawiał z nią jak z równą sobie, uznała więc, że różni się od reszty młodych arystokratów. Niestety, pomyliła się. Głupio zrobiła, zawierając mu swe tajemnice, o których wiedziała tylko Marianne. Zapewne wykorzystał jej opowieść, by dostarczyć rozrywki pijanym przyjaciołom. Świetnie musieli się bawić jej kosztem. Była zdruzgotana i wściekła, dlatego gdy markiz przysłał do garderoby

ogromny bukiet czerwonych róż wraz z adnotacją na bileciku, że będzie czekał na nią po spektaklu, powiedziała do posłańca:

- Oddaj je milordowi i powiedz, że nie chcę, by mnie przekupywał, i że zjem kolację z przyjaciółmi.

- Zdziwiłaś mnie - rzekła Marianne ze śmiechem, gdy posłaniec zniknął. - Czyżbyś zamierzała grać trudną do zdobycia?

- Zawsze taka byłam - prychnęła Maddy, myśląc o Henrym Bulfordzie. Marianne miała rację, wszyscy ci młodzi ludzie byli do siebie podobni. Niech więc będzie i tak, pomyślała. Nie zamierzała już przyznawać się przed markizem do swego oszustwa, przeciwnie, z całą maestrią będzie odgrywać rolę wnuczki hrabiego. Ktoś musiał zapłacić jej za upokorzenie - nie tylko to, którego doznała podczas spektaklu, ale również za wszystko, co w życiu wycierpiała.

- Moje drogie dziecko, to prawda, że zachowywali się głośno i irytująco, ale nie bierz sobie tego tak do serca. W końcu przeżyłaś już gorsze rzeczy niż kilka okrzyków i gwizdów z widowni, a jednak udało ci się wznieść ponad to i zostać wielką aktorką. Nie pozwól, by dzisiejszy wieczór napełnił cię goryczą.

- Jak zawsze jesteś moim moderującym głosem, Marianne. Nie pozwalasz mi popaść w przesadę, czy chodzi o złość, chęć odwetu, czy o cokolwiek innego. Co bym bez ciebie zrobiła?

- Jestem pewna, że poradziłabyś sobie doskonale, moja droga. Wybieram się na kolację z sir Percym, a ty jakie masz plany?

- Pojadę do domu. Jestem zmęczona, pewnie dlatego nie grałam dzisiaj najlepiej.

- Bzdury. Grałaś równie dobrze, jak zawsze. Nie zwracaj uwagi na garstkę pijanych awanturników.

- W tym również markiza Risleya... Nie musisz już prosić sir Percy'ego, by przedstawił mnie księżnej, skoro stało się to bez jego pomocy. Im mniej ludzi wie o moich intencjach, tym lepiej.

- A więc nadal zamierzasz przeprowadzić swój plan?

- Jak najbardziej.

Gdy sir Percy przyjechał po Marianne, właśnie kończyła się przebierać. Ubrany był w niezwykle satynowy frak z wysokim,

stojącym kołnierzem, uszyty z ciemnofioletowego atłasu i ozdobiony przy kieszeniach wielkimi patkami z ciemnoróżowego aksamitu. Do tego miał na sobie kamizelkę w zielone prążki oraz kremowe spodnie z troczkami zawiązanymi pod podeszwami butów na czerwonych obcasach. Buty takie były ostatnim krzykiem mody w czasach jego młodości. Sir Percy doskonale wiedział, że wszyscy śmieją się z jego strojów, a niektórzy młodzi ludzie nawet czynią zakłady, w jakim kolorze wystąpi następnego dnia, ale bawiło go, że jego dziwactwa przynoszą uciechę innym.

Złożył szarmancki ukłon przed damami.

- Wyglądasz wspaniale, moja droga Marianne. - Obrzucił ją pełnym uznania wzrokiem. - Czy panna Charron również idzie z nami?

- Och, nie, drogi panie - ze śmiechem odrzekła Madeleine. - Rola przyzwoitki zupełnie mi nie odpowiada. Mam ochotę wrócić do domu i położyć się spać.

- Doprawdy? - Sir Percy uniósł ciemne brwi. - Zdawało mi się, że widziałem przed teatrem powóz Risleya, ale skoro tak mówisz, to widocznie czeka na inną aktorkę.

- Pewnie tak.

- Chodź, moja droga. - Spojrzał na Marianne. - Jestem głodny jak wilk.

Kiedy zniknęli w burzy tęczyowych kolorów, Madeleine mogła spokojnie zakończyć swoją toaletę. Włożyła zieloną suknię z rękawami w kształcie baraniego udźca, na wierzch narzuciła lekką wełnianą pelerynę bez rękawów, a ciemne loki nakryła zielonym kapelusikiem ozdobionym długim piórem. Nie śpieszyła się, mając nadzieję, że markiz podda się i wróci do domu, ale gdy w końcu wyjrzała na ulicę, powóz nadal tam stał. Uniosła wyżej głowę i wyminęła go obojętnie.

- Madeleine! - zawołał cicho. - Madeleine, zaczekaj.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, milordzie.

- Dlaczego? Czyżbym cię czymś obraził?

- Zostawię to pańskiemu osądowi. To znaczy o ile ma pan w ogóle

sumienie. Życzę dobrej nocy.

Już był przy niej, już dotknął jej ramienia.

- Pozwól, że odprowadzę cię do domu, a po drodze mi opowiesz, czym cię uraziłem.

Strząsnęła jego dłoń.

- Mogę pana oświecić, nie wsiadając do pańskiego powozu. Otóż urządził pan sobie zabawę z dzisiejszego spektaklu. Przyprowadził pan pijanych przyjaciół, by się ze mnie wyśmiewali, rzucali na scenę skórki pomarańczy i przerywali moje kwestie. Przywykłam już do drwin, panie Risley, sądziłam jednak, że bardziej potrafi pan docenić mój talent. W zeszłym tygodniu doskonale pan udawał, że jest pan jego wielbicielem, ale to było jeszcze przed tym, zanim odrzuciłam pańskie zaloty, prawda? Czy to miała być zemsta?

- Zemsta? Dobry Boże! Nie wierzysz chyba, bym kierował się tak niskimi pobudkami!

- A jednak wierzę, milordzie. Sądzę też, że ci łajdacy wiedzą już o wszystkim, co opowiedziałam panu w zaufaniu.

- Nie, absolutnie nie! Byłem w teatrze razem z nimi, ale nie wiedziałem, że będą tak się zachowywać i w żadnym razie nie brałem w tym udziału. Proszę, zaufaj mi! Za nic na świecie nie chciałyby cię zranić.

- Zranić, mój panie? Mnie nie można zranić, a pan już z całą pewnością dokonać tego nie zdoła. - Spojrzała na niego jak na nędznego robaka. - Jestem tylko zła, że garstka rozwydrzonych próżniaków zepsuła wieczór innym ludziom.

- Ja również, uwierz mi. Proszę, pozwól, bym cię odprowadził do domu. Nie powinnaś chodzić sama po ulicach o tej porze. Może ci się przydarzyć coś złego.

- Troszczy się pan o moje bezpieczeństwo? - Uśmiechnęła się lekko.

- Naturalnie, że tak.

- I zechce pan pójść ze mną?

- Jeśli wolisz przechadzkę niż jazdę powozem, będę czuł się zaszczycony.

**- W takim razie proszę odesłać powóz. Nie ma potrzeby męczyć koni tak długim czekaniem.**

SR



## *Rozdział trzeci*

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Pograżeni byli w myślach, którymi nie mieli ochoty się dzielić. Madeleine wciąż była wściekła na markiza, jednak w duchu cieszyła się z jego towarzystwa. Aby dotrzeć z Covent Garden na Oxford Street, trzeba było przejść przez najbardziej niesławną część miasta, pełną rabusiów i innych typów spod ciemnej gwiazdy, ochrona była więc jak najbardziej wskazana.

Duncan wiedział doskonale, że w opinii swych towarzyszy opuścił ich, by odprowadzić do domu pannę Charron w nadziei na wygranie zakładu. A przecież najchętniej cały ten zakład wysłałby do stu diabłów! Jutro przyjaciele będą się domagać, by opowiedział im o tym wieczorze ze wszystkimi szczegółami i by ich przekonał, że udało mu się dostać do łóżka pięknej aktorki. Cóż, przyzna się do porażki, narazi na kpiny, ale co tam... Najważniejsze, by panna Charron nigdy się o tym nie dowiedziała. Jak, na litość boską, mógłby jej to wyjaśnić, nie narażając się na pełną pogardy furję? Spoliczkowanie? I całkowite zerwanie kontaktów?

Ale i tak, sądząc po tym, co usłyszał przed chwilą, stracił już u niej wszelkie szanse. Przeklinał się za to, że przyjął zaproszenie na kolację z Benedictem i jego przyjaciółmi, a potem poszedł do teatru w tym zacnym towarzystwie. Próbował powstrzymać ich wybryki, ale kto powstrzyma opojów. Lecz i tak było mu ogromnie wstyd.

- Panno Charron - powiedział w końcu. - Jeśli panią obraziłem, najuniżeniej błagam o wybaczenie.

- Nie tylko mnie obraziłeś, milordzie, ale również wszystkich innych aktorów oraz widzów. Te wasze obrzydliwe ekscesy... I wy nazywacie się dżentelmenami? Nawet ulicznicy potrafią zachować się lepiej.

- Masz zupełną rację. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że nie miałem pojęcia, jak będą się zachowywać moi przyjaciele. Wypili trochę za dużo.

- Trochę? - odrzekła z pogardą. - Raczej o beczkę za dużo. Nie jest

to zresztą żadne usprawiedliwienie, choć większość ludzi tak uważa. Proszę, milordzie, nie wspominaj już o tym, gdyż wpadam tylko w coraz większą złość.

- Skoro nie chcesz słuchać moich przeprosin, nie rzeknę już ni słowa.

- Cieszę się - odparła zgryźliwie.

Szli więc dalej w milczeniu. Na ulicach wokół teatru panował spory ruch i płonęły latarnie, ale teraz wkroczyli w biedną dzielnicę, ciemną i gęsto zabudowaną. Od czasu do czasu z nędznych tawern wychodzili pijani bywalcy i wężykiem zmierzali w stronę domów. Ulice pełne były kałuż, po stertach śmieci ganiały się myszy, wokół rozchodziły się przykre wonie.

Madeleine pomyślała, że stała się łakomym kąskiem. Kilka lat wcześniej przeszłaby tą ulicą bez żadnego wahania, pewna, że nikt jej nie zaatakuje. Była ubogim dzieciakiem, podobnym do wszystkich mieszkańców tej okolicy, nie miała nic, co można byłoby jej ukraść. Jakże daleko odeszła od tamtych czasów - a mimo wszystko nie tak daleko, jak by sobie tego życzyła.

- Przepraszam cię, milordzie. - Z uśmiechem położyła mu dłoń na ramieniu. - Byłam nieuprzejma, podczas gdy ty zadałeś sobie trud, by odprowadzić mnie do domu. Jeśli masz ochotę, to mów, będę cię słuchać.

Zaskoczyła go ta nagła zmiana tonu. Jędza zniknęła, zastąpiła ją kobieta, która miała skrupuły, że niesprawiedliwie go złażała. Dłoń na jego rękawie była ciepła, podobnie jak uśmiech Madeleine. Widział jej twarz w świetle dochodzącym z okien mijanych domów. Te błyszczące oczy i lekko rozchyłone usta...

Piękna i godna pożądania, pomyślał. Gdyby nie byli tym, kim byli, z łatwością mógłby ją obdarzyć prawdziwą miłością - nie taką, jaką dżentelmeni czują do swych kochanek, akceptowanych w towarzystwie pod warunkiem, że znają swoje miejsce i trzymają się w cieniu, lecz miłością, jaką mężczyzna darzy kobietę, którą pragnie poślubić. Ta nedorzeczna myśl wstrząsnęła nim do głębi i dopiero po chwili zapanował nad sobą tak, by coś powiedzieć.

- Nie jestem dobrym mówcą, chciałbym jednak, żebyśmy zostali przyjaciółmi, a jeśli w jakikolwiek sposób zaprzeczyłem temu przez brak wrażliwości, przyjmij moją szczerą skruchę. Będę nalegał, by Willoughby cię przeprosił.

- To nie jest konieczne, milordzie. Nieszczere przeprosiny są bez wartości, a wątpię, by pan Willoughby rozumiał, że powinien za coś przeprosić. Proszę, zapomnijmy o tym.

- Gotów jestem na to przystać, o ile przestaniesz mnie tytułować. Wolę, byś zwracała się do mnie po imieniu, a jeśli to zbyt trudne, to po nazwisku. Wiesz, tytuł bywa okropnym ciężarem.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Tytuł to również wielkie ograniczenia.

- Czy dlatego, że wszyscy cię znają i nie możesz pozwolić sobie na niegodne zachowanie, bo cały świat natychmiast się o tym dowie?

- Nie tylko. Chodzi również o to, że niektórzy ludzie, których zdanie wysoko cenię, nie czują się przy mnie swobodnie i obawiają się szczerze mówić.

- Czyżby naprawdę cię to dziwiło? Masz wielką władzę, a w każdym razie twój ojciec, książę Loscoe, ją posiada. Twoja dezaprobata z łatwością może zrujnować komuś życie.

- Mam nadzieję, że ty nie masz takich zahamowań.

- A czy powinnam je mieć?

- Nie, absolutnie nie. To właśnie podoba mi się w tobie. Mówisz, co myślisz, a jeśli uważasz, że zasłużyłem na połajankę, to nie hamujesz języka.

- Musisz mnie brać taką, jaką jestem. Nie miałam okazji, by nauczyć się tych wszystkich niuansów wymaganych w dobrym towarzystwie, ale z mojego skromnego doświadczenia wynika, że mnóstwo jest tam pustych gestów. Trzeba robić to albo tamto, czegoś innego z kolei nie wolno robić pod żadnym pozorem i za wszelką cenę należy przestrzegać hierarchii społecznej.

- Nie wszyscy dobrze urodzeni są tacy - odrzekł Duncan cicho. - Moi rodzice mają bardzo liberalne poglądy.

- To prawda, księżna rozmawiała ze mną bardzo życzliwie, ale to

jeszcze nie znaczy, że przyjęłaby mnie do kręgu swoich przyjaciół.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałyby tego zrobić. Jesteś przecież wnuczką hrabiego.

Nie chciała, by przypominał jej o tym kłamstwie, ale nie była też gotowa na wyznanie winy, choć obiecała Marianne, że to zrobi.

- Francuski hrabia to nie to samo co angielski, prawda?

- Może nie, choć mamie nie sprawiłoby to różnicy.

- Myślę jednak, że księciu tak.

- Niekoniecznie, choć mój ojciec potrafi zachowywać się jak snob. Widywałem to niejednokrotnie, gdy byliśmy z siostrą dziećmi, ale obecna księżna bardzo go utemperowała. Gdy odwiedzisz nasz dom, sama się przekonasz, jak życzliwym człowiekiem jest mój ojciec.

- Czy też tam będzie? - Nie przewidywała, że stanie twarzą w twarz z samym księciem, potężnym arystokratą i jednym z najważniejszych dygnitarzy w królestwie. Łatwo było chwalić się swymi zamiarami przed Marianne, ale wprowadzenie ich w czyn mogło się okazać trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Markiz Risley okazał się dobrym i troskliwym człowiekiem, przez co również traciła spokój ducha. Wiedziała, że musi zachować czujność, bo zbyt łatwo mogłaby stracić dla niego głowę, a to z pewnością zakończyłoby się katastrofą. - Myślałam, że na tym wieczorku obecne będą wyłącznie damy.

- Zazwyczaj pojawia się też kilku dżentelmenów, których mojej matce uda się namówić na dobroczynne gesty.

- Czy ty również znajdujesz się w tej liczbie?

- Za nic w świecie nie przepuściłbym takiej okazji - odrzekł uroczyście. - Uroczą panną Charron w bawialni Stanmore'ów to coś, co warto zobaczyć. Mama miała rację. Będziesz przyciągać wielki świat jak magnes.

- To absurd.

- Ależ skąd. Na pewno zbierzemy mnóstwo pieniędzy na sierociniec.

- Sierociniec... - powtórzyła cicho.

- Tuż po wojnie mama zaangażowała się w opiekę nad sierotami

po żołnierzach. Gdy otwierano sierociniec przy Maiden Lane, osobiście podwinęła rękawy i pomagała doprowadzić dom do porządku.

Odetchnęła z ulgą. Sierociniec, w którym mieszkała, znajdował się przy Monmouth Street.

- W takim razie mam nadzieję, że zbiórka będzie udana. Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc.

- Och... Zupełnie zapomniałem, że ty też mieszkałaś w sierocińcu.

- Staram się o tym nie myśleć. To już przeszłość. - Nie chciała, by ją o to wypytywał, bo poczułaby się jeszcze bardziej winna.

Lekko uścisnął jej dłoń.

- Rozumiem. Dla ciebie musiało to być szczególnie bolesne doświadczenie, bo pochodzisz z dobrej rodziny. Może jednak któregoś dnia przekonasz się, że nie jesteś sama na świecie.

- Gdybym miała jakąś rodzinę, na pewno ujawniłaby się po śmierci mamy. Już się z tym pogodziłam. Mam swoją pracę i przyjaciół.

- Bardzo bym pragnął, żebyś i mnie do nich zaliczyła - rzekł cicho.

- Być może. - Roześmiała się, by rozluźnić napiętą atmosferę. - O ile tylko będziesz się stosownie zachowywał.

- Skoro nagrodą ma być twoja przyjaźń, gotów jestem zmienić się we wzór dobrych manier. Będę w ciebie rzucał skórkami z pomarańczy tylko wtedy, gdy nie będziesz stała na scenie.

Roześmiała się.

- Nie będziesz we mnie niczym rzucał. Dlaczego przyszedłeś dzisiaj do teatru? Sztuka o szlachcicu wmanewrowanym w małżeństwo z córką lekarza, którą pogardza, raczej nie jest w twoim guście.

- Zasłużył sobie na to, bo potraktował ją bez zachowania stosownych manier.

Znów musiała się roześmiać.

- To tylko sztuka, a w dodatku zmuszono go do małżeństwa z Heleną. Jestem pewna, że nie pozwoliłbyś się wplątać w podobną sytuację.

- Gdyby ta dziewczyna była tak piękna jak ty, to dziękowałbym niebiosom i uznałbym się za szczęściarza.

Wiedziała, że było to puste pochlebstwo. Próbował z nią flirtować, choć napięcie między nimi i tak było aż nadto wyczuwalne.

- Nie musisz zarzucać mnie nieszczerymi komplementami, i tak jestem wystarczająco próżna. Najlepiej, jak potrafię, gram rolę, które dostaję, a jeśli udaje mi się czasem skłonić publiczność do myślenia, to czuję się podwójnie wynagrodzona.

- Mnie z pewnością zmusiłaś do myślenia. Za każdym razem, gdy cię widzę, odkrywam coś nowego, co w tobie podziwiam.

- To tylko kolejne pochlebstwa.

- To prawda, moja droga. Z podziwku brakuje mi słów.

- Akurat! Przecież gadasz jak najęty!

- Rozumiem z tego, że znów każesz mi zamilknąć - odrzekł smętnie.

Tak byli zaabsorbowani przerzucaniem się słówkami w dialogu, który więcej skrywał, niż ujawniał, że zupełnie nie zwracali uwagi na otoczenie. Skręcili w Oxford Street i byli już prawie u celu.

Nagle z bocznej uliczki wychynął jakiś mężczyzna, pochwycił Madeleine i ustawił przed sobą niczym tarczę. W ręce trzymał nóż.

- Panie, jeśli nie chcesz, bym zniszczył urodę tej damy, to oddaj mi to, co masz cennego - rzekł do Duncana.

Napastnik był duży i silny. Madeleine czuła od niego alkohol pomieszany z wonią niemytego ciała i zrobiło jej się niedobrze, ale z nożem przytkniętym do policzka nie odważyła się wyrywać.

- Puść mnie - poprosiła. - Proszę, puść mnie.

- Najpierw niech twój ukochany odda mi swoje błyskotki. Duncan jednak nie śpieszył się z wyjęciem brylantowej spinki z fularu ani łańcuszka z kieszonki kamizelki. Śmiało stanął twarzą do napastnika, nie cofając się ani o krok.

- Raczej nie - rzekł łagodnie. - Jestem do nich przywiązany.

Madeleine poczuła, że zapiera jej dech. Nie była w stanie uwierzyć, że Duncan gotów jest poświęcić ją, by zachować klejnoty. Otworzyła usta do krzyku, rabuś jednak zakrył je dłonią. Drugą ręką

wciąż trzymał nóż tuż przy jej szyi.

- Mówię poważnie, panie Oddaj mi swoje klejnoty.

- Nie bądź głupi, człowieku - rzekł Duncan spokojnie, zbliżając się o krok. - Naprawdę nie warto tego robić.

- Lepiej tu nie podchodź. Ten nóż jest ostry jak brzytwa. - Bandyta cofnął się, pociągając Madeleine za sobą. - Pośpiesz się, bo nie mam czasu.

Powoli, zbyt powoli jak na gust Madeleine, która rozpaczliwie próbowała złapać dech, Duncan zaczął odpinać spinkę, a potem łańcuszek. Nie podał ich jednak rabusiowi, lecz zamknął w dłoni.

- Czy naprawdę są ci tak bardzo potrzebne? - zapytał wciąż z tym samym spokojem w głosie.

- Jasne, że tak. Myślisz, że bym na was napadł, gdybym nie musiał? Dawaj to i gotówkę.

- Oddam ci wszystko z największą przyjemnością, jeśli tylko wypuścisz panią.

- Uważasz mnie za durnia? Wypuszczę ją, gdy już będę miał te błyskotki w ręku.

- W takim razie jak chcesz je wziąć? - Duncan pomachał mu klejnotami przed nosem. - Masz tylko dwie ręce i obie zajęte.

Napastnik zdjął dłoń z ust Madeleine i wyciągnął ją w stronę klejnotów. W tej samej chwili Duncan pochwycił go za przegub i wykręcił ramię. Bandyta musiał puścić Madeleine. Rozległ się jęk, nóż wysunął się w bezwładnej dłoni.

- Czy nic ci się nie stało? - zapytał Duncan, mocno trzymając napastnika, który bezskutecznie próbował się wyrwać.

- Nie. - Jednak drżała na całym ciele tak mocno, że musiała oprzeć się o ścianę budynku.

- Nie chciałem skrzywdzić tej pani - rzekł niedoszły rabuś - ale co miałem zrobić? Nie mam pracy, a dzieci głodują.

- Ty głupcze. Będą jeszcze bardziej głodne, jeśli trafisz do więzienia.

- Błagam cię, panie, nie oddawaj mnie policji!

- To nie pomoże ci nakarmić dzieci, prawda? Lepiej byś zrobił,

gdybyś znalazł pracę.

- Myślisz, panie, że nie próbowałem?

- Więc spróbuj jeszcze raz. Jutro z samego rana idź na Bow Street do domu tuż obok magistratu i powiedz, że przysłał cię Stanmore. Pomogą ci. Aha, weź jeszcze to. Nie chcę mieć na sumieniu twoich głodnych dzieci. - Puścił nieszczęśnika i podał mu kilka monet. - To na jedzenie, rozumiesz? - Gdy niedoszły rabuś stał nieruchomo, jakby nie wierząc własnemu szczęściu, dodał z uśmiechem: - Idź już, zanim zmienię zdanie. - Kiedy odszedł, Duncan zbliżył się do Madeleine, która wciąż stała oparta o ścianę. - Tak mi przykro, kochana. - Wziął ją w ramiona. - Nigdy bym nie pozwolił, żeby coś ci się stało. Czy dobrze się czujesz? Nie masz żadnych siniaków?

- To się okaże jutro. - Próbowała się roześmiać. - Boże drogi, jaki byłeś dzielny!

- On bał się bardziej ode mnie. Musisz jak najszybciej znaleźć się w domu. Niestety, w tej okolicy nie ma żadnych dorożek, a nie odważę się zostawić cię tu samej, żeby jakiejś poszukać. Czy możesz iść?

- Trochę drżą mi nogi, ale nic mi się nie stało.

- Powinniśmy oddalić się stąd jak najszybciej.

Otoczył ją ramieniem i choć Madeleine szybko doszła do siebie, bliskość ciepłego i mocnego ciała sprawiała jej przyjemność. Powiedział do niej: „kochana”, w jego głosie brzmiała szczerza troska.

- Mogłeś zostać ranny, a nawet zginąć, i to wszystko przeze mnie. Nie powinnam była upierać się przy powrocie do domu piechotą. Czeka cię teraz długa droga do Stanmore House, a on może się na ciebie zacząć.

- Nie sądzę. Spotykałem takich już wcześniej. To nie są prawdziwi przestępcy, kieruje nimi desperacja.

- A co to za dom przy Bow Street?

- To miejsce, gdzie znajdują pracę dla takich jak on. Usłyszałem o nim przypadkiem. - Nie była to prawda, albowiem Duncan sam założył tę instytucję i ponosił koszty utrzymania.

- Gdyby nie moja głupia duma, miałbyś z sobą powóz.

- Tak, ale wówczas cała droga zajęłaby nam zaledwie kilka minut i



nie zdążylibyśmy znów stać się przyjaciółmi. Nadal byłabyś na mnie zła.

- Być może. - Zaśmiała się. - Teraz jednak to ty masz powody, by złościć się na mnie.

- Absolutnie nie, moja droga Madeleine. Wydaje mi się, że cię rozumiem.

- Naprawdę? - zapytała miękko, myśląc, że sama siebie nie rozumie. Czasami wydawało jej się, że rozróżnia własne motywy, a czasami miała wrażenie, że jest jednym kłębkim wątpliwości.

- Ważna jest dla ciebie twoja sztuka, bo pozwala ci wyrazić prawdziwe ja. Każdy, kto z niej kpi, jest odrażającym draniem i zasługuje na twój gniew. Jesteś dumna i masz do tego prawo, choć czasami ta duma obraca się przeciwko tobie. Czy dobrze to rozumiem?

Jak na jej gust był stanowczo zbyt przenikliwy. Czego jeszcze mógł się domyślić? Zaśmiała się, maskując irytację.

- Doskonale to odgadłeś. Szkoda, że nie potrafię równie dobrze przeniknąć twojego charakteru.

- Ależ, moja droga, to akurat jest bardzo proste. Jestem rozpieszczonym synem arystokraty, reaguję atakiem złości, gdy coś nie idzie po mojej myśli, potrafię jednak być miłym kompanem, kiedy sprawy układają się zgodnie z moją wolą. Oczywiście ta charakterystyka odnosi się również do wszystkich mi podobnych.

- Nie wierzę w to. Inni podobni tobie, jak to ująłeś, zawołaliby strażnika i wysłali tego człowieka do więzienia, nawet gdyby byli w stanie poradzić sobie z nim w walce tak jak ty, w co również wątpię.

- Czy sądzisz, że powinienem wysłać go do więzienia?

- Nie wiem - rzekła niepewnie. - Jednak jeśli masz rację, to zasługuje on raczej na współczucie.

- Współczucie to za mało - rzekł cicho.

- Nie spotkałam w życiu wielu arystokratów, ale ci, których poznałam, nie miewali takich uczuć. Jesteś inny.

Przyciągnął ją bliżej.

- Mam taką nadzieję, moja droga Madeleine. - Znajdowali się już

przed jej domem, lecz Duncan nadal otaczał ją ramionami. - Czy teraz już będziesz bezpieczna?

- Tak, dziękuję ci bardzo.

- Całe szczęście, że byłem z tobą. Gdyby nie to, mogłabyś zostać... - Urwał gwałtownie.

- Chodziło mu raczej o twoje klejnoty.

- Gdyby nie było mnie z tobą, mogłoby to wyglądać inaczej. Chcę, moja droga, żebyś mi coś obiecała. Musisz mi dać słowo, że nigdy więcej nie będziesz wracała do domu piechotą. Weź dorożkę albo przyślij po mnie. Wiesz przecież, że przyjadę. - Patrzył na nią z czułością.

Serce jej się ścisnęło i choć usilnie próbowała, nie potrafiła zamienić go w kamień. Nie tak miało to wyglądać.

- Będę o tym pamiętać, ale teraz martwię się o ciebie. Będziesz musiał iść przez całe miasto. Może spróbuję namówić gospodynię, żeby znalazła dla ciebie jakieś łóżko?

- Lepiej nie - rzekł po długim namyśle. - Mógłbym zapomnieć, że jestem dżentelmenem. - Przyłożył usta do jej czoła. - Dobranoc, słodka Madeleine, śpij dobrze. - Oddalił się długimi krokami, nie oglądając się ani razu.

Weszła do środka. Była zmieszana i zła na siebie. Dlaczego nie powiedziała Duncanowi prawdy? Po co brnęła w oszustwo? Jak teraz miała pójść na wieczorek do księżnej i udawać kogoś, kim nie jest? Duncan w niczym nie przypominał Henryego Bulforda. Był odważny jak lew, potrafił zachować zimną krew w trudnej sytuacji, odnosił się do niej z szacunkiem. Czy nadal by ją szanował, gdyby się dowiedział, że rozmyślnie go oszukała?

Była pewna, że Duncan znów pojawi się w teatrze, a wówczas będzie musiała go odrzucić, udawać, że jest umówiona z kimś innym, dać do zrozumienia, że dzisiejszy epizod był dla niej tylko wspólnie przeżyta przygoda, niczym więcej.

Weszła na górę do swojego pokoju, podeszła do okna. Ulica była pusta i ciemna. Duncana nie było już widać. Zniknął z jej oczu, ale nie z serca. Modliła się, by bezpiecznie dotarł do domu.

Duncan nie obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Spotkał już w życiu wielu takich rabusiów. Byli to zwykli mężczyźni, tacy jak on sam, tyle że mieli mniej szczęścia w życiu. Gdy już zrozumieli, że nie jest ich wrogiem, zwykle stawali się podatni na resocjalizację.

Wieczór był jeszcze dosyć wczesny. Mógł pójść do klubu, wiedział jednak, że Benedict Willoughby i jego kompani czekają na niego, żądni pikantnej opowieści. Nie mógł powiedzieć im prawdy, nie mógł przyznać, że Madeleine Charron jest dla niego kimś szczególnym i że z całego serca pragnąłby, by jego ojciec ją zaakceptował. To naraziłoby go na śmiech i drwiny. Nie chciał też kłamać, udawać, że dostał się do łóżka Madeleine, i odebrać nagrodę od Willoughby'ego. To było nie do pomyślenia.

Postanowił wrócić do domu. Następnego dnia, po przejeździe w Hyde Parku i wizycie w klubie bokserkim Jacksona, przebierze się za zwykłego londyńczyka, pójdzie na Bow Street i sprawdzi, czy dzisiejszy napastnik pojawił się w poszukiwaniu pracy. Zwykle się zgłaszali. Później, jeśli jeszcze będzie miał na to czas, odwiedzi więzienie w Newgate, co pozwoli mu odwrócić myśli od panny Madeleine Charron.

Jego zainteresowanie więźniami i więzieniami zaczęło się trzy lata wcześniej, gdy przez przypadek odwiedził taki przybytek w towarzystwie przyjaciela, który bronił przed sądem mężczyzny oskarżonego o kradzież dwóch bochenków chleba. Ta wizyta zmieniła jego życie.

Oczywiście wiedział, że więzienie z samej swej definicji nie jest przyjemnym miejscem, w końcu trafiało się tam za popełnienie przestępstwa. Wcześniej jednak nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele. Złodziej, który ukradł mu portfel, musiał trafić za kratki - to było naturalne. Przeraziło go jednak to, co zobaczył. Trudno było uwierzyć, że te obdarłe, wynędzniałe istoty to ludzie, a nie jakieś dziwne zwierzęta dla bezpieczeństwa trzymane w klatkach. Dopóki przyjaciel go nie oświecił, Duncan nie uświadamiał sobie, jak wiele rodzajów przestępstw karanych jest w Anglii śmiercią. Ponad dwieście! - Oprócz morderstwa, zdrady stanu, piractwa i podpalenia

- mówił prawnik - można zostać powieszonym za rabunek na drodze, włamanie, kradzież ze sklepu, palenie stogów czy kłusownictwo, a także za takie zbrodnie, jak wysłanie listu proszalnego podpisanego pseudonimem, udawanie weterana wojennego i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście Peel jest wielkim reformatorem i udało mu się zmniejszyć ilość przestępstw karanych śmiercią, nie przyczyniło się to jednak do zmniejszenia przestępczości i wskutek jego działań więzienia stały się jeszcze bardziej zatłoczone.

- Słyszałem, że pani Fry prowadzi kampanię na rzecz reformy więziennictwa.

- To prawda, i wiele udało jej się osiągnąć na rzecz kobiet i dzieci, mężczyźni jednak wciąż spędzają całe dni na próżniactwie, hazardzie i piciu.

- Piciu?

- Jeśli tylko ma się pieniądze, bez kłopotu można dostać tani dżin od strażników. Lecz co się dziwić, trzeba sobie jakoś osłodzić nieszczęście.

Duncan przekonał się, że większość więźniów to nie mordercy, lecz drobne złodziejaski zmuszone do kradzieży, by wykarmić rodzinę. Doszedł wówczas do wniosku, że to nie ludzi należy reformować, lecz system, który sprawiał, że stawali się przestępcami.

Objął fotel w Izbie Lordów w 1820 roku, w czasie gdy członkowie parlamentu musieli uczestniczyć w parodii procesu, który miał na celu okrycie królowej niesławą, żeby król mógł się z nią rozwieść. Polityka jednak zbyt go nie interesowała i później nie brał udziału w zgromadzeniach. Zaczął to znów robić po wizycie w Newgate. Stał się żarliwym rzecznikiem sprawy więźniów. Domagał się, by traktowano ich jak ludzkie istoty bez względu na to, czego się dopuścili, niewiele dobrego jednak z tego wynikło. W opinii innych wykazywał zbyt wiele entuzjazmu, jego przekonania zaś mogły doprowadzić kraj do nadmiernego rozprzężenia obyczajów, a to tylko krok do anarchii. Siwe głowy w Izbie Lordów twierdziły, że

gdyby zreformować prawo tak, jak domagał się tego Duncan, ubodzy mogliby zacząć traktować więzienie jako lepsze rozwiązanie niż uczciwa praca.

Przyjmował tę krytykę wzruszeniem ramion i pozostawił wygłaszanie publicznych mów swojemu ojcu i sekretarzowi stanu Robertowi Peelowi. Sam zaś robił swoje. Dostarczał więźniom ubrania i pożywienie, opłacał prawników, korzystał ze swojego nazwiska i pozycji, by załatwić pracę byłym więźniom. Właśnie w tym celu zorganizował instytucję przy Bow Street. Tak jak sierociniec był oczkiem w głowie matki, więźniowie i ich rodziny stały się centrum jego zainteresowania.

Nie chwalił się tym jednak w towarzystwie. Znajomi byliby zdumieni i przerażeni, gdyby się dowiedzieli, czym się zajmuje. Wątpił, by ktokolwiek z nich, włącznie z Benedictem, poparł jego sprawę. Uznaliby raczej, że postradał rozum. Nie mówił więc o tym nikomu i czynił dobro ukradkiem. Madeleine Charron była jedyną osobą, która coś o tym wiedziała.

I oto znów wrócił do niej myślami. Dlaczego nie mógł pomyśleć o niczym - o sprawach towarzyskich, dobroczynności, o tym, co ma na siebie włożyć, gdzie spędzić wieczór - nie myśląc jednocześnie o niej, i to w taki sposób, jakby była częścią jego życia?

Madeleine Charron była aktorką. Doskonałą co prawda, ale to nie wystarczało, by przyjęto ją do towarzystwa. Ojciec, macocha, siostra i szwagier, nie wspominając już o przyjaciółkach, nigdy nie zaakceptowałyby takiego małżeństwa. Naraz Duncan zatrzymał się jak wryty pośrodku ulicy. Małżeństwo!?

Skąd taka myśl? Była zupełnie bezwiedna i należało ją jak najszybciej odpędzić. Przyśpieszył kroku. Koniecznie potrzebował mocnego drinka!

Zatrzymał się przed White'em, lecz mógł tu być Benedict, więc ruszył do Stanmore House. Któregoś dnia ten dom stanie się jego własnością. Duncan kochał ojca, toteż miał nadzieję, że od tej chwili dzieli go jeszcze wiele lat. Jego żona miała stać się panią tej posiadłości, jego syn - dziedzicem całego majątku: domu w

Londynie, posiadłości Risleyów w Derbyshire, domku myśliwskiego w Leicestershire, szkockiego zamku, w którym wuj John prowadził pustelnicze życie, a także rozsianych po całym świecie licznych przedsiębiorstw żeglugowych. Duncan był jednak świadom, że przyszła księżna Loscoe musi być wyjątkową osobą i należało ją wybrać z najwyższą starannością.

Cóż takiego powiedział macosze zaledwie przed dwoma dniami? „Chcę się ożenić z kobietą, do której będę coś czuł, i musi to być uczucie, które przetrwa do końca życia”. Co było ważniejsze, jego uczucia czy przyszłość dziedzictwa? Nie chodziło tylko o osobiste zadowolenie. Zbyt wielu było ludzi, których los zależał od majątku rodziny: dzierżawcy, robotnicy, słudzy, pracownicy. Dla kogoś takiego jak on uczucia były luksusem.

W końcu dotarł do domu. Pomimo późnej pory otworzył mu lokaj. Zawsze ktoś tu czuwał, w dzień i w nocy. Podziękował służącemu i wspiał się po schodach do swego pokoju na piętrze. Tam czekał na niego osobisty służący, co prawda bardzo zaspany. Mimo to był gotów mu służyć.

- Davison, przecież mówiłem, żebyś na mnie nie czekał - upomniał go Duncan.

- Wiem, panie, ale noc jest chłodna, choć to już czerwiec, i pomyślałem, że może miałby pan ochotę napić się czegoś gorącego.

Jak mógł się dąsać w obliczu takiego oddania? Myśl o mocnym alkoholu zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się całkiem inna wizja.

- Tak, proszę, przynieś mi gorącej czekolady, a potem idź spać. Potrafię sam się rozebrać. Możesz posprzątać rano.

- Tak, milordzie. - Davison zakrzętnął się przy niewielkiej kuchence spirytusowej, która przydawała się, gdy Duncan wracał późno i nie chciał budzić służby na dole. - Jakie ubrania mam panu przygotować?

- Rano wybieram się na przejażdżkę konną. Sam się ubiorę.

- Milordzie, gdyby ktokolwiek zobaczył fular zawiązany przez pana, umarłbym ze wstydu.

- Wydawało mi się, że radzę sobie całkiem nieźle. - Przejrzał się w

lustrze. Walka z niedoszłym rabusiem pozostawiła po sobie wyraźne ślady. Rękaw żakietu był porwany, fular zmięty, a włosy nieporządnie opadały na czoło.

Davison oczywiście to zauważył, ale jako dobry sługa powstrzymał się od komentarza.

- Po co miałyby pan opanowywać tę sztukę, skoro wiązanie fularu należy do obowiązków lokaja? - Postawił na stole rondelek z gorącą czekoladą. - Chociaż widzę, że dziś wieczorem nie wyszło mi to najlepiej. Z całego serca proszę o wybaczenie.

Duncan roześmiał się głośno.

- Nie musisz tak owijać w bawełnę. Przecież to jasne, że brałem udział w bójce.

- Milordzie...

- Zaspokoję twoją ciekawość, ale musisz przysiąc, że nie wydasz mnie przed nikim.

- Milordzie, nigdy nie zawiodłem pańskiego zaufania i nigdy tego nie zrobię.

- Wiem o tym, Davison. Ktoś na mnie napadł.

- To znaczy, że został pan obrabowany?

- Poradziłem sobie z nim, ale zostawił mnie w takim stanie, jak widzisz.

- Milordzie, czy nic się panu nie stało?

- Zupełnie nic. - Duncan wybuchnął śmiechem. - Och, nie patrz na mnie z takim niepokojem. Nie po to spędzam całe dnie u Jacksona, bym nie potrafił się obronić przed byle włóczęgą.

- A gdzie był pański powóz, milordzie?

- Odesłałem go do domu. Miałem ochotę na spacer.

- Sądzę, milordzie, że to było zbyt ryzykowne - z pełnym szacunkiem strofował go lokaj.

- Dzięki za troskę, ale życie byłoby nudne, gdybyśmy od czasu do czasu nie przeżyli jakiejś przygody. Wiesz przecież, że zawsze dobrze kalkuluję ryzyko, więc nie musisz się o mnie martwić.

- Cieszę się, milordzie. - Davison przyniósł z garderoby strój jeździecki i rozłożył go na krześle. - Czy jeszcze coś?

- Nie, idź do łóżka. Lokaj wycofał się.

Duncan powiedział Davisonowi, że zawsze kalkuluje ryzyko. Gdyby chodziło tylko o poradzenie sobie z napastnikiem, byłaby to prawda, ale spędzanie czasu w towarzystwie panny Madeleine Charron było jeszcze bardziej ryzykowne. Zauroczyła go i nie potrafił myśleć rozsądnie.

Podziwiał ją, pożądał i pragnął chronić, zarazem nie wolno mu było się angażować, bo to groziło nieszczęściem. Co za sprzeczność! Co za karuzela uczuć!

Ojciec chciał, by się ożenił. On również wiedział, że powinien to zrobić. Pragnął jednak swoją wybrankę szczerze kochać i chciał, by ona również go kochała, ale skąd ten pomysł, że miałyby to być akurat Madeleine Charron? Czy pochodzenie od francuskiego hrabiego wystarczy, by została zaakceptowana przez jego sferę, czy też do końca życia byłaby skazana na margines? No i jeszcze ten okropny zakład, który Benedict na nim wymusił. Gdyby Madeleine o nim się dowiedziała, przepadłby w jej oczach na zawsze. Czy jednak miało to jakiegokolwiek znaczenie? I tak nie mógł się z nią ożenić.

Ożenić... Wiedział, że kobiety uważają go za atrakcyjnego mężczyznę nie tylko z uwagi na tytuł i majątek. Może powinien bardziej korzystać z życia, nim znajdzie się w małżeńskich okowach.

Mógł uwieść Madeleine Charron. Była aktorką, z pewnością nie byłby jej pierwszym mężczyzną, więc co za problem? Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Panna Charron nie nadawała się na kochankę, której miejsce jest w tle. Jej powołanie to błyszczeć, być widoczną i podziwianą. Najlepiej u jego boku.

Oczywiste było, że zaplątał się jak mucha w pajęczynę i im bardziej próbował się wyrwać, tym mocniej się wikłał.

- Nie zobaczę jej więcej - powiedział. - Usunę pokusę ze swej drogi.

Następnego wieczoru publiczność zachowywała się wzorowo, a po spektaklu adoratorzy jak zwykle czekali na Madeleine za kulisami. Nie było jednak wśród nich markiza Risleya. Kolację zjadła w towarzystwie przyjaciółki i kilku innych osób z trupy, a także



młodzieńców walczących o jej względy. Marianne była wyraźnie rozbawiona tą sytuacją. Sama już w średnim wieku, zadowalała się miejscem obok sir Percy'ego i mogła beztrąsko radować się ludzką komedią.

Maddy powtarzała sobie, że obecność markiza Risleya nie jest jej do niczego potrzebna. Dostarczył sobie odrobinę rozrywki, uprzyjemnił dwa nudne wieczory, niczym rycerz obronił ją przed bandytą w podłej dzielnicy i teraz pewnie przechwalał się przed przyjaciółmi. „A potem, cała drżąca i w szlochach, wpadła w moje ramiona” - zakończy swoją opowieść.

Czy jednak właśnie tak się zachowa? Przejął się losem rabusia, nie próbował jej uwieść. Czy tylko dlatego, że był dżentelmenem? Och, wiedziała, jacy bywają ci dżentelmeni. A może nie uważał jej za atrakcyjną? Może wyczuł w niej ukrytą urazę do arystokracji i sądził, że to ona bawi się nim jak rybak rybą, która połknęła haczyk? Jeśli tak myślał, to będzie jej unikał,...

- Maddy, znów pograżałaś się w marzeniach - powiedziała cicho Marianne.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Nigdy nie byłem nadmiernym amatorem myślenia - powiedział sir Percy z uśmiechem. - Od tego robią się zmarszczki.

- Niewątpliwie ma pan rację - odparła Maddy ze śmiechem. - Będę myśleć tylko o pracy, o niczym innym.

- I o przyjemnościach, moja droga. Ktoś tak piękny jak ty nie powinien oddawać się wyłącznie pracy. Ciesz się życiem.

- Jak najbardziej, sir Percy. Dobrze zna pan księżną Loscoe, prawda?

- Znam ją od czasu jej pierwszego balu, choć będę dżentelmenem i nie zdradzę, ile lat już minęło od tej chwili. Dlaczego pytasz?

- Jesteśmy zaproszone na czwartkowy wieczorek - wtrąciła Marianne, by uprzedzić Madeleine. - Księżna prosiła, byśmy wystąpiły przed jej gośćmi. Zastanawiamy się, co byłoby najodpowiedniejsze. Może masz jakiś pomysł, milordzie?

- Jestem pewien, że bez względu na to, co wybieriecie, odniesiecie

sukces.

- Czy pan tam również będzie? - zapytała Madeleine.

- Oczywiście. Nie przepuściłbym takiej okazji nawet za całą herbatę Chin.

- Słyszałam, że księżę również może się pojawić. A także markiz Risley.

- Na to bym nie liczył. Księżę ma mnóstwo zajęć, a młody Stanmore chadza własnymi drogami. Musi sobie znaleźć żonę, dlatego powinien brać udział w balach i przyjęciach, bo jak inaczej obejrzy wszystkie kandydatki?

- Och. - Madeleine poczuła ukłucie rozczarowania. Chociaż, z drugiej strony, czego właściwie mogła się spodziewać?

- Rozumiem, że muszą to być damy równe mu statusem.

- Gdyby upierał się przy tym, nie znalazłby wielu kandydatek. Powinna jednak pochodzić z dobrej rodziny znanej księciu. *Noblesse oblige* i tak dalej.

Marianne spojrzała na Madeleine, prawie niedostrzegalnie potrząsając głową, lecz skutek tego był żaden.

- Często myślę o tym, jak się czuje dziewczyna podczas pierwszego balu. Raczej nie bawi się zbyt dobrze. Musi paradować przed wszystkimi niczym koń na Tattersallu w nadziei, że spodoba się komuś na tyle, by zechciał ją kupić.

- Pewnie tak jest, moja droga, ale ten medal ma dwie strony. Kawalerowie również są wystawieni na sprzedaż, a cena jest szacowana. Jednak markiz Risley może sobie pozwolić na wybredność i rzeczywiście grymasi, bowiem odkłada wybór już od trzech sezonów.

Zalotnicy byli już podchmieleni i ich żarty stawały się coraz bardziej hałaśliwe. Marianne zawsze miała dla nich w zanadrzu jakąś ciętą odpowiedź, Maddy jednak wciąż przeżuwała w myślach dylematy związane z Duncanem Stanmoreem i nie zwracała uwagi na otoczenie. Na myśl, że wieczorek u księżnej Loscoe ma się odbyć już za kilka dni, poczuła strach. Nie była pewna, czy będzie w stanie dokonać tego, co zamierzała.

Powiedziała sobie surowo, że markiz Risley nie jest jedyną rybą w oceanie. Postanowiła, że pójdzie do Stanmore House, postara się porozmawiać z księżną i opowiedzieć jej o francuskim dziadku w obecności innych gości. Miała nadzieję, że gdy wszyscy dowiedzą się, iż jest szlachetnie urodzona, a zły los uderzył w nią nie z jej winy, to zaproszenia posypią się jak z rękawa.

- Sir Percy, Madeleine wydaje mi się zmęczona - powiedziała Marianne. - Chyba zabiorę ją do domu.

Natychmiast wstał od stołu.

- Mój powóz jest do twojej dyspozycji. Zostawmy tych młodych ludzi, widać, że doskonale się bawią. - Poprowadził panie do powozu.

Był miłym dżentelmenem i nie zadawał żadnych pytań, ale Madeleine nie miała złudzeń, że nic nie uchodzi jego uwadze. Nie wiedziała, czy słyszał już historię o francuskim hrabi, z pewnością jednak potrafiłby jej opowiedzieć, czy wnuczka takowego mogłaby zostać przyjęta w dobrym towarzystwie.

## *Rozdział czwarty*

Gdy Stanmore'owie przybyli na bal, sala u Almacka była zatłoczona i gwarna, jednak na widok książęcej rodziny rozmowy umilkły, a z piersi młodych panien wydobyło się jednogłośnie westchnienie.

Markiz Risley miał na sobie granatowy żakiet, białe bryczesy i pończochy oraz bogato haftowaną kamizelkę. Na szerokiej piersi błyszczała dewizka, w fularze lśniła brylantowa szpilka, a na szyi dyndał monokl. Miał dwadzieścia pięć lat, był bogaty, przystojny i dziedziczył po księciu Loscoe, toteż westchnienia dziewcząt były w pełni uzasadnione.

Większość z tych młodych dam można by określić jako ładne, choć na pewno nie piękne czy oryginalne, natomiast wszystkie miały odpowiednie pochodzenie, inaczej bowiem nigdy by nie otrzymały zaproszenia do Almacka.

- No cóż - szepnęła Lavinia. - Z pewnością udało ci się to wejście. Wszystkie dziewczęta gapią się na ciebie. Możesz wybierać i przebierać.

Duncan nie miał ochoty wybierać i przebierać. Nie chciał żadnej z tych panien. Pragnął energicznej panny Madeleine Charron, przy której wdzięki obecnych tu kandydatek na małżonki bladły, stawały się nijakie. Przybył jednak do Almacka, by zadowolić księżną oraz siostrę, toteż rozdawał dokoła uśmiechy. Muzyka znów zaczęła grać. Matki szturchały córki i szeptem udzielały wskazówek, jak najlepiej zwrócić na siebie uwagę, co działo się zawsze podczas takich zgromadzeń. Cóż, skoro już tu był, musiał się rzucić na głęboką wodę.

- Przedstaw mnie którejś z nich - poprosił księżną. Poprowadziła go przez parkiet. Wiedział, że oczy zebranych są w nich utkwione i wszyscy zastanawiają się, która z panien okaże się szczęśliwą wybranką. Jednak było mu to obojętne. Pozostawi panny w niepewności aż do dnia, gdy Madeleine Charron zostanie uznana za

jedną z nich i pojawi się w tej sali, a wówczas się okaże, jak bardzo przewyższa je pod każdym względem.

Księżna zmierzała w stronę grupy, której przewodził pulchny, dobiegający trzydziestki dżentelmen o czerwonej twarzy. Obok niego stała wysoka władcza kobieta, a także młoda dziewczyna.

- To lord Bulford, który niedawno odziedziczył tytuł barona - wyjaśniła półgłosem Frances. - Ta wysoka dama to jego żona, a ta druga to jego siostra.

- Wasza Wysokość, milordzie - skłonił się baron, gdy podeszli bliżej.

- Lordzie Bulford, lady Bulford, wydaje mi się, że nie mieliście jeszcze okazji poznać mego pasierba, markiza Risleya

- powiedziała księżna.

Po ukłonach i zwyczajowych formułach lady Bulford zwróciła się do markiza:

- Milordzie, czy mogę ci przedstawić moją szwagierkę, pannę Annabel Bulford?

Annabel dygnęła tak nisko, że Duncan przestraszył się, czy uda jej się o własnych siłach powstać, wyciągnął więc do niej rękę. Przyjęła jego dłoń, a na jej twarz wypełził szkarłatny rumieniec.

- Czy zechcesz, pani, uczynić mi ten zaszczyt i zatańczysz ze mną?

Młoda dama, szturchnięta przez szwagierkę, uśmiechnęła się na znak zgody i poszła z nim na parkiet. Była sztywna jak deska, wyraźnie bała się markiza. Uśmiechnął się do niej, by ją rozluźnić.

- Ciekaw jestem, dlaczego nie widziałem pani wcześniej, panno Bulford. Czyżby to pani pierwszy sezon?

- Tak, milordzie. - Choć wstrzymywała oddech, gdy mówiła, jej głos miał całkiem przyjemne brzmienie. - Niedługo odbędzie się mój debiutancki bal.

- Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotkałem pani wcześniej. Z pewnością zapamiętałbym panią.

- Naprawdę?

- Naturalnie, że tak. - Była ładna, o nieco bezbarwnym typie urody, wysoko cenionym w towarzystwie. Miała niewielką owalną twarz i

jasną cerę, na tle której jasne oczy wydawały się większe niż w rzeczywistości, oraz pszeniczne włosy ufryzowane w pierścienie i przytrzymane po bokach grzebieniami. Była szczupła, lecz o kształtnej figurze, i gdy już nabrała nieco śmiałości, okazało się, że świetnie tańczy.

- Wiele o panu słyszałam, milordzie.

- Mój Boże, zabrzmiało to złowieszczo.

- Och, nie mam na myśli nic złego. Zawsze przedstawiano mi pana jako wzór angielskiego arystokraty.

- Nie wiem, kto mógłby coś takiego wymyślić, chyba że moja macocha lub siostra, ale to się nie liczy, bo są kompletnie ślepe na moje liczne wady.

- Nie, żadna z nich. Mój brat Henry tak mówił.

- Niestety, nie miałem przyjemności poznać go aż do dziś.

- Podróżował po świecie. Wrócił przed rokiem, po śmierci ojca, i zeszłego lata ożenił się z Dorothy.

- W takim razie skąd może znać moje zalety?

- Mama też tak mówiła ~ odparła zmieszana.

- Wobec tego jestem bardzo zobowiązany, milady.

- Po śmierci taty zwykle przebywamy na wsi, ale siostra i ja przyjechałyśmy do Londynu na sezon i zatrzymałyśmy się u brata.

- Widzę więc, że sezon zapowiada się znakomicie. Panna Annabel znów się zarumieniła.

- Milordzie, czy będzie to z mojej strony niewłaściwe, jeśli zaproszę pana na mój debiutancki bal? Proszę uczynić mi ten zaszczyt. Wiem, że Dorothy zamierza zaprosić księstwo Loscoe, a także hrabiostwo Corringham.

- Będę zachwycony. - Melodia już się kończyła. Duncan skłonił się dwornie, po czym oddał pannę Annabel pod opiekę brata i szwagierki. Rumieniec nie schodził z twarzy debiutantki, a na obliczu lady Bulford malował się triumf. Duncan zdał sobie sprawę, że musi zachować ostrożność i nie wyróżniać żadnej z panien, bo inaczej usłyszy ślubne dzwony, nim zdąży wypowiedzieć słowa oświadczyn. Skłonił się przed damami i poszedł poszukać innego

towarzystwa.

Nim wieczór dobiegł korka, zdążył już zatańczyć ze wszystkimi pannami na wydaniu. Czuł się zupełnie wyczerpany. Nie taniec go zmęczył, był bowiem prawdziwym królem parkietu, lecz te wszystkie rozmowy, ważenie każdego słowa, nieustanna czujność, by nie powiedzieć niczego, co dałoby którejkolwiek z młodych dam podstawy do przypuszczeń, że rozważa jej kandydaturę na pozycję markizy.

Niektóre z nich zachowywały się skromnie, inne próbowały z nim flirtować, z tym jednak nie miał najmniejszego kłopotu. Najtrudniej było mu poradzić sobie z tymi, które drżały z nieśmiałości i nie potrafił<sup>7</sup> wykrztusić ani słowa. Matki z pewnością dokładnie je przeszkoliły, czego pod żadnym pozorem nie wolno im mówić i czego powinny się wystrzegać. W rezultacie biedne dziewczęta bąkały tylko „tak, milordzie”, „nie, milordzie”. Wobec nich Duncan unikał salonowej konwersacji, zwyczajowo najeżonej podtekstami i szermierką słowną, i był po prostu miły.

Z punktu widzenia dam, które organizowały te cotygodniowe bale, oraz zdaniem matek, z których córkami Duncan tańczył, wieczór okazał się wielkim sukcesem, nie uciszył jednak jego skłębionych emocji. Wyobrażał sobie, że to Madeleine porusza się z wdziękiem w rytm muzyki w jego ramionach. Widział jej ożywioną twarz, wpatrzone w niego oczy, słyszał jej śmiech.

- No i jak? Nie było tak źle, prawda? - stwierdziła Lavinia, gdy wreszcie wyszli na ulicę.

- Potworne przeżycie. Czułem się jak byk medalista.

- Och, Duncanie, jak możesz tak mówić? Jesteś przystojnym mężczyzną i masz przed sobą perspektywy.

- Widziałem błyski w oczach matek, które przeliczały w myślach, ile jestem wart. Nie chcę, żeby moja żona wychodziła za mnie ze względu na moje, jak to ujęłaś, perspektywy.

- Przecież od ciebie tylko zależy, czy znajdziesz pannę, dla której twoja pozycja i majątek nie będą głównym magnesem, drogi bracie.

Czy Madeleine Charron widziała w nim przede wszystkim krezusa

i przyszłego księcia? Czy była taka jak inne? Nie mógł w to uwierzyć. Była zbyt niezależna, zbyt dumna, za bardzo panowała nad własnym życiem, by poświęcić to wszystko dla bogactwa i tytułu. Podczas ostatniego spotkania wyraźnie dała mu do zrozumienia, że pogardza arystokratami. Czyżby czuła się rozczarowana własnym ojcem? Wydawało się, że wie o nim tak niewiele.

- Debiutantki w tym sezonie są niezwykle rozgarnięte - zauważyła Frances, gdy siedzieli już w powozie.

- Hm, nie zauwa.... być może. Czy wszystkie już mnie obejrzały, czy też zostało ich jeszcze trochę?

- Z pewnością są jeszcze inne, które nie były dziś w Almacku, ale widziałeś już większość z tych, które są odpowiednie. Czy była wśród nich jakaś, która szczególnie wpadła ci w oko?

- Nie, ale gdybym musiał wybierać, to sądzę, że panna Annabel Bulford wyróżnia się na tle pozostałych. Nie zrozumcie jednakiego w ten sposób, że zamierzam się jej oświadczyć.

- Wielki Boże! Oczywiście, że nie. Jest na to za wcześnie.

- Przyjąłem zaproszenie na jej bal debiutancki.

- Naprawdę? Bardzo ją tym uszczęśliwiłeś, ale jeśli nie chcesz, by odniosła wrażenie, że zyskała twoje szczególne względy, to będziesz musiał się pokazać również na balach pozostałych debiutantek.

- Na wszystkich?! - Poblądł nieco.

- Przynajmniej u tych młodych dam, które są odpowiednimi kandydatkami na żonę.

- Mamo, nie mogę uwierzyć, że spośród wszystkich ludzi akurat ty patrzysz na to tak cynicznie.

- Mój drogi, wcale nie patrzę na to cynicznie, ale Vinny ma rację. Jeśli nie będziesz bywał na balach i rautach, to jak masz znaleźć kobietę, której z radością oddasz serce? Niczego innego dla ciebie nie pragnę.

Uśmiechnął się. Jego serce było już zajęte i miał nadzieję, że wkrótce ogłosi to całemu światu, ale do tego czasu będzie grać w gry swojej sfery. Musiał również przekonać Madeleine, że jego zamiary są szczerze, bowiem wiedział już, że nie potrafi bez niej żyć.



- Twój przystojny wielbiciel znowu był dziś w loży - powiedziała do Madeleine jedna z aktorek, gdy cała ekipa stała na scenie, kłaniając się po zakończeniu ostatniego spektaklu w tym tygodniu.

- Mój wielbiciel? - Udała zdziwienie, choć również zauważyła markiza, Risleya. Więcej, była tak bardzo świadoma jego obecności, że kilkakrotnie omal nie zapomniała swojej kwestii. Tylko dzięki rutynie zdołała opanować zmieszanie.

- Mówię o tym mężczyźnie w loży księstwa Loscoe. Musiałaś go chyba zauważyć?

- I cóż z tego wynika? Tyle tylko, że ten dżentelmen lubi chodzić do teatru.

- Podobasz mu się, to jasne jak słońce. Przez cały wieczór nie spuszczał cię z oczu, nawet wtedy, gdy nic nie mówiłaś.

- A ty, Lucy, powinnaś poświęcać więcej uwagi własnej roli, zamiast wędrować wzrokiem po widowni. Możesz być pewna, że pan Greatorex to zauważył.

- Nie mam w tej sztuce nic do roboty. Stoję tylko na scenie, skąd doskonale widać wszystkich, którzy siedzą w łóżach. A w dodatku on jest taki przystojny... Chciałabym, żeby młodzi dżentelmeni uwielbiali mnie tak jak ciebie. To takie cudowne, wciąż dostawać kwiaty, drogie prezenty i zaproszenia na kolację.

- Gdy poznasz rzemiosło aktorskie na tyle dobrze, że zauważy cię publiczność i szef, to też zdobędziesz wielbicieli. Wierz mi jednak, że to się nie zdarzy, jeśli będziesz tracić czas na rozglądanie się i fantazjowanie. - Pewnie zbyt ostro potraktowała tę biedną dziewczynę, przecież sama często fantazjowała. Rozumiała już jednak, że były to tylko fantazje, a prawdziwy świat, w przeciwieństwie do tego, co wszyscy twierdzili, znajdował się tu, na scenie. Cały świat poza teatrem był fantazją. Fantazją był francuski dziadek z hrabiowskim tytułem i nadzieje na promienną przyszłość w wyższych sferach.

- Nie musisz na mnie naskakiwać - obruszyła się Lucy.

- Powiedziałam tylko, że twój wielbiciel był dzisiaj na widowni.

- Przepraszam cię. - Madeleine z uśmiechem poklepała ją po

ramieniu. - Jestem trochę zdenerwowana, stąd to wszystko.

Poszła do garderoby, przygotowując się w duchu na kolejny bilecik od markiza. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Skoro nadal zaszczycił ją swoją uwagą, to mógł mieć na myśli tylko jedno - to, na co ona nigdy się nie zgodzi. Owszem, doskonale wiedziała, że aktorki zostawały kochankami dżentelmenów. Ta praktyka była akceptowana w teatralnym świecie, ale jej to nie odpowiadało. Henry'emu Bulfordowi zawdzięczała determinację, by nigdy nie pozwolić się wykorzystać mężczyźnie, nawet jeśli tym mężczyzną miałyby być Duncan Stanmore. Kłopot polegał na tym, że się jej podobał. Zbyt łatwo mogłaby się w nim zakochać, przez co sprawy potoczyłyby się własnym biegiem. Wiedziała, że to prosta droga do rozczarowania i żalu, bo przecież markiz i tak ożeni się z jakąś baronówną czy hrabianką, która dobrze wie, kim jest i kim byli jej przodkowie. Lepiej więc zakończyć to teraz, przestać o nim myśleć i tęsknić.

Weszła do pełnej kwiatów garderoby. Marianne w samej halce siedziała przed lustrem i zmywała makijaż.

- Wiesz chyba, od kogo te kwiaty? - zapytała z uśmiechem. - A na stole leży paczuszka.

W środku znajdowała się srebrna broszka w kształcie ptaszka wysadzanego małutkimi brylancikami i ze szmaragdowym okiem, tak piękna, że Madeleine zapało dech. Jednak kosztowne prezenty mogły oznaczać tylko jedno.

- Och, Marianne, to już zaszło za daleko!

- Dlaczego tak mówisz? Czyżbyś tego nie planowała? Przecież miałam cię wspierać, choć zarazem ostrzegałam, że to wszystko skończy się łzami.

- I miałaś rację. Nie chcę go za kochanka, a nie mogę mieć za męża, dlatego mam rozdarte serce.

- Moja droga. - Marianne otoczyła ją ramionami. - Proszę cię, powiedz mi, że się w nim nie zakochałaś.

- Niestety...

- Ty głupia dziewczyno! No cóż, po prostu się odkochaj.

- Jak mam to zrobić?

- Musisz utwardzić swoje serce. Ani na chwilę nie zapominaj, że nienawidzisz wszystkich arystokratów.

- Uznałam, że to podłe z mojej strony. Wszyscy arystokraci nie mogą być źli. Niektórzy z nich na pewno mają dobre serce i są mili.

- Przynajmniej nauczyłaś się tolerancji, to już coś... A teraz wyrzuć markiza z myśli i przebij się szybko. Lancelot już na nas czeka.

Lancelot Greatorex ciągle wydawał jakieś przyjęcia: premiera, koniec tygodnia, koniec sezonu, ostatni wieczór, nowy mecenas - każda okazja była dobra, by ją uczcić. Tego wieczoru mieli świętować najlepszy premierowy tydzień, jaki zdarzył się od lat. Madeleine nie miała ochoty iść na to przyjęcie, należało to jednak do jej obowiązków. Oznaczało również, że z czystym sumieniem może odrzucić zaproszenie markiza Risleya.

Niestety, gdy pojawiła się w sąsiedniej sali, okazało się, że Lancelot zaprosił kilka osób spoza trupy, a wśród nich Duncana Stanmore'a.

Natychmiast podszedł i skłonił się przed nią.

- Panno Charron.

- Milordzie.

- Czy dobrze się czujesz?

Och, drżała jak w gorączce, ale nie mogła przecież przyznać, że jest chora z tęsknoty za nim. Spojrzała mu prosto w twarz. Na widok uśmiechu Duncana jej serce zaczęło bić szybciej. Śmiało patrzył na nią. Miała wrażenie, że jego oczy mówią do niej, zadają pytania i udzielają odpowiedzi.

- Czuję się dobrze, milordzie, a ty? Czy spotkanie z rabusiem nie pozostawiło żadnych przykrych śladów? - Była zdumiona spokojem, z jakim udało jej się wygłosić te słowa.

- Absolutnie żadnych. A na tobie?

- Tylko niewielki siniak, nic poza tym. Czy ten człowiek pojawił się na Bow Street?

- Tak. Znalezione mu pracę w pobliskiej gospodzie.

A więc Stanmore zadał sobie trud i sprawdził, czy niedoszły rabuś

wypełnił jego polecenie.

- Wydaje mi się, że jesteś z natury bardzo ufny, milordzie.

- Jeśli ufam ludziom, zwykle starają się być godni tego zaufania.

Poczuła, że oddech więźnie jej w gardle, musiała jednak spytać:

- A jeśli tak się nie dzieje?

- Wówczas przestaję im ufać.

- Rozumiem... - Cóż, oszukała go, a on jej tego nie wybaczy.

- Dość już o nim. Przyszedłem tu, by pogratulować ci dzisiejszego spektaklu. Jak zwykle byłaś olśniewająca.

- Widziałeś tę sztukę już dwukrotnie. Dziwię się, że cię nie znudziła.

- Gdy ty jesteś na scenie? Nigdy. Czy dostałaś kwiaty i mój drobny podarunek?

- Milordzie, to nie jest drobny podarunek - szepnęła, by nikt ich nie podsłuchał. Stali jednak na uboczu, bo reszta tłoczyła się wokół Lancelota Greatoreksa, który perorował coś zawzięcie. - Jest bardzo kosztowny. Nie mogę go przyjąć.

- Dlaczego?

- Milordzie, czy rzeczywiście musisz o to pytać?

- Tak, a poza tym czy mogłabyś wreszcie przestać mnie tytułować? Nazywam się Duncan Stanmore i jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

- Nie jesteś i nigdy się nie staniesz, nawet jeśli będziesz takiego udawał. Tak samo ja nigdy nie stanę się damą, nawet jeśli będę ją udawać.

- Udawać?

- Sam tak powiedziałaś tego pierwszego wieczoru, gdy jedliśmy razem kolację. „Moglibyśmy udawać... to byłoby zabawne”. Więc udawaliśmy.

- To moje słowa?

- Czyżbyś zapomniał? Nie wierzę.

- Pamiętam wszystko, Madeleine. - Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę drzwi. - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, o co

tu właściwie chodzi.

- Nie ma o czym mówić. - Próbowwała się wyswobodzić, trzymał ją jednak mocno, a nie chciała robić scen.

Po chwili stali przed powozem z herbem Stanmore'ów.

- Wsiadaj - zakomenderował. - Pojedziemy na przejażdżkę.

- Milordzie, czyżby to było porwanie?

- Nie, ale jak inaczej mam się dowiedzieć, dlaczego tak nagle się zmieniłaś?

- Zmieniłam się?

Siedzieli już w środku, czuła go tuż obok. Gdy zerknęła na jego twarz, w ulotnych światłach ulicy dostrzegła, że wpatrywał się w nią nieprzerwanie. Na jego ustach gościł lekko kpiący uśmiech, a brwi miał zagadkowo uniesione.

- Ależ tak. Zachowujesz się inaczej, jesteś zimna. Odsunęłaś się ode mnie, jakbym czymś cię rozgniewał. Sądziłem, że już wybaczyłaś mi niegodne zachowanie moich przyjaciół w teatrze.

-Tak.

- W takim razie musiałem popełnić jakiś nowy występki. Powiedz mi, cóż takiego zrobiłem?

- Nic, milordzie.

- To dlaczego nie możesz przyjąć mojego podarunku?

- Bo jest zbyt drogi.

- To ja decyduję, czy to, co kupuję, jest zbyt drogie, czy nie - odrzekł niecierpliwie. Podarunek był kosztowny, nie chciał jej jednak obrazić jakąś błyskotką.

- Nie chciałam cię urazić. Po prostu chodzi o to, że... - szukała właściwych słów - .. jest dla mnie zbyt drogi. - Odetchnęła głęboko. - Bo również... musiałabym za niego zapłacić.

- Ach, rozumiem. - Zamilkł na dłuższą chwilę, wreszcie powiedział miękko: - Nie zamierzałem cię obrazić. Chciałem tylko pokazać, jak wysoko cię cenię. Nie domagam się niczego w zamian.

- Wszyscy mężczyźni, których znam, domagają się czegoś w zamian.

- Jeśli wierzyć plotkom, niczym karnych wojaków odsyłasz ich z

kwitkiem - rzekł z uśmiechem - dlaczegoż więc miałbym się spodziewać, że mnie potraktujesz inaczej?

- Bo tego właśnie oczekujesz, nieprawdaż? Sądzisz, że ponieważ jesteś markizem i bogaczem, uda ci się mnie zdobyć. Musisz jednak wiedzieć, milordzie, że mnie nie można kupić.

Puścił jej dłoń, przymknął oczy. Czyżby naprawdę próbował ją kupić? Po co? By wygrać haniebny zakład? Powtarzał sobie wielokrotnie, że powinien dać spokój pannie Charron, ale gdy Greatorex zaprosił go na przyjęcie, nie potrafił się oprzeć i przyjął zaproszenie tylko po to, by znów się z nią spotkać. Dlatego przysłał kwiaty i ten nieszczęsny drobiazg, który miał sprawić jej przyjemność.

- Kupić cię? Dlaczego miałbym cię kupować? Zapewniam, że gdy chcę spotkać się z kobietą, nie zwykłem za to płacić.

- Jak ja nie zwykłam sprzedawać siebie.

I jego, i jej słowa były przesycone gniewem: dwie urażone dumy. Napięcie w powozie było niemal namacalne.

- Przepraszam cię - powiedział w końcu. - Niepotrzebnie wszystko zamotałem.

- To nie twoja wina, po prostu tak cię wychowano. Spodziewasz się, że wszystko samo będzie wpadało ci w ręce, i tak jest zazwyczaj, dlatego złościsz się, gdy dzieje się inaczej. Ja jestem aktorką, a aktorki są łatwym łupem. Żyją dzięki uwielbieniu publiczności, a jeśli to uwielbienie staje się zbyt osobiste, to kimże są, by się na to skarżyć? Poza tym prezenty bywają pożyteczne, choćby dlatego, że można je wymienić na pieniądze, a większość z nas zarabia niewiele. Odwracam twoje pytanie, milordzie. Dlaczego miałabym oczekiwać, że potraktujesz mnie inaczej?

- Bo jesteś inna. Jesteś damą i w ogóle nie powinnaś być aktorką.

- Jednak jestem nią i nie możesz tego zmienić.

- Zmieniłbym, gdybym mógł. - Znów wziął ją za rękę. - Madeleine, znalazłem się w impasie. Gdybyś tylko mogła przestać być aktorką...

- ...ale nie mogę! - przerwała mu gwałtownie. - Z czego będę żyła, jeśli przestanę pracować? Tylko mi nie proponuj, że zaopiekujesz się

mną, bo wówczas będę musiała uderzyć cię w tę arystokratyczną twarz!

- W tym, co mówisz, słyszę mnóstwo goryczy. Ciekaw jestem, co takiego zdarzyło się w przeszłości, co stało się źródłem twojej niechęci.

- Nic.

- Musiał to być jakiś arystokrata. Czyżby chodziło o mnie?

- Nie, milordzie. Zawsze traktowałeś mnie uprzejmie, ale to nie znaczy... - urwała. Nie była w stanie opowiedzieć o Henrym Bulfordzie, który sprawił, że znienawidziła bogatych młodych ludzi z wielkiego świata. Wiedziała, że nie wszyscy arystokraci są egoistycznymi draniami, którzy prą do przodu po trupach niżej urodzonych, ale nie była jeszcze gotowa, by to przyznać.

- Mów dalej - powiedział cicho.

- Milordzie, błagam, przestań mnie wypytywać. To nie fair, bo nie mogę ci uciec.

- Nie możesz uciec?

- Jestem w powozie. Gdybym próbowała wyskoczyć, mogłabym skręcić sobie kark.

- To prawda. - Uśmiech złagodził jego twarz. - To nieuczciwe, że mam nad tobą przewagę. Może zatrzymam powóz i dalej będziemy rozmawiać na ulicy? - Wyjrzał przez okno. - Choć, szczerze mówiąc, sam nie wiem, gdzie jesteśmy, a nie chciałbym ryzykować kolejnej przygody z żądnym złota rabusiem.

- Drażnisz się ze mną.

- Nie bardziej niż ty ze mną.

- Nie drażnię się z tobą!

- Czyżby, moja słodka Madeleine? Każde twoje słowo, każde drgnienie rzęs, każdy ruch twoich pięknych ust rozdrażnia mnie. W jednej chwili jesteś słodka i przyjacielska, w następnej zmieniasz się w jędrę, a ja w żaden sposób nie potrafię zrozumieć, dlaczego.

Roześmiała się, ale był to śmiech pełen udręki.

- Bo jestem tym, kim jestem, milordzie. Aktorki słyną z temperamentu, prawda? Nie są tak chłodne i pełne dystansu jak damy z

towarzystwa. Miewają zmienne nastroje, bywa nawet, że wpadają w szał. Musisz mnie przyjąć taką, jaką jestem.

- Niczego innego nie pragnę - rzekł miękko.

Tego już było dla niej za wiele. Wiedziała, że jeśli ta podróż w ciemnym powozie potrwa jeszcze trochę, zacznie błagać Duncana, by ją pokochał.

- Skoro nie chcesz zatrzymać powozu, to proszę, powiedz stangretowi, by zawiózł mnie do domu. Jest już za późno, by wracać na przyjęcie.

- Oczywiście, skoro tego właśnie chcesz. - Odsunął dach. - Dobson, jedź na Oxford Street.

Znów odchylił się na oparcie. Madeleine siedziała sztywno obok niego. Nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Zapadło przytłaczające milczenie.

Gdy powóz zatrzymał się przed jej domem, Duncan wyskoczył, by pomóc jej wysiąść. Madeleine uprzejmie podziękowała mu za eskortę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł, nie wypuszczając jej dłoni. - I chciałbym cię przeprosić.

- Za co? - zapytała zdziwiona.

- Za to, że cię rozczarowałem. Mam jednak prośbę, byś zatrzymała tę broszkę. Kupiłem ją z myślą o tobie i chciałbym, byś ją nosiła. Niczego nie oczekuję w zamian. Nigdy nie miałem takiego zamiaru. - Podniósł jej dłoń do ust. - Dobranoc, panno Charron.

Szybko wrócił do powozu. Maddy patrzyła za Duncanem oczami pełnymi łez. Tyle wynikało z jej decyzji o odkochaniu się. Wiedziała, że igra z ogniem, zdążyła się już poparzyć, lecz sama była sobie winna. Dlaczego nie wyznała mu prawdy? Miała ku temu sposobność, lecz gdy Duncan wspomniał jej fikcyjnego dziadka, pomyślała, że skoro nie potrafi pokochać jej bez względu na to, kim jest, to ona nie chce, by kochał ją jako wnuczkę hrabiego. Miłość obwarowana warunkami w ogóle nie była miłością.

Kochał ją, nie miał już co do tego żadnych wątpliwości, nie wiedział jednak, co z tym uczuciem zrobić. Nie mógł przecież



powiedzieć ojcu, że będzie miał aktorkę za synową i matkę spadkobierców książęcego dziedzictwa. Opowieść o francuskim utytułowanym dziadku nie miałaby dla księcia żadnego znaczenia, chyba że Madeleine udokumentowałaby arystokratyczne pochodzenie i została zaakceptowana w towarzystwie. Czyż jednak mógł do niej pójść i zażądać dowodów na szlachetne urodzenie? Już widział jej reakcję. Po prostu dostałby w pysk.

Pojechał do klubu, lecz to był błąd, bo Benedict Willoughby w gronie przyjaciół hazardował się przy stoliku.

- Ach, wraca nasz kochaś! - zawołał Benedict. - Nie widzieliśmy cię od tygodnia, Stanmore. Czy słusznie zakładamy, że byłeś zajęty zarabianiem swoich pięćdziesięciu złotych monet?

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Duncana rozwścieczyło, że jego zakład stał się publiczną tajemnicą.

- Byłem zajęty - rzekł chłodno.

- Świetnie o tym wiemy. Ciekawi nas tylko, co udało ci się osiągnąć. Czy poznałeś już najbardziej skrywane wdzięki tej damy? Zacisnął dłonie w pięści, z trudem hamując emocje.

- Odwołuję zakład - powiedział.

- Odwołujesz?! - oburzył się Benedict. - Nie uda ci się tak łatwo wywinąć. Skoro nie osiągnąłeś celu, to przyznaj się do tego i płąć.

- Sądzę, Ben, że to zbyt ostro powiedziane - wtrącił jeden z pozostałych. - Został jeszcze tydzień. Daj mu szansę.

- Nic z tego - odrzekł Duncan zimno. - Wasze pożałowania godne zachowanie w teatrze przeważało szalę. Było mi za was wstyd i nie chcę być osądzany tą samą miarą.

- Ho, ho, a więc rozzłościła się! - skwitował ze śmiechem Benedict.

- I miała całkowitą rację.

- A ty próbujesz skorzystać z pretekstu, by wycofać się z zakładu. Doskonale jednak wiesz, że tak się nie robi w dobrym towarzystwie. Zakład to zakład, święta sprawa dla dżentelmena.

- Wolę zapłacić, niż obrażać ją po raz kolejny. Z samego rana wyślę ci czek.

- Obrażać? A cóż miałyby ją obrazić? Jesteś przecież mężczyzną i

markizem, a ona tylko aktorką.

Duncan ruszył do drzwi. Było to jedyne, co mógł zrobić, wiedział bowiem, że jeśli pozostanie tu dłużej, to skatuje Benedicta. Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że plotki o jego postępowaniu rozniosą się po całym mieście i stanie się obiektem kpin. Miał tylko nadzieję, że plotki te nie dotrą do Madeleine.

- Duncan, drogi chłopcze, dokąd zmierzasz w takim pośpiechu, że nawet nie zauważasz starego przyjaciela?

Dopiero teraz spostrzegł, że wyminął sir Percivala.

- Przepraszam, sir Percy. Myślałem...

- Och, widzę, że jesteś wściekły. Przypominasz gradową chmurę. - Z głębi sali dobiegł śmiech. - Och, Willoughby i jego koledzy... To niepodobne do ciebie, żebyś pozwolił im z siebie kpić.

- Niestety, tym razem sprawa jest delikatnej natury.

- Więc chodzi o kobietę. Bardzo się pomylę, gdy powiem, że jest nią piękna panna Madeleine Charron?

- A więc już pan o tym słyszał.

- Widziałem, że opuściłeś przyjęcie w jej towarzystwie. - Otoczył Duncana ramieniem. - Chodź, chłopcze. Poszukamy spokojniejszego miejsca i opowiesz mi o wszystkim.

Po chwili popijali brandy w klubie Boodles, który znajdował się nieopodal. Sir Percy uważnie przyjrzał się młodemu przyjacielowi.

- Zdaje się, że znalazłeś się w kłopotach.

- Tak, a w dodatku jest mi wstyd. Powinienem był wiedzieć, że Willoughby nie utrzyma języka za zębami. Gdyby Madeleine się o tym dowiedziała...

- Gdyby dowiedziała się o czym?

- Założyłem się z Benem, który obstawał, że nie zdołam zaciągnąć jej do łóżka. Wycofałem się z tego idiotycznego zobowiązania, ale on dalej rozgłasza o tym na prawo i lewo.

- W czym problem? Po prostu powiedz jej prawdę, na pewno zrozumie, szczególnie że anulowałeś zakład.

- Dopiero po kilku dniach, ale wcześniej go przyjąłem... a teraz...

- A teraz naprawdę ją polubiłeś?

- Tak. - Duncan urwał na chwilę. - Ojciec nalega, żebym się ożenił i...
- Ożeń się więc. To ci nie przeszkodzi mieć przyjaciółkę, a jeśli panna Charron nie miałaby nic przeciwko...
- Miałaby! Poza tym nie chcę tego.
- Mój drogi chłopcze, chyba nie chcesz powiedzieć, że zamierzasz się z nią ożenić?
- Być może tak.
- Księżę nigdy się na to nie zgodzi.
- Madeleine jest damą. Wystarczy na nią spojrzeć, by to wiedzieć. Jej dziadek był francuskim hrabią, a ojciec zginął w niedawnych wojnach, walcząc za Anglię. Myślę, że jest odpowiednią kandydatką.
- Jeśli to prawda, to rzeczywiście zmieniałoby postać rzeczy. Choć przecież jest aktorką i nie wiodła życia damy.
- Nie mogła tego robić, co nie znaczy, że nie stanie się damą w przyszłości. Musiała wykorzystać swój talent, żeby zarobić na życie.
- A talent to najczystszej próby. Zastanów się jednak: skoro panna Charron, występując na scenie, potrafi sprawić, byś uwierzył w fikcję, to czy w prawdziwym życiu również nie potrafiłaby dokonać, byś uwierzył we wszystko, co ci powie?
- Nie okłamywałaby mnie. To nie leży w jej naturze.
- Sir Percy uśmiechnął się. Jego młodym przyjacielem targały wielkie emocje i nie należało ich bagatelizować.
- Być może nie kłamie - rzekł łagodnie. - Może sama wierzy w to, co mówi, bo ktoś kiedyś tak jej powiedział, ale to jeszcze nie zmienia domniemań w fakty.
- Pewnie nie zmienia...
- Dlaczego sam nie spróbujesz dowiedzieć się prawdy? Zrób to, zanim wystawisz się na pośmiewisko.
- Już się wystawiłem. Ona pogardza mną za to, że jestem arystokratą, a jeśli usłyszy o haniebnym zakładzie, jej pogarda jeszcze wzrośnie. Mam ochotę zrezygnować ze swojego dziedzictwa i uciec z nią.
- Nawet o tym nie myśl. Skandal nie przysłużyłby się nikomu.

Wszyscy byliby nieszczęśliwi: twój ojciec, księżna, twoja siostra i brat. Przecież bardzo cię kochają. Wobec innych też masz obowiązki, od których nie powinieneś się uchylać.

- Wiem o tym.

- Wiesz też chyba, że nie byłbyś szczęśliwy. Wspomnienie tego uczynku na zawsze zatrąłoby ci umysł i stawało między tobą a twoją żoną. Lepiej postawić na pierwszym miejscu honor i obowiązek.

- Tak... Wielokrotnie powtarzałem sobie, że muszę z niej zrezygnować.

- Czy ona zna twoje myśli?

- Nie mówiłem jej o tym.

- W takim razie błagam cię na wszystko, nadal jej nie mów.

- Lecz jeśli to prawda i rzeczywiście jest szlachetnie urodzona?

- Chciałbyś się o tym przekonać?

- Czy to możliwe? Czy mógłby się pan tym zająć, sir Percy?

- Ja nie, ale być może major Greenaway.

Major Donald Greenaway od końca wojny, kiedy to przeszedł w stan spoczynku, dorabiał sobie dochodzeniami. Szukał zagubionych krewnych, śledził kryminalistów, odzyskiwał skradzione dobra. Miał kontakty we wszystkich sferach, wśród wysoko i nisko urodzonych. W przeszłości pomagał księciu, był również dobrym przyjacielem Stanmore'ów i sir Percy'ego.

- W takim razie proszę go o to zapytać, sir Percy, i umówić nas na spotkanie. Powiem mu wszystko, co wiem, choć nie ma tego wiele.

- Doskonale, ale w zamian obiecaj mi, że poczekaś na wynik śledztwa i nie zrobisz niczego głupiego. - Sir Percy polecił kelnerowi napełnić szklanki. - Wypijmy za sukces.

Zaczęli się zbierać do wyjścia. Duncan był już w nieco pogodniejszym nastroju. Nabrał nadziei, że sytuacja może rozwiązać się pomyślnie. Wiedział, że będzie musiał jeszcze przekonać Madeleine, ale miał nadzieję, że gdy zaoferuje jej małżeństwo, sprawy potoczą się we właściwą stronę.

- Jeszcze jedno - powiedział sir Percy. - Spróbuj zachowywać dobry nastrój w domu, żeby nie denerwować Jej Wysokości. Bądź dla

**niej miły.**

**Duncan roześmiał się szczerze.**

**- Wydaje mi się, sir Percy, że chce mi pan pomóc wyłącznie po to, by chronić księżną.**

**- Naturalnie, że tak. A czego się spodziewałeś? Biegnij już. Dam ci znać, gdy porozmawiam z majorem Greenawayem.**

SR

## *Rozdział piąty*

Na widok mnóstwa powozów czekających przed drzwiami Stanmore House Madeleine poczuła ochotę, by podwinąć ogon pod siebie i uciec. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zdenerwowana. Marianne powtarzała jej, że ten występ w niczym się nie różni od zwykłego spektaklu, Maddy jednak nie potrafiła w to uwierzyć. Przede wszystkim na scenie światła oddzielały ją od widowni, przez co często nie widziała twarzy, tutaj zaś miała stać tuż przed publicznością. A po drugie, i to było jeszcze ważniejsze, wśród tej publiczności miał się znajdować Duncan Stanmore. We własnym domu, na swoim terytorium, zyskiwał nad nią olbrzymią przewagę.

- Przecież tego właśnie chciałaś, czyż nie? - zdziwiła się Marianne. Stały w kolejce, czekając, aż pasażerowie wysiądą z powozów przed nimi. - Tak naprawdę zmusiłaś mnie, bym załatwiła ci zaproszenie. Chciałaś przyjrzeć się z bliska wielkiemu światu i sprawdzić, czy potrafisz zachowywać się jak dama, masz więc swoją szansę. Po spektaklu księżna na pewno poprosi nas, byśmy pozostały z gośćmi. Zawsze tak robi, jest bardzo wielkoduszna.

- A jeśli zapyta mnie o rodzinę?

- Cóż, znasz przecież swoją wersję na pamięć... albo dla odmiany możesz powiedzieć prawdę.

Madeleine wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Każdą sztukę wystawiano najwyżej przez kilka tygodni, ona zaś zamierzała odgrywać rolę wnuczki hrabiego do końca życia. Byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby nie zakochała się w markizie Risleyu. Pierwotnie chciała się nim posłużyć, żeby wejść do wyższych sfer, poznać ważne osoby z towarzystwa i zdobyć akceptację. Teraz jednak nie interesowali jej żadni inni mężczyźni.

Markiz wierzył, że Madeleine pochodzi z dobrej rodziny, ona jednak była pewna, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw i iluzja się skończy. Stanmore wybuchnie gniewem, uzna ją za pospolitą oszustkę, przepędzi na cztery wiatry nie tylko z

towarzystwa, ale i z Londynu, jego wpływy były bowiem olbrzymie. Ona jednak również czuła złość na myśl, że jej urodzenie jest dla niego tak ważne. Mógł zaakceptować wnuczkę francuskiego hrabiego, ale zwykła panna Charron, córka szwaczki, nic dla niego nie znaczyła. Był jeszcze gorszy od hrabiego Rousillona ze sztuki „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

- Moja petarda wybuchnie mi w rękach - szepnęła Madeleine, gdy dorożka podjechała wreszcie pod drzwi.

Szczęśliwie Marianne nie miała czasu skomentować tej uwagi. Wyszły z powozu i przyłączyły się do gości, którzy powoli wlewali się do domu przez główne wejście. Podały swoje nazwiska lokajowi, ten zaś przywołał innego służącego i nakazał mu odprowadzić obie panie do pokoju, gdzie miały przygotować się do spektaklu.

Z sąsiedniego pomieszczenia dopływały dźwięki muzyki oraz gwar rozmów i śmiech. Od czasu do czasu ponad ten gwar wybijał się stentorowy głos lokaja obwieszczającego przybycie kolejnych gości, w większości utytułowanych. Zdenerwowanie Madeleine jeszcze wzrosło.

Zajrzała do szafy, w której znajdowały się kostiumy, gdy w pokoju pojawiła się księżna.

- Och, to dobrze, że przywieziono już wasze rzeczy - rzekła z serdecznym uśmiechem.

Madeleine pośpiesznie wyprostowała się i dygnęła. Marianne w samych pończochach i halce próbowała uczynić to samo, ale ze względu na niekompletny strój widok był tak niedorzeczny, że księżna wybuchnęła śmiechem.

- Wybaczcie, że wam przeszkadzam. Chciałam tylko zapytać, czy niczego nie potrzebujecie. Kazałam rozwiesić zasłonę z gładkiego płótna, która posłuży za tło, jak pani sobie życzyła, panno Doubleday

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Niczego nam nie brakuje.

- Wieści o spektaklu rozeszły się szeroko - mówiła księżna. - Sala jest pełna, nie da się wcisnąć nawet szpilki. Przyszło również mnóstwo panów. To dobrze, liczę bowiem, że okażą hojność, na czym skorzysta sierociniec. Na początek, dla wprowadzenia w

nastrój, zaplanowałam nieco muzyki, a potem zapowiem wasz występ. Czy powinnam powiedzieć coś szczególnego?

- Nie, Wasza Wysokość, proszę tylko to przeczytać. - Marianne podała księżnej kartkę. - Zagramy fragment sztuki „Rywale”.

- Po spektaklu podadzą coś do jedzenia i picia. Będę zachwycona, jeśli przyłączą się panie do gości. Z pewnością wielu z nich zechce zapytać o waszą pracę. Mam nadzieję, że nie uznają panie tych pytań za impertynenckie.

- Absolutnie nie, Wasza Wysokość - odpowiedziała Marianne.

Dopiero w tej chwili Madeleine poczuła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jej marzenia i plany zaczynały nabierać realnych kształtów. Poczła nastrój dziwnego wyczekiwania.

- W takim razie zostawię już panie. - Księżna wyszła.

- Maddy - rzekła Marianne - przestań śnić na jawie i zacznij się ubierać, bo nie zdążymy.

Wzięła się w garść. Włożyła ciężką, dworską brokatową suknię na krynolinie, jakie noszono przed pół wiekiem, pokryła twarz pudrem i różem, dokleiła kilka muszek w kształcie serduszka, a włosy przykryła kopiastą, upudrowaną na biało peruką. Była coraz bardziej zdenerwowana. Gdy w drzwiach pojawił się lokaj, odetchnęła głęboko i poszła za Marianne do sali balowej. Krzesła ustawione były na kształt widowni niewielkiego teatru. Na widok aktorek rozległ się aplauz, po chwili przerwany dźwiękiem werbli. Księżna podniosła się i przedstawiła je publiczności jako panią Malaprop i Lydię Languish we fragmencie słynnej sztuki Richarda Brinsleya Sheridana, zmarłego przed jedenastu laty dramaturga i dyrektora teatru Drury Lane.

Gdy zaczęły grać, zdenerwowanie Madeleine zniknęło. To było to, w czym czuła się najlepiej - jej praca, jej życie. Widziała, że z Marianne dzieje się to samo. Były doskonałymi partnerkami, o czym świadczyła entuzjastyczna owacja wieńcząca występ.

- No widzisz, nie było takie trudne, prawda? - stwierdziła z uśmiechem Marianne, gdy wróciły do garderoby, by przebrać się w



wieczorowe suknie.

- Tak, ale mówiłam gotowym tekstem, który znałam od dawna, i bardzo się boję tego, co dopiero ma nadejść.

- To, co ma nadejść, zależy tylko od ciebie.

- Sądzisz, że powinnam wyjaśnić tę sprawę z francuskim hrabią?

- Maddy, będzie dla ciebie lepiej, jeśli zdobędziesz sławę ze względu na swój talent, nie zaś z powodu oszustwa, które kiedyś musi wyjść na jaw i zrujnuje twoją reputację, a tym samym i karierę. A teraz przebierajmy się szybko, jeśli chcesz przyłączyć się do gości.

Suknia Madeleine była z lazururowej gazy na jasnozielonej jedwabnej podszewce. Miała nisko wycięty, okrągły dekolt i krótkie, bufiaste rękawy. W pasie owinięta była szeroką ciemnozieloną szarfą, związaną z tyłu na wielką kokardę. Spódnica sięgała nad kostki, ukazując białe pończochy i zielone satynowe pantofelki. Dłonie i przedramiona okrywały długie do łokcia białe rękawiczki. Nie nosiła naszyjnika, włożyła jednak kolczyki od Duncana, a zaczesane do tyłu włosy upięła grzebieniami na czubku głowy, tworząc kaskadę loków opadającą wokół twarzy.

- Wyglądasz uroczo - stwierdziła Marianne. - A ja? Przyjrzała się przyjaciółce. Suknię uszyto z satyny w różowo-białe paski, a na głowie miała stroik z piór w tych samych kolorach. Całości dopełniał rubinowy naszyjnik, który sir Percy dał jej kiedyś w prezencie.

- Wyglądasz jak królowa - rzekła z uznaniem.

Poszły do sali balowej, z której już uprzątnięto rzędy krzeseł. Goście krążyli wokół, rozmawiając z ożywieniem. Duncan, w granatowym wieczorowym stroju, od razu je zauważył.

- Proszę, wejdźcie i poznajcie wszystkich.

Nim Madeleine zdążyła się zorientować, co się dzieje, stała już przed książeczą parą. Marianne gdzieś zniknęła.

- Sir - zwrócił się Duncan do ojca. - Chciałbym ci przedstawić pannę Charron. Mama już ją poznała.

Książę był bardzo przystojnym mężczyzną. Wysoki i postawny, miał niemal zupełnie czarne włosy, jedynie na skroniach przetykane srebrzystymi pasemkami. Ciemne oczy błyszczały humorem, jakby

milord uważał życie za całkiem przyjemne doświadczenie. Czyż jednak mogłoby być inaczej, zważywszy na jego bogactwo i pozycję?

- Wasza Wysokość. - Madeleine dygnęła przed nim. Kiedyś przysięgła sobie, że nigdy tego nie zrobi, mimo to jednak nie potrafiła się powstrzymać. Książę, choć nie był sztywny ani nadęty, samą swoją obecnością skłaniał do szacunku.

- Gratuluję pani występu. Oczywiście często widywałem panią w teatrze, ale nigdy z tak bliska.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

- Zapewne trudniej się pani grało, mając publiczność tuż przed sobą - wtrąciła księżna. - To zupełnie inaczej niż na scenie.

- Rzeczywiście, na początku czułam się nieco onieśmielona - przyznała Madeleine - ale gdy już wczułam się w rolę, przestałam zauważać publiczność. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Chociaż nawet w teatrze czasem ją dostrzegam, jeśli zaczyna gwizdać albo wrzucać na scenę różne przedmioty.

- Tutaj nie było takiego ryzyka.

- Nie, bo goście Waszej Wysokości są dobrze wychowani.

- Spojrzała wymownie na Duncana.

Wybuchnął śmiechem.

- Mamo, panna Charron mówi o Willoughbym i Scott-Smysie, którzy dwa dni temu rzucali na scenę skórki z pomarańczy.

- Jakież to niegrzeczne! - oburzyła się Frances. - Ciekawe, czy nadal uważają się za dżentelmenów? - Zwróciła się do męża. - Panna Charron ma francuskie pochodzenie, Marcusie. Jest wnuczką francuskiego hrabiego. Jej rodzina za czasów terroru zmuszona została do ucieczki z ojczyztego kraju i osiedliła się w Anglii.

- Doprawdy?

Gdy książę spojrział na nią uważnie, poczuła się bardzo nieswojo. Co będzie, gdy jej kłamstwo zostanie obnażone? Jak wtedy zareaguje Duncan? Wiadomo, jak... Będzie to koniec wszelkich nadziei na akceptację w dobrym towarzystwie, koniec teatralnej kariery, koniec wszystkiego

- Nie mogę, niestety, dowieść wiarygodności tej wersji, Wasza

Wysokość - rzekła. - Dziadek zmarł wkrótce po moim urodzeniu, nigdy go nie poznałam.

- A twój ojciec?

- Jego też nie pamiętam. Był wojskowym i zginął na wojnie. Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą czasów, gdy żyłam z matką w Londynie.

- Panna Charron została aktorką po tym, gdy jej matka zginęła w wypadku ulicznym - wtrącił Duncan.

Madeleine nie była pewna, czy zapomniał o sierocińcu, czy też celowo pominął ten fragment jej życiorysu, uznała jednak, że lepiej będzie na razie nie uzupełniać tej luki.

- Nie ma pani żadnych krewnych? - zapytała księżna. - Kogoś, do kogo mogłaby się pani zwrócić?

Czyżby Jej Wysokość sondowała ją, by przyłapać na łgarstwie? Jednak na twarzy księżnej odbijała się tylko uprzejma troska.

Madeleine znów ogarnęło poczucie winy. Była zmęczona udawaniem, ale nie miała wyboru. Gdyby odwołała to, co powiedziała wcześniej, jak by to zabrzmiało?

- Nikt się nie ujawnił po śmierci mojej matki, milady. Czasami zastanawiam się, czy nie byłoby najlepiej zapomnieć o tej historii. To może być tylko legenda.

Duncan głośno odetchnął, ale nie odezwał się ani słowem.

- Zapewne ma pani rację. - Księżna skinęła głową. - Przeszłość często przesłania nam teraźniejszość. Lepiej skupić się na tym, co się dzieje tu i teraz.

- No tak, ale gdyby panna Charron chciała wyjść za mąż, wiedza o przeszłości rodziny z pewnością mogłaby mieć dla niej znaczenie przy wyborze męża - wtrącił Duncan.

Rodzice spojrzeli na niego ostro, lecz po chwili na twarzy księżnej znów zagościł uśmiech.

- Sądzę, że zależałoby to również od wybranka panny Charron. Ja ze swej strony uważam, że to, kim jesteśmy, ważniejsze jest od tego, skąd pochodzimy. Spotkałam równie wielu łajdaków wśród arystokracji co wśród ludzi niższych stanów.

Niech cię Bóg błogosławi, księżno, pomyślała Madeleine, tylko czy naprawdę wiesz, co mówisz?

- Nie planuję na razie wychodzić za mąż - powiedziała cicho.

- Cieszę się, że to słyszę - uśmiechnął się książę - bo to oznacza, że nie grozi nam utrata tak wspaniałej aktorki. Duncanie, widzę spore zgromadzenie młodych mężczyzn, którzy pragną poznać pannę Charron. Nie możemy jej zatrzymywać tylko dla siebie. - Skłonił przed nią głowę. - Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawiła.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Jeszcze jeden dyg i rozmowa dobiegła końca.

- Nie było tak źle, prawda? - szepnął Duncan z uśmiechem, prowadząc ją w stronę grupy gości.

- Nie - przyznała, choć wciąż się wzdrygała na myśl o podwójnej osobowości. Właściwie nie uciekła się do kłamstwa, ale również nie odzegnała od wymyślonej historii. Było jasne, że zarówno książę, jak i księżna skłonni byli w nią uwierzyć.

Jakoś udało jej się odpędzić te myśli i być miłą dla przyjaciół Duncana, którzy w innej sytuacji za nic nie pojawiliby się na wieczorku u księżnej, przeważyła jednak sposobność poznania panny Charron. Tak w każdym razie twierdził Duncan, starała się więc uśmiechać jak najbardziej promiennie. Natychmiast zasypano ją pytaniami o to, w jaki sposób została aktorką, a także o role, które grała. W pewnej chwili Benedict Willoughby zapytał:

- Czy to prawda, że pani dziadek był francuskim hrabią?

- Tak mi powiedziano, gdy byłam małą dziewczynką, ale nie mam na to żadnego dowodu.

- Jednak urodziła się pani i wychowała w Anglii?

- Tak, naturalnie, że tak.

- A gdzie dokładnie? - zapytał ktoś inny.

Madeleine rozpaczliwie szukała jakiegoś miejsca, które nie byłoby zbyt dobrze znane ani też zbyt odległe. Wiedziała jednak, że bez względu na to, jaką nazwę wymieni, na pewno znajdzie się ktoś, kto tam był i zna jeśli nie wszystkich, to przynajmniej najważniejszych mieszkańców. Najprościej było powiedzieć prawdę, powtórzyła więc

to, co już wcześniej mówiła księciu: że nie pamięta dziadka i że została wychowana przez matkę w Londynie.

- A pani ojciec? - zapytał ktoś inny.

Było jasne, że jej przeszłość wydała się im intrygująca.

- Zginął na wojnie.

- Ciekaw jestem, po której stronie walczył - mruknął Benedict.

- Po naszej, głupcze - uciał Duncan, zanim Madeleine zdążyła odpowiedzieć. - Myślę jednak, że nie powinniśmy wypytywać panny Charron o rodzinę. Musi to być dla niej bolesny temat.

Porozmawiajmy o czymś innym. Czy zgadzacie się, że dzisiejszy występ był doskonały?

Ze wszystkich stron rozległy się potakiwania i rozmowa zбочyła na inne tory. Pytano ją teraz, jak przygotowuje się do ról i jak uczy się tekstu. Madeleine zaczęła się rozluźniać. Mówiła właśnie o czymś, co dotyczyło teatralnej rutyny, gdy do grupy dołączyło kilka nowych osób.

- Dobry wieczór, Stanmore - odezwał się głos, na dźwięk którego Madeleine cofnęła się w czasie. Zamilkła w pół słowa, niezdolna dokończyć zdania ani nawet się poruszyć. Czuła się jak przerażony królik złapany w sidła.

- Panno Charron, pozwoli pani, że przedstawię jej lorda Bulforda - powiedział uprzejmie Duncan.

Po dłuższej chwili udało jej się odwrócić i stanąć twarzą do Henry'ego. Skłoniła głowę, nie odzywając się ani słowem.

- Jestem zachwycony, że mogę panią poznać. - Wodził wzrokiem po jej postaci. Był to jednak wyłącznie wyraz męskiej aprobaty. Nie poznał dawnej kuchty, którą próbował zgwałcić.

- To miło z pana strony. - Ukryła drżące dłonie w fałdach spódnicy, by uniknąć jego dotyku.

- Pozwoli pani, że przedstawię moją żonę, lady Bulford. Znów bez słowa skinęła głową. Lady Bulford była wyższa od Henry'ego. Miała długi nos i bardzo ciemne oczy, które zdawały się przeszywać rozmówcę na wylot. Madeleine była ciekawa, czy lady Bulford wie o słabości swojego męża do młodych służących.

- A to moja siostra, Annabel Bulford - ciągnął Henry. - Widziała panią w „Romeo i Julii” i bardzo pragnie panią poznać.

- Naprawdę? - Doskonale pamiętała małą Annabel, która często uciekała guwernantce i przybiegała do kuchni, prosząc o słodycze. Jako młodsza z dwóch sióstr była bardzo rozpieszczana, ale nie miała złego charakteru.

- Och, tak - rzekła Annabel. - Byłam zachwycona tym spektaklem. Czułam się, jakbym sama była w tej sztuce i doskonale panią znała.

- Niezmiernie mi to pochlebia - szybko powiedziała Madeleine - ale właśnie na tym polega iluzja teatru.

Lady Bulford pociągnęła męża za rękę.

- Mój drogi, sądzę, że powinniśmy przejść dalej. Nie możemy spędzić całego wieczoru na rozmowach z aktorkami, bo zwrócimy na siebie uwagę.

Gdy odchodzili, Madeleine usłyszała, jak Henry zwrócił się do żony:

- Moja droga, czy nie sądzisz, że to było niegrzeczne?

- Na litość boską, przecież to tylko aktorka! Nie mam pojęcia, dlaczego księżna pozwoliła jej przyłączyć się do gości.

- Ależ, Dorothy, ona jest wnuczką arystokraty!

- Francuskiego - prychnęła. - Poza tym co to ma do rzeczy? Tak czy owak jest aktorką.

Annabel spłonila się zażenowana głośnymi komentarzami szwagierki.

- Och, tak mi przykro - wyszeptała, trzymając się boku Duncana jak przyklejona.

- Nie ma pani za co przepraszać - odrzekła Madeleine, zadowolona, że Annabel jej nie poznała. - To nie pani wina.

- Chciałabym się z panią zaprzyjaźnić. Księżna panią akceptuje, to mi wystarczy. Czy mogłabym panią odwiedzić?

Pomyślała o skromnym mieszkaniu przy Oxford Street i wyobraziła sobie, jak panna Bulford podjeżdża tam powozem.

- Może kiedyś, ale kłopot w tym, że aktorki mają nietypowy rozkład zajęć. Śpimy do późna, a pracujemy wieczorami. Może

jednak zechciałaby pani przyjść kiedyś za kulisy po spektaklu?

- Zrobiłabym to z największą przyjemnością, ale Henry mi nie pozwoli. Może milord zechciałby mi to ułatwić? - Uśmiechnęła się do Duncana, który uprzejmie skłonił głowę.

Rozmowa potoczyła się dalej. Annabel była niezwykle ożywiona, Duncan uprzejmy, a Madeleine wtrącała monosylaby. Zauważyła utkwiony w siebie wzrok Marianne i próbowała zasygnalizować jej spojrzeniem, że potrzebuje pomocy, ale przyjaciółka tylko przesłała jej uśmiech, po czym powróciła do rozmowy z sir Percym i księżną.

Duncan miał nadzieję, że panna Bulford w końcu poszuka sobie innego partnera do rozmowy. Musiał porozmawiać z Madeleine sam na sam. Obiecał majorowi Greenawayowi, że dowie się czegoś więcej o jej rodzinie, jednak została już wypytana przez jego ojca i Benedicta, i wyraźnie nie miała ochoty dłużej drażnić tego tematu. Powiedziała jednak, że francuski arystokrata może być tylko legendą. Czyżby czegoś się obawiała?

Miał ochotę wymknąć się z przyjęcia, nie potrafił jednak oderwać się od Madeleine, a poza tym wolał być blisko na wypadek, gdyby znów wymknęło jej się coś ważnego. Znosił więc cierpliwie paplaninę Annabel i uśmiechał się do wszystkich, którzy chcieli poznać pannę Charron. Doskonale zdawał sobie sprawę, że traktują ją jak ciekawostkę, rzekomą damę, która została aktorką i z którą nigdy nie zawarliby znajomości, gdyby nie to, że książę i księżna poświęcili jej dziesięć minut swojego czasu.

Poczuł ulgę, gdy Henry Bulford przyszedł po siostrę, by zabrać ją do domu.

- Czy mogę cię odwieźć do domu? - spytał, gdy zostali sami.

- Nie, milordzie, dziękuję. Przyjechałam tu z panną Doubleday i razem z nią wrócę. Księżna przygotowała dla nas powóz.

- W takim razie odprowadzę cię do powozu.

Razem wyszli z sali. Księżęca para stała przy drzwiach, zegnając ostatnich gości. Madeleine dygnęła.

- Dziękuję za zaproszenie, Wasza Wysokość - zwróciła się do księżnej.

- To ja powinnam pani podziękować, panno Charron. Jeszcze nigdy nie zebraliśmy tyle pieniędzy. To będzie ogromna pomoc dla sierot. Jest ich tak wiele, że potrzebujemy nowego budynku.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

Wyszła na ulicę, dziękując Bogu, że udało jej się przebrnąć przez ten wieczór bez żadnej katastrofy. Przed drzwiami czekał powóz z księżącym herbem. Marianne siedziała już w środku.

- Nie pracujesz chyba w niedzielę? - zapytał Duncan, pomagając jej wspiąć się na schodki.

- Nawet aktorki miewają czasem wolny dzień - odparła z uśmiechem.

- W takim razie może zechciałabyś się wybrać ze mną na przejażdżkę po parku?

Niezależnie od ostrzegawczego spojrzenia Miarianne doskonale wiedziała, że powinna odmówić. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie. Przejazdka w towarzystwie markiza Risleya w pełnym blasku dnia byłaby godnym zwieńczeniem dotychczasowych wysiłków. Poza tym być może wreszcie zdobędzie się na odwagę i wyzna mu prawdę.

- Z największą przyjemnością, milordzie.

- W takim razie do zobaczenia. Przyjadę po ciebie o drugiej, jeśli ci to odpowiada.

- Wiesz chyba, że igrasz z ogniem? - powiedziała Marianne, gdy powóz ruszył.

- Wiem.

- Sir Percy uważa, że powinnaś dowiedzieć się czegoś więcej o swoich rodzicach.

- Dlaczego?

- Bo lepszy diabeł znany od nieznanego.

- Przecież wiem, kim jestem. Córką zwykłego żołnierza i prostej szwaczki, a jeśli wierzyć plotkom, które słyszałam na pogrzebie matki, to moi rodzice nie mieli nawet ślubu. Bez francuskiego hrabiego jestem nikiem.

Dlaczego czuła się tak niepewnie? Dopóki nie poznała markiza



Risleya, była zadowolona ze swojego życia, a jej ambicje, by stać się kimś więcej niż tylko aktorką, pozostawały gdzieś w tle, jak wspomnienie dziecięcych marzeń. Tak naprawdę pragnienie, by wyjść z cienia, wiązała z teatrem, a nie z salonami. Duncan Stanmore ożywił jej dawne rojenia, tchnął w nie nowe życie i, paradoksalnie, właśnie z jego powodu ujrzała siebie taką, jaka naprawdę była: zawistna, mściwa fantastka i kłamczucha.

Jakże jednak trudno było odrzucić kłamstwa, którymi podierała się od lat! Pozwoliły jej utrzymać się przy życiu, gdy niewiele brakowało, by zmarła z głodu. Dzięki nim stała się aktorką i zagrała wiele ról. To kłamstwa pozwoliły jej odzyskać dumę i poczucie godności, aż w końcu niemal w nie uwierzyła. Kim była bez nich? Czy sir Percy miał rację? Czy powinna przyjrzeć się bliżej własnej przeszłości? Czy obawiała się prawdy?

W takim razie od czego powinna zacząć? Najbardziej oczywistym miejscem wydawał się sierociniec. Pewnie nie ma tam już nikogo, kogo pamiętała, ale mogły istnieć jakieś zapiski. Skoro sierociniec przeznaczony był dla dzieci żołnierzy, niewykluczone, że znajdzie tam dokumenty świadczące o tym, że miała prawo tam być.

Następnego ranka udała się na Monmouth Street. Minęło już dwanaście lat od czasu, gdy opuściła sierociniec, a jej pamięć związana z tym miejscem była naznaczona tak głębokim i przejmującym poczuciem nieszczęścia, że poza tym niewiele się ostało: jakiś dom, jakieś pomieszczenia, ale żadnych twarzy czy imion, tylko samotna dziewczynka rozpaczliwie tęskniąca za matką. Nie wiedziała nawet, kto ją tam zaprowadził.

Dotyk czyjejś dłoni, głos, który co prawda nie był niemiły, lecz z pewnością nie należał do jej matki:

- Kochanie, zaopiekują się tu tobą, niczego się nie bój, będzie ci tu dobrze.

Nagle zobaczyła cały sierociniec ze wszystkimi szczegółami: długą, wąską sypialnię utworzoną z dwóch pokoi połączonych w jeden, gdzie każdego wieczoru usypiała zmęczona od płaczu, jadalnię, gdzie na śniadanie podawano owsiankę, w środku dnia

zdrowy, lecz niezbyt apetyczny obiad, a na podwieczerek chleb i herbatę, a także kuchnię, w której pełniła dyżury. Dzieci nie głodowały, nie były traktowane w sposób okrutny, brakowało jednak prawdziwej miłości, uczucia, które przemieniłoby to miejsce w dom. A jednak w porównaniu z rezydencją przy Bedford Row sierociniec był bezpieczną przystanią.

Gdzie on się podział? Monmouth Street pełna była sklepów z używanymi rzeczami i różnymi rupieciami, Madeleine jednak nie dostrzegła niczego, co przypominałoby budynek, w którym mieszkała przez trzy lata. W końcu zagadnęła starą kobietę, która siedziała na progu jednego z domów, i usłyszała w odpowiedzi:

- Oj, tego to już nie ma.
- Nie ma? Czyżby został rozebrany?
- Ano, gdzieś z siedem lat temu.
- A co się stało z dziećmi? - spytała po chwili Madeleine.
- Gdzieś je zabrali. - Tak? A dokąd?
- Pamięć już nie taka...

Gdy staruszka podniosła na nią chytre oczka, Madeleine wyciągnęła z sakiewki garść moniaków.

- Może to pomoże odświeżyć pani pamięć?
- Ano, już sobie przypominam. Przenieśli je na Maiden Lane zaraz po tym, jak zamordowano tę biedną kobiecinę.

Ruszyła więc w stronę Maiden Lane, choć bała się, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Mało prawdopodobne, by po siedmiu latach któraś z opiekunek sierot wciąż tam pracowała. Najczęściej były to młode panny, które tylko czekały, by wyjść za mąż i zająć się własnym domem. Poza tym czy ktoś zadałby sobie trud, by przechowywać dokumenty dotyczące dzieci z sierocińca, który już nie istniał?

Gdy dotarła na miejsce, nie była przygotowana na to, co zobaczyła. Wielki, świeżo odmalowany dom miał lśniące okna, a na drzwiach wyglansowaną kołatkę, obok której widniała tabliczka z brązu z napisem: „Akademia Corringham”. Najbardziej jednak zaskoczył ją widok stojącego tuż obok powozu. Jechała nim zaledwie

przed kilkoma godzinami. Na drzwiach namalowany był herb księcia Loscoe.

A więc to był sierociniec księżnej, cel jej zbiorów pieniężnych. Madeleine słyszała już wcześniej, że mieścił się przy Maiden Lane, ale wówczas poczuła tylko ulgę, że nie był to dom przy Monmouth Street.

Nie mogła wejść do środka, nie mogła nawet pozostać w pobliżu ani o nic zapytać. Uciekła.

W ciągu następnych dwóch dni kilkakrotnie zmieniała decyzję co do przejazdu z markizem. Choć wstydyła się znów stanąć z nim twarzą w twarz, to przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło. Nikt nie podważył jej historii, dlatego więc miałyby rezygnować z korzyści, jakie mogła jej przynieść ta znajomość.

Bo to nieuczciwe, powiedziała sobie. Bo prawda i tak kiedyś wyjdzie na jaw, a wówczas Madeleine będzie przeklinać samą siebie. A przede wszystkim dlatego, że zakochała się w Duncanie Stanmorze.

Gdy markiz przyjechał po nią w niedzielę, Madeleine była w połowie ubrana i wciąż niepewna, co powinna zrobić.

- Powiedz mu, że nie zejdę - powiedziała do Marianne. - Po prostu źle się poczułam.

- Nie zrobię tego. To byłoby tchórzostwo. Nie możesz w nieskończoność unikać markiza i odkładać wyznania prawdy. Domyśli się, że coś jest nie tak, i z pewnością się nie podda, dopóki nie wyciągnie z ciebie, w czym rzecz. Równie dobrze możesz pójść teraz, i mieć to z głowy.

Niechętnie musiała się z nią zgodzić. Włożyła suknię z zielonej tafty z peleryną i długimi rękawami, nakryła głowę wysokim kapeluszem, wsunęła stopy w pantofelki i ruszyła na spotkanie ze swoim losem.

Duncan patrzył na nią, gdy powoli schodziła po schodach. Za każdym razem, gdy ją widział, wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Jej suknie nie były jaskrawe ani wyszukane, nosiła je jednak tak, że pomimo drobnej figury wyróżniała się w tłumie. Zwał to królewską

postawą. Twarz jednak miała bladą. Czyżby źle spała ostatniej nocy?

Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Panno Charron.

Ujęła jego dłoń i spojrzała mu w twarz, niemal zatracając się w głębi brązowych oczu. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie mogła oderwać od nich wzroku. Miała wrażenie, że Duncan potrafi przeniknąć jej myśli i wie, jak bardzo jest niepewna siebie.

- Przepraszam, milordzie, że kazałam panu czekać - rzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Proszę mi wybaczyć, ale tak bardzo oczekiwałem naszego spotkania, że przyjechałem nieco wcześniej - rzekł dwornie. - Pójdziemy?

Przed domem stał dwuosobowy karykiel. Stało się jasne, że Duncan sam zamierza powozić. Miała to być zarazem bardzo intymna i bardzo publiczna przejażdżka. Czy właśnie o to mu chodziło?

Dzień był gorący, niebo błękitne i mnóstwo ludzi wyszło na ulice, by cieszyć się słońcem. Na Oxford Street panował tłok niemal jak w dzień roboczy, a park, do którego po chwili wjechali, pełen był powozów, jeźdźców i pieszych. Duncan, skupiony na powożeniu, prawie się nie odzywał, za co Madeleine była mu wdzięczna, choć wiedziała, że nie potrwa to długo.

Nagle pojęła, że przecież o czymś takim marzyła. Siedziała obok najlepszej partii w całym kraju, uśmiechała się i kłaniała znajomym, ale zamiast czuć radość, była odrętwiała ze smutku.

- Jesteś bardzo milcząca - zauważył Duncan. - O czym myślisz?

- Myślałam o tym, jak dobrze powozisz. Kilka razy byłam już pewna, że dojdzie do kolizji, ale zawsze bez trudu wymijałeś inny pojazd.

- Boisz się?

- Jak mogłabym się czegokolwiek bać w twoim towarzystwie, milordzie?

- Dziękuję, milady - rzekł z uśmiechem.

- Dlaczego tak się do mnie zwracasz? Przecież nie jestem damą.

- Oczywiście, że nią jesteś.

W tej właśnie chwili zrównali się z otwartym powozem, w którym siedział lord Bulford z żoną i siostrami.

- Dzień dobry, Stanmore - odezwał się Bulford. - Panno Charron - dodał z ukłonem.

Uśmiechnęła się blado, ale obawiała się odezwać, by głos jej nie zdradził.

- Panno Charron, jak miło znowu panią widzieć! - zawołała Annabel, po czym zwróciła się do siostry: - Hortense, czy mogę ci przedstawić pannę Madeleine Charron?

- Panno Charron - powiedziała Hortense, patrząc na nią taksująco.

Madeleine aż się skurczyła. Starszą z panien Bulford widywała tylko z rzadka, nie zwykła bowiem osobiście schodzić do kuchni, kiedyś jednak zawołała kuchtę Maddy do swej sypialni, by zrobić awanturę, że woda do mycia jest zimna. Maddy odważyła się odpowiedzieć, że woda była gorąca, gdy ją przyniesiono, lecz skoro stała zbyt długo, to nic dziwnego, że wystygła. Hortense z wrzaskiem zagroziła jej, że wyrzuci ją z posady. Nie miała jednak mocy, by to zrobić, toteż Madeleine udało się przetrwać w służbie aż do okropnego incydentu z Henrym.

Teraz, w obawie, by jej nie rozpoznano, miała ochotę zapaść się pod ziemię, jednak duma wzięła górę. Wyprostowała się i śmiało popatrzyła na Hortense.

- Jak się pani miewa, panno Bulford? - zapytała z przyjaznym uśmiechem.

- Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkałyśmy.

- Mnie też się tak wydawało! - zawołała Annabel. - Pewnie dlatego, że widziałam panią na scenie - dodała.

- Na scenie? - Wyraz twarzy Hortense był komiczną mieszaniną zdziwienia, pogardy i niechęci. - Jest pani aktorką?

Duncan najpierw, co prawda, zachichotał, lecz potem rzekł ostrzegawczym tonem:

- Panna Charron jest aktorką, i to doskonałą, ale to nie znaczy, że nie jest również damą.

- Henry, powiedz stangretowi, żeby przyśpieszył - odrzekła na to Hortense. - Blokujemy przejazd.

Gdy zniknęli, Duncan wybuchnął śmiechem.

- To nie jest zabawne, milordzie! - oburzyła się Madeleine.

- Ależ jak najbardziej! Panna Bulford jest taka sztywna. Miło było zobaczyć ją w tej sytuacji.

- Wydaje mi się, że nie powinien pan się pokazywać w moim towarzystwie.

- A to dlaczego?

- Stanie się pan obiektem kpin.

- Wręcz przeciwnie, moja droga, stanę się przedmiotem zawiści. Wszyscy młodzi londyńczycy chcieliby się ze mną zamienić na miejsca.

- Czy dlatego właśnie zaprosił mnie pan tutaj? By móc się przechwalać przed przyjaciółmi?

Już niemal zapomniał o zakładzie z Benedictem, ale pytanie Madeleine było niebezpiecznie bliskie prawdy, a w każdym razie tego, co było prawdą jeszcze przed dwoma tygodniami, toteż ogarnięty poczuciem winy i wstydu, odrzekł dopiero po dłuższej chwili:

- Nie, Madeleine. Nie takie miałem zamiary. Może przespa-  
cerujemy się w cieniu drzew? Podczas powożenia trudniej mi się skupić na rozmowie.

- Dobrze, milordzie.

Przechadzali się jakiś czas w milczeniu, wreszcie Duncan powiedział:

- Madeleine, to nie może dłużej trwać.

- Co nie może trwać, milordzie? Nasza przejażdżka? Czy też chodzi o to, że markiz Risley zabrał do swojego powozu aktorkę?

- Nie musisz być aktorką.

- Lecz nią jestem. W ten sposób zarabiam na życie.

- Mógłbym to zmienić.

- Zmienić? Niby po co? - Spojrzała na niego uważnie. Wpatrywał się w dal, jakby chciał zajrzeć w przyszłość. - Jeśli wstydzisz się

**pokazywać w moim towarzystwie, to dlaczego zaprosiłeś mnie na tę przejażdżkę?**

**- Bo chcę być z tobą przez cały czas, każdego dnia i...**

**- Milordzie, nie zostanę twoją kochanką. Nie wiem, dlaczego powszechnie się uważa, że wszystkie aktorki to ladacznice.**

**- Madeleine, jak możesz mnie o coś takiego oskarżać?**

**- Przecież o tym właśnie myślisz, nieprawdaż? Przysyłałeś mi kwiaty i prezenty, by dostać się do mojego łóżka. Czy możesz temu zaprzeczyć?**

**- Owszem, mogę. - Jakże blisko była prawdy, lecz gorąco pragnął, by ją przekonać, że jego intencje się zmieniły. - Moje uczucia wobec ciebie są znacznie głębsze, niż sądzisz.**

**Uśmiechnęła się ironicznie.**

**- Intencja pozostaje ta sama.**

**- Nie.**

**- Czy zadowolisz się zwykłą przyjaźnią? Jeśli tak, to zdecydowanie przepłaciłeś. Miałbyś ją bez tych kwiatów i klejnotów. Staął, obrócił ją twarzą do siebie.**

**- Dobrze wiesz, że nie twojej przyjaźni pragnę. Nie należę do mężczyzn, którzy zadowolają się pustą adoracją. Gdy wyznaję, że jestem zakochany, to rzeczywiście tak jest.**

**- Jak możesz coś takiego mówić?! - Oddychała z trudem. - Nic o mnie nie wiesz. Moja przeszłość to są same przypuszczenia, a teraźniejszość jest nie do zaakceptowania w dobrym towarzystwie.**

**Cóż, taka była prawda. Wystarczyło wspomnieć zachowanie Hortense Bulford...**

**- A co z twoim francuskim dziadkiem?**

**- Sądzisz, że jest tak ważny?**

**- Dla mnie nie, ale ma znaczenie dla innych. Niestety, w naszym świecie osądza się ludzi według pozycji i rangi. - Spojrzał na nią. Była blada, w jej fiołkowych oczach malowały się żal i smutek. Jak miał jej to wszystko wytłumaczyć? - Madeleine, gdybyśmy mogli udowodnić istnienie twojego dziadka hrabiego, od razu zajęłabyś należne miejsce w społeczeństwie.**

- Przecież zajmuję należne mi miejsce - odrzekła z wściekłością. - W teatrze, jako aktorka. Jeśli nie potrafisz tego zaakceptować, to już twój problem.

- Dlaczego jesteś taka uparta? Czy obawiasz się tego, co mogłabyś odkryć?

- Nie ma nic do odkrywania. Czy sądzisz, że nie próbowałam?

- Ja też mógłbym spróbować. Znam pewnych ludzi...

- Mam nadzieję, że nie odważysz się tego zrobić. Nie życzę sobie być obiektem śledztwa jak jakaś złodziejka czy oszustka.

- Dobrze wiesz, że nie to chciałem powiedzieć. Pragnę tylko ci pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy, milordzie. Jestem ci wdzięczna za zainteresowanie, ale nic na nim nie zyskam. - Odetchnęła głęboko, zmuszając się, by mówić dalej i tym samym na zawsze zamknąć drzwi do przyszłości, która nigdy nie miała się ziścić. - Wydawało mi się, że akceptacja w towarzystwie przyniesie mi satysfakcję.

Wyłącznie dlatego pojawiłam się w Stanmore House, również dlatego przyjąłem twoje dzisiejsze zaproszenie. To było miłe, ale czas z tym skończyć. Przecież to tylko gra, zwykłe udawanie, i nigdy niczym innym by się nie stało.

- Wykorzystałaś mnie?! - Jego wzrok płonął, policzki pokrył rumieniec.

Wiedziała, że posunęła się za daleko, ale już nie było odwrotu.

- To przyciąga publiczność do teatru. Mam umowę z kierownictwem.

- Ty mała intrygantko! A ja byłem gotów poświęcić dla ciebie wszystko, dziedzictwo, rodzinę, nawet dobre imię. Ależ byłem głupi!

- Tak, milordzie - odrzekła cicho. - Oboje byliśmy głupi. Zdumiał go smutek w jej głosie.

Zdumiał, lecz nie powstrzymał przed pocałunkiem. Był to gniewny i brutalny pocałunek, bo miał ją zranić. Powinna się szarpać, wrywać z ramion Duncana, lecz mu uległa. Wiedziała, że ten pocałunek miał być karą, ale przyjmowała ją z radością.

To on odsunął się pierwszy. Madeleine nie stawiała oporu, nie



wpadła w złość. W niczym nie okazała się lepsza od kobiet lekkich obyczajów - płaciła pocałunkami za chwile spędzone w towarzystwie dżentelmena. Duncan czuł do siebie niechęć za to, że dał się wciągnąć w jej grę. A jednak pocałunki Madeleine, tak świeże i słodkie, wzbudziły w nim niepojętą żądzę.

Naraz przypomniał sobie zakład, od którego wszystko się zaczęło. Zakład, który wciąż pozostawał nierozstrzygnięty.

- Mimo wszystko nie masz nic przeciwko przelotnemu romansowi? - rzekł z goryczą. - Powinienem być wiedzieć, że tak wytrawna aktorka jak ty użyje subtelniejszych metod niż zwykła dziwka, by wpędzić mężczyznę w pułapkę.

Z rozmachem wymierzyła mu policzek, a potem pomaszerowała do powozu i nie czekając, aż Duncan pomoże jej wsiąść, zajęła swoje miejsce.

Powlókł się za nią, usiadł obok, konie ruszyły. Nie zamierzał wracać zatłoczoną główną drogą, gdzie wszyscy mogliby zauważyć jej kamienną twarz oraz czerwony ślad na jego policzku i wyciągać oczywiste wnioski. Skręcił na Serpentine, a potem przez Lancaster Gate skierował się w stronę Bayswater Road. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Byli już przed jej domem, gdy w końcu powiedział:

- To było niewybaczalne z mojej strony. Jest mi bardzo przykro.

- Ja również przepraszam, ale nie mogłabym być tym, kim chciałbyś mnie widzieć, milordzie.

Zatrzymał powóz przed domem, wyskoczył i wyciągnął do niej rękę.

- Madeleine.

- Nic więcej nie mam ci do powiedzenia, milordzie.

Gdy wbiegła do środka i zatrzasnęła drzwi, gorące łzy spłynęły po jej twarzy. Łzy po straconych marzeniach, po utracie życia, które nigdy nie miało nadejść.

## *Rozdział szósty*

W następnych dniach tylko profesjonalizm pozwalał jej funkcjonować. Grała rolę Heleny, która knuje intrygę, by zwabić do łóżka hrabiego Rousillona, a jej serce przez cały czas szlochało z miłości do markiza Risleya. Doskonale wiedziała, że sama go sprowokowała, by powiedział to, co powiedział, ponieważ nie potrafiła zaakceptować prawdy. Nie mieściło jej się w głowie, że mógł pokochać ją dla niej samej. Czy naprawdę był gotów poświęcić swoją pozycję dla kobiety, która była zwykłą oszustką? Nie mogła na to pozwolić; lepiej było sprawić, by poczuł do niej niechęć. Dla niej również byłoby lepiej, gdyby wzbudziła w sobie niechęć do niego, ale był to daremny trud.

Co wieczór wypatrywała Duncana na widowni, lecz nie pojawiał się w teatrze. Przysłuchiwała się plotkującym koleżankom w nadziei, że coś o nim wspomną. Czytała kolumny towarzyskie, wypatrując jego nazwiska, i oczywiście je znajdowała. Wszystko, co robił najbardziej pożądanym kawaler w Londynie, było interesujące dla gazet. Towarzyszył panie Annabel Bulford na debiutanckim balu panny Elizabeth Tremayne. Dwa razy pokazał się z obiema damami. Wraz z macochą, która była znaną malarką, zaszczycił otwarcie wystawy sztuki. Był gościem honorowym na ślubie Marthy Hartwood i hrabiego Bentleya. Jego koń wygrał wyścig w Newmarket, choć nie był liczony i prawie nikt na niego nie stawiał.

Wrócił do życia, jakie prowadził, zanim ją spotkał, zajmował się tym, czym zajmował się wcześniej. Był bezpieczny, otoczony rodziną i przyjaciółmi, bogaty i pewny siebie. Z pozoru Madeleine robiła to samo: wróciła do swego życia w teatrze. Każdego wieczoru pojawiała się na scenie, przedpołudnia przesypiała, a popołudniami uczestniczyła w próbach. Chodziła na kolacje i rauty po spektaklach. Otrzymywała zaproszenia od osób ocierających się o wielki świat, które po usłyszeniu historii o francuskim hrabi uznały ją za osobę godną goszczenia w swych salonach. Powinna czuć triumf, rzadko

**jednak przyjmowała zaproszenia, bo oszustwo ciążyło jej nieznośnie.**

**Przyjaciele z teatru darzyli ją swoistą miłością, lecz określenie „swoistą” było jak najbardziej na miejscu, bo jeden powiew wiatru mógł zdmuchnąć te uczucia, jak to wśród artystów, żądnych sławy egocentryków i zawistników. Zresztą i czas miał tu coś do powiedzenia. Wiedziała, że kiedyś będzie stara i samotna i że pozostaną jej tylko wspomnienia dawno minionej sławy.**

**- Wybierasz się na to przyjęcie czy nie? - wyrwała ją z zamyślenia Marianne.**

**Madeleine siedziała na wpół ubrana przed lustrem w garderobie. „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” zeszło wreszcie z afisza, co przyjęła z wielką ulgą. Od następnego tygodnia mieli grać „Stracone zachody miłości”, opowieść o zalotach i maskaradzie, w której nikt nie był tym, kim się wydawał.**

**Szekspir w fantastyczny sposób potrafił odzwierciedlać życie, pomyślała, nawet jeśli ukazywał je w krzywym zwierciadle.**

**- Tak, wybieram się - odpowiedziała. - Idź już, zaraz przyjdę.**

**- Dobrze, ale nie siedź za długo. - Marianne wyszła. Lancelot Greatorex świętował tym razem zakończenie wystawiania sztuki. Zbliżał się koniec sezonu towarzyskiego. Wielki świat wkrótce rozjedzie się do wiejskich posiadłości. W stolicy pozostawali tylko ci, którzy takowych posiadłości nie mieli lub których pilne sprawy zatrzymywały w mieście, a także wielka armia artystów, służby i sklepikarzy, dla których wyższe sfery znaczyły niewiele ponad to, że dawały dochód. Poza sezonem życie stawało się spokojniejsze, a do teatru przychodziło mniej widzów.**

**Być może Lancelot da im trochę wolnego albo zabierze kilku aktorów na tournée po prowincjonalnych teatrach. Madeleine była już na takim objeździe. Uznała, że to ciekawe doświadczenie, zarazem jednak ciężka praca, bo trupa gościła w jednym miejscu najwyżej przez tydzień. Teraz jednak chętnie wyjechałaby z Londynu. Gdziekolwiek, byle tylko nie myśleć o markizie Risleyu.**

**Narzuciła turkusową wieczorową suknię ozdobioną satynową różą pod nisko wyciętym dekoltem. Był to ostatni krzyk mody.**

Spódnicę wykończono szeroką falbaną z krepy w tym samym kolorze. Kiedy zamawiała tę suknię, marzyła, że włoży ją, gdy markiz Risley gdzieś ją zaprosi, i wyobrażała sobie te wszystkie komplementy. Jakaż była głupia! Wsunęła buty, wzięła torebkę i poszła do drzwi.

Teatr był zupełnie pusty, na szczęście sala, którą wynajęto na przyjęcie, znajdowała się niedaleko, toteż Madeleine nie zawracała sobie głowy szukaniem dorożki. Portier wypuścił ją przez tylne drzwi.

- Widzę, moja piękna, że nie śpieszyło ci się zanadto.

- Och, pan Willoughby! Przestraszył mnie pan.

- Doprawdy? W takim razie najmocniej przepraszam.

- Co pan tu robi? Spektakl skończył się przed godziną.

- Czekam na ciebie, moja droga. Muszę powiedzieć, że wyglądasz zachwycająco. W tym kolorze przypominasz nimfę wynurzającą się z morza.

- Dlaczego pan na mnie czekał? - spytała oschle.

- Żeby cię zabrać na kolację.

- Jestem już umówiona.

- A z kim? Na pewno nie ze Stanmoreem, bo się przyznał, że niczego z panią nie osiągnął.

- Rozmawiał o mnie z panem?! - Jak mógł? Jak śmiał uczynić z ich spotkań temat do plotek? Lecz cóż, nie miał o niej zbyt dobrego zdania, a młodzi dżentelmeni muszą mieć jakieś rozrywki...

- Dlaczego nie miałby ze mną o tym rozmawiać? - Willoughby wzruszył ramionami. - Nie dziwi się pani chyba, że stała się obiektem plotek w całym mieście. Wszyscy się zastanawiają, kim pani naprawdę jest: szlachetnie urodzoną damą czy też sprytną oszustką? Czy prowadzi się skromnie czy też jest zwykłą flirciarą, która wciąga naiwnych mężczyzn w swoje pułapki?

- Co za bzdury! Proszę pozwolić mi przejść.

- Pozwolę, gdy obiecasz, że pójdziesz ze mną na kolację. Stanmore miał już swoją szansę, teraz moja kolej.

- Pańska kolej?!

- W końcu to chyba uczciwe, czyż nie? Rozumiem, dlaczego dała sobie pani z nim spokój. Nie jest już nawet w połowie tak wesoły jak kiedyś, wciąż popada w ponure nastroje. Moim zdaniem to dlatego, że jego ojciec naciska, by jak najszybciej się ożenił. Żaden mężczyzna tego nie lubi, przynajmniej dopóki się nie wyszaleje. - Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem. - Dość jednak o Stanmorze. Co pani powie o kolacji?

- Powiedziałam już, że nie, panie Willoughby - rzekła stanowczo. - Przyjaciele na mnie czekają.

- Lepiej niech pani pójdzie ze mną. Oni poradzą sobie bez pani, a my doskonale się zabawimy. Nie jestem skąpy. - Roześmiał się. - No i właśnie trafiło mi się pięćdziesiąt funtów, a na jaki lepszy cel mógłbym je wydać niż na piękną kobietę?

- Nie, dziękuję panu - rzuciła z pogardą. - Proszę pozwolić mi przejść.

- Dobry Boże, jeszcze nigdy nie spotkałem tak sztywnej ślicznotki. Czy to dlatego, że pani dziadek był hrabią? Nie sądziła pani chyba, że zwykły hrabia może cokolwiek znaczyć dla księcia? On nigdy się nie zgodzi, by została pani jego synową, nawet gdyby Stanmore tego chciał, w co zresztą wątpię. Wie pani chyba, że jego zamiary były absolutnie niehonorowe.

- Panie Willoughby, proszę, by pozwolił mi pan przejść.

- Bardzo proszę, ale musi pani zapłacić okup w postaci pocałunku i obiecać, że pozwoli pani kiedyś zaprosić się na kolację.

- Absolutnie nie.

Próbowała precyzyjnie się obok niego, zamknął ją jednak w uścisku, od którego zaparło jej dech. W jednej chwili znów znalazła się na Bedford Row, kiedy to napastował ją Henry Bulford. Nie zamierzała pozwolić, by temu mężczyźnie udało się to, co nie udało się tamtemu. Wyrywała się z desperacją i ciskała słowami, które z pewnością nie przystoją damie, ale udało jej się tylko rozbawić Willoughby'ego.

- Wreszcie widzimy nagą prawdę. Panienska pokazuje swoją prawdziwą twarz. Zawsze mówiłem, że to zbyt piękne, by mogło być

prawdziwe. A teraz ci pokażę, jak należy postępować z takimi jak ty. Stanmore był dla ciebie za miękki.

Poczuła zapach brandy, obrzydliwe usta zmierzały ku jej wargom... i nagle ujrzała pięść, która z potężną mocą powaliła Willoughby'ego na ziemię.

Madeleine zachwiała się, lecz jakaś dłoń pochwyciła jej rękę.

- Czy nic się pani nie stało, panno Charron? - Głos należał do Duncana, ale ton był odmierzony, zimny, jakby zwracał się do obcej osoby.

- Nie, na szczęście zdążył pan w porę zainterweniować - odpowiedziała równie chłodno, starając się nie pokazać po sobie, jak wiele ją to kosztowało.

Duncan spojrzał na przyjaciela, który leżał na ulicy.

- Wstawaj, Ben.

Willoughby podniósł się z trudem i otarł zakrwawiony nos koronkową chustką.

- To nie było potrzebne, Stanmore. Próbowałem tylko dokonać tego, co tobie się nie udało.

- Idź do domu, zanim zrobię z ciebie worek treningowy. - Tym razem w głosie Duncana pobrzmiwała z trudem hamowana furia.

- Wiesz, że nie przepadam za boksem... - Willoughby mówił z trudem, trzymając się za krwawiący nos - ...ale nikt nie może mnie uderzyć bezkarnie. Mam nadzieję, że będziesz w domu, gdy przyślę sekundantów.

- Nie gadaj bzdur! Nie zamierzam z tobą walczyć.

- Nie zamierzasz? W takim razie wszyscy się dowiedzą, jakim jesteś tchórzem.

- Na litość boską, przestańcie! - zawołała Madeleine. - Zachowujecie się jak rozpieszczone dzieciaki. Nie jestem zabawką, o którą można się kłócić.

- Najmocniej przepraszam - rzekł Duncan z niskim ukłonem. - Zobaczyłem kobietę w potrzebie i przyszedłem jej na pomoc. Zrobiłbym to dla każdej innej.

- W takim razie dziękuję panu - odparła lodowato. Willoughby

oddalił się chwiejnym krokiem, wciąż trzymając się za nos, Madeleine ruszyła w przeciwnym kierunku.

- Nigdzie nie pójdziesz sama. - Duncan chwycił ją za ramię. - Pamiętaj, chyba, co mi obiecałaś?

Wyszarpnęła się z uścisku.

- Wybieram się na drugą stronę ulicy, by spotkać się z przyjaciółmi. Nie potrzebuję eskorty, a szczególnie pańskiej.

- Skoro nie życzysz sobie mojego towarzystwa, to będę szedł za tobą, dopóki się nie przekonam, że bezpiecznie dotarłaś na miejsce.

- Boże! Czy wy, mężczyźni, nigdy się nie poddajecie?

- Nie, droga Madeleine, nie mogę się poddać. Jeszcze nie.

- Prędzej spłonę w piekle niż uda się panu zrobić ze mnie ładacznicę, lordzie Risley. Proszę iść w swoją stronę i zostawić mnie w spokoju.

- Tak zrobię, ale najpierw odprowadzę cię bezpiecznie.

- A niby cóż dla ciebie znaczy moje bezpieczeństwo? Nie jestem przecież niczym lepszym niż zwykła dziwka. Sam tak powiedziałaś, prawda?

- Bardzo żałuję tych słów, lecz przemawiała przeze mnie złość. Bardzo mi przykro. Czy możesz mi wybaczyć?

- A jakież to ma znaczenie, czy panu wybaczę, czy nie. Jeśli wierzyć w to, co mówił Willoughby, jestem tylko przedmiotem szarpaniny, obiektem zabaw i kpin.

- A cóż takiego powiedział?

- Proszę go zapytać, to pański przyjaciel. Ja nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Przeszli przez ulicę i zbliżali się do budynku, w którym, sądząc po odgłosach, przyjęcie rozkręcało się na dobre. Duncan otworzył drzwi przed Madeleine.

- Oprócz tego, że chciałem cię przeprosić, jest jeszcze jeden powód, dla którego zamierzałem z tobą porozmawiać. Chodzi o pannę Annabel Bulford. Obiecałem jej, że przyprowadzę ją za kulisy, by mogła z tobą porozmawiać. Chciałem się upewnić, czy ta propozycja nadal jest aktualna.

Zupełnie zapomniała o tym zaproszeniu. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było zabawianie młodej panny, która miała wszystko, czego ona była pozbawiona, czyli rodzinę i bezpieczne miejsce w towarzystwie. Choć jeszcze młodziutka i płocha, powszechnie uważano, że jest świetnym materiałem na żonę. Madeleine wątpiła jednak, by pannę Annabel szczerze interesował teatr. Po prostu przyście za kulisy i rozmowa z aktorami była wyczynem, którym mogła pochwalić się przyjaciółkom. „Markiz Risley mnie tam zabrał” - jak to intymnie brzmiało. Niestety, nie mogła cofnąć zaproszenia, byłby to bowiem nietakt.

- Nie mam nic przeciwko pannie Bulford - powiedziała, dobrze panując nad głosem. - I nie jestem również tak źle wychowana, by rozciągać moją niechęć do pana na innych. Proszę ją przyprowadzić po premierze „Straconych zachodów miłości”. I proszę jej powiedzieć, że bardzo chętnie znów się z nią zobaczę. - Weszła do budynku.

Duncan ruszył przed siebie, przeklinając własną głupotę, upór Madeleine, a nade wszystko Benedicta. Co ten dureń jej powiedział? Cokolwiek jednak to było, wystarczyło, by jeszcze bardziej pogłębić rozdźwięk między nimi. Jeśli istniała choćby minimalna szansa, by Madeleine mogła mu wybaczyć, to właśnie została zaprzepaszczona.

Wrócił do domu i upił się w samotności, lecz w niczym mu to nie pomogło.

Następnego popołudnia zjawił się na Bedford Row. Lady Bulford przyjmowała właśnie przyjaciółki. Było tajemnicą poliszynela, że milady była już udręczona rolą przyzwoitki, którą musiała odgrywać wobec szwagierek, i za wszelką cenę chciała je jak najszybciej wydać za mąż. Hortense w wieku dwudziestu pięciu lat nie miała już wielkich na to widoków, ale Annabel, o cztery lata młodsza, znacznie ładniejsza i ceniona w towarzystwie, mogła się postarać o naprawdę dobrą partię.

Duncan doskonale wiedział, że jest głównym obiektem zainteresowania milady. Jeszcze kilka tygodni temu uznałby to za zabawne, ale od wieczoru u Almacka i balu panny Tremayne, gdzie



dwukrotnie zatańczył z Annabel, a potem zaprosił ją na kolację, kampania nabrała rozmachu. W dodatku Madeleine utrudniła mu jeszcze zadanie swym zaproszeniem za kulisy. Annabel nieustannie paplała o tym, Duncan nie miał więc wyboru i musiał spełnić jej życzenie, choć świetnie wiedział, co wszyscy sobie o tym pomyślą.

Panna Annabel Bulford, odpowiednio urodzona, ładna i obdarzona miłym charakterem, pod każdym względem stanowiła dobry materiał na żonę. Nie była szczególnie inteligentna, ale akurat to uważano za zaletę u kobiet. Rozmowy z nią nie iskrzyły się dowcipem, z pewnością jednak nie raziły nudą. Annabel była zdrowa i mogła urodzić silne dzieci, a jeśli nawet nie potrafiła prowadzić gospodarstwa, to bez wątpienia szybko się tego nauczy. Byłaby posłuszną i niewymagającą żoną.

Czekając, aż lady Bulford go przyjmie, Duncan uśmiechnął się do siebie. W jego sferze starannie wazono wszelkie za i przeciw dotyczące kandydatek na żonę, zupełnie jakby chodziło o kupno kłaczy rozplodowej. Przystawało to jednak być zabawne, gdy pułapka była zastawiona na niego.

W pokoju, do którego go wprowadzono, było dość tłoczno. Znajdowało się tam kilka młodych panien w towarzystwie matek oraz podobna liczba młodych kawalerów. Po drugiej stronie siedziała gospodyni oskrzydłona przez panny Bulford. Duncan skierował się tam i złożył niski ukłon.

- Uniżony sługa, lady Bulford.

- Witamy, markizie. - Milady poróżowiła z dumy. - Jak to miło z pańskiej strony, że zechciał pan zaszczyścić nas swoim towarzystwem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że zastałem panie w dobrym zdrowiu?

To pytanie okazało się poważnym błędem, bowiem lady Bulford natychmiast rozpoczęła litanie swych rozlicznych dolegliwości. Gdy wreszcie przerwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, Duncanowi udało się spytać, czy damy zechciałyby mu towarzyszyć na premierze „Straconych zachodów miłości”.

- Czy to ta nowa sztuka, w której ma grać panna Charron? - zapytała Annabel.

- Jak najbardziej, to właśnie ta.

- Ja się tam nie wybieram - oświadczyła lady Bulford. - Nie lubię teatru, sądzę jednak, że jeśli Hortense i Annabel mają ochotę pójść, to mogą służyć sobie wzajemnie za przyzwoitki.

- Och, ogromnie chciałabym zobaczyć ten spektakl - rzekła Annabel bez tchu. - Proszę, Hortense, powiedz, że też się wybierzesz!

- Bardzo prosimy, panno Bulford - dodał Duncan. - Przyjadę po panie o siódmej trzydzieści.

- Doskonale - odrzekła Hortense sztywno, jakby wyrządzała wielką uprzejmość.

Nie dziwota, pomyślał Duncan, że do tej pory pozostawała w panieństwie.

Spędził przepisowe piętnaście minut na rozmowie o niczym, po czym z wielką radością umknął. Tolerował Annabel, lubił ją nawet. Gdyby nie Madeleine Charron, która nieustannie zaprzętała jego myśli, być może brałby pod uwagę młodszą pannę Bulford jako kandydatkę na żonę. Lady Bulford i Hortense były jednak tak sztywne, że Duncanowi włos jeżył się na karku. Nie dostrzegały w nim człowieka, lecz jedynie tytuł i majątek. Pewnie tak samo wygląda w oczach Henry'ego Bulforda.

Powiedział to Lavinii, gdy odwiedziła dom macochy następnego popołudnia. Księżna pojechała do sierocińca, natomiast markiz tkwił w czterech ścianach.

Zasiedli przy herbacie.

- Co robisz sam w domu w środku popołudnia? - spytała zdziwiona Lavinia.

- Cieszę się spokojem i ciszą.

- Och. - Uniosła wysoko brwi. - Masz jakieś kłopoty?

- Lady Bulford bardzo się stara wepchnąć mnie w ramiona panny Annabel, a Benedict Willoughby wyzwał mnie na pojedynek.

- Benedict? Chyba nie mówisz poważnie!

- Najzupełniej poważnie. Rano przysłał Harry'ego Scotta-Smythe'a

**i Johnny'ego Tremayne'a.**

**- Musiałeś się z nim mocno pokłócić, skoro posunął się aż do tego.**

**O co wam poszło?**

**- Przemodelowałem mu twarz, bo obraził kobietę.**

**- Jaką kobietę? Chyba nie pannę Annabel?**

**- Nie. Pannę Charron.**

**- Tę aktorkę?**

**- Nawet jeśli jest aktorką, to jest również damą i nie mogłem patrzeć spokojnie, jak Benedict narzuca się jej ze swymi względami.**

**Lavinia wzdrygnęła się. Gdy miała szesnaście lat, Benedict Willoughby próbował czegoś podobnego z nią. Wówczas z kłopotów wybawili ją Frances i James.**

**- Zawsze był taki. Nie przyjąłeś wyzwania, prawda?**

**- Kazałem sekundantom pójść do Benedicta i powiedzieć mu, że nie żywię do niego żadnej urazy, której nie można by załagodzić szklaneczką brandy u White'a. Bóg jeden wie, jak na to zareaguje.**

**- Jeśli to się rozniesie, wybuchnie okropny skandal.**

**- Nic na to nie poradzę. Nie mogłem przecież stać i spokojnie patrzeć na to, co robił. W każdym razie myślę, że Benowi będzie wstyd o tym opowiadać. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie.**

**- Oprócz, oczywiście, panny Charron.**

**- Tak, ale Madeleine nie będzie o tym opowiadać. Jest zła na nas obu.**

**- Madeleine? Mówisz o niej po imieniu?**

**- Dlaczego nie? Tak o niej myślę.**

**- Och, Duncanie... Tylko nie mów, że się w niej podkopujesz. - A jeśli tak?**

**- Cóż, to nic niezwykłego, gdy młody mężczyzna zakochuje się w aktorce. Często są to piękne i podniecające kobiety. Doskonale nadają się na kochanki, jeśli tylko zachowasz dyskrecję.**

**- Boże drogi, Vinny, naprawdę myślisz, że jestem taki sam jak Willoughby? Chcę się z nią ożenić.**

**- Och... I co teraz zrobisz?**

**- Nie wiem.**

- Jeśli panna Charron naprawdę jest wnuczką francuskiego hrabiego, to sądzę, że mogłaby zostać zaakceptowana, oczywiście gdyby porzuciła scenę i zmieniła styl życia. Musiałbyś porozmawiać o tym z tatą.

- Nie zostawi na mnie suchej nitki.

- On to zrozumie. Kiedyś zakochał się w kobiecie, którą jego rodzice uznali za nieodpowiednią partię. Dlatego ożenił się z mamą, ale wierz mi, nie byli z sobą szczęśliwi.

- Nie miałem o tym pojęcia. Kim była ta kobieta?

- To nasza macocha - z uśmiechem powiedziała Lavinia. -

Pokochali się, zanim wyszła za hrabiego Corringhama, ojca Jamesa. Zdaniem rodziców taty była zbyt nisko urodzona, toteż nie zgodzili się na ślub. Dopiero gdy owdowieli, mogli się połączyć.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Bo poza wakacjami przebywałeś w szkole. Ja dowiedziałam się o tym, gdy ojciec po raz pierwszy przywiózł mnie do Londynu i zabrał do Corringham House na lekcję malarstwa.

- Czy sądzisz, że z tego powodu okaże zrozumienie dla moich problemów?

- Myślę, że tak. Porozmawiaj z nim albo jeszcze lepiej z mamą. Ona będzie wiedziała, jak go podejść. Ja jednak na twoim miejscu nie wspominałabym nic o pojedynku z Benedictem.

Nie musiała mu tego mówić. Po co jednak miałby wtajemniczać w całą sprawę rodziców, skoro Madeleine traktowała go ozięble? Najpierw musiał pogodzić się z nią i wyznać swoje uczucia. Powie jej, że poruszy niebo i ziemię, by się z nią ożenić, a jeśli spowoduje to rozdzwięk z ojcem... cóż, trudno.

Przypomniał sobie, że przy najbliższym spotkaniu z Madeleine będzie w towarzystwie Annabel Bulford.

- Vinny, czy mogłabyś mi wyświadczyć przysługę?

- Chętnie, jeśli jednak chcesz, bym porozmawiała z tatą w twoim imieniu, to nie sądzę, by był to dobry pomysł.

- Nie, z tym poradzę sobie sam. Obiecałem jednak, że zabiorę panny Bulford na premierę „Straconych zachodów miłości”. Zależy

mi, byście ty i James również zjawili się w teatrze. Nie chcę, żeby wszyscy myśleli, że idę tam wyłącznie po to, by towarzyszyć pannie Annabel.

- W takim razie dlaczego ją zaprosiłeś?

- Zostałem postawiony pod ścianą. Panna Bulford chciała zobaczyć tę sztukę, więc Madeleine zaprosiła ją za kulisy po spektaklu. Annabel trzyma mnie teraz za słowo i chce, żebym ją tam zabrał.

- Wplątałeś się w niezłe tarapaty. Mam nadzieję, że jakoś uda ci się z tego wybrnąć bez szkody dla wszystkich.

- To znaczy, że przyjdiesz?

- Jeśli James nie ma żadnych zobowiązań, to na pewno się zjawimy. Nie martw się, nie zdradzę mu, co mi powiedziałaś. A jeśli o mnie chodzi, to chętnie zobaczę tę sztukę.

- Dziękuję, Vinny. Możemy potem wybrać się na kolację do Reida.

- Mam nadzieję, że nie w towarzystwie panny Charron?

- Nie, z pewnością nie. - Uśmiechnął się krzywo.

Próba kostiumowa „Straconych zachodów miłości”, którą to sztukę Lancelot osadził we współczesnych realiach, twierdząc, że Szekspir zawsze jest aktualny, odbyła się wcześniej rano. Aktorzy dostali wolne popołudnie, by wypoczęli przed premierą. Marianne i Madeleine przyjęły zaproszenie sir Percy'ego i udały się w jego towarzystwie na przejażdżkę po parku.

Dzień był słoneczny, kobiety w muślinowych sukniach kryły się pod jedwabnymi parasolkami. Marianne i Madeleine wystawione były na publiczny widok jak eleganki z towarzystwa, które pokazywały się w parku, by obserwować innych i by je widziano. To, że należały do artystycznego półświatka, nie było oczywiste na pierwszy rzut oka. Zresztą sir Percival Ponsonby, choć znany ekscentryk, miał nieskazitelne pochodzenie i cieszył się powszechną sympatią, dlatego w jego towarzystwie nie groziło im lekceważenie czy afronty.

- Wygląda na to, że plotki o pani niezwykłym dziadku rozniosły się szeroko, panno Charron - powiedział, widząc, że wszyscy kłaniają

się im na powitanie. - Jest pani powszechnie adorowana. Ile dotąd otrzymała pani zaproszeń?

- Tak wiele, że nie potrafię ich zliczyć - odparła ze śmiechem - ale wiem, że powodowane są czystą ciekawością, toteż ich nie przyjmuję.

- Otaczają panią tajemnice, a ludzi to intryguje. Pani odmowy sprawiają, że staje się pani jeszcze bardziej atrakcyjna.

- Marianne powiedziała, że pańskim zdaniem powinnam wyjaśnić tajemnicę mojego pochodzenia. Próbowałam, ale do niczego nie doszłam.

- Wielka szkoda.

- Przeżyłam tyle lat, nic nie wiedząc o dziadku, więc mogę dalej żyć w ignorancji.

- Nie do końca, moja droga. Na pewno zależy ci na dobrym zamążpójściu.

- Jeśli oznacza to dla pana małżeństwo oparte na miłości, to niczego innego nie pragnę. Nie zgodzę się jednak na związek, który zależałby od tego, czy mój dziadek był hrabią, czy też nie. Już wolę pozostać samotna.

Sir Percy z uśmiechem pogładził ją po dłoni.

- Rozumiem, moja droga, ale wiesz, jak to jest w wielkim świecie. Mężczyzna może zostać wykluczony, jeśli ożeni się z kimś, kto zdaniem towarzystwa odstaje od normy. I nie skutkuje to tylko tym, że przed kimś takim zatraskują się drzwi do salonów. Wykluczony dżentelmen traci szacunek we wszystkich sferach i staje się powszechnym obiektem kpin, więc jak wówczas ma zarządzać swoim majątkiem? Jak ma zachować szacunek i autorytet wśród służby i dzierżawców, jak ma podtrzymać zaufanie wśród dostawców i partnerów w interesach? Jak odnosić się będą do niego żona i dzieci? Człowiek przegrany, pozbawiony godności i wpływów... Taki ktoś ma tylko jedną drogę, która nieodmiennie wiedzie w dół.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż za nikogo z arystokracji, sir Percy.

- Nie? A myślałem...

- Maddy rozczarowała się wielkim światem - wyjaśniła Marianne.

- Wszystkimi jego przedstawicielami?

- Nie panem, sir Percy - pośpiesznie zapewniła Madeleine.

- Inni jednak mają w głowie tylko jedno i czynią zakłady, jak to osiągnąć. Da pan wiarę, że Willoughby i markiz Risley spierali się o to, czyja przypada kolej na spotkanie ze mną? I czy dziwi się pan, że dałam kosza obydwu?

- Jakież to aroganckie z ich strony - stwierdził zażenowany.

- Aż trudno uwierzyć, że Stanmore tak się zachował.

- Wiem to od pana Willoughby'ego. Natomiast markiz dał mu w twarz.

- Naprawdę? Szkoda, że tego nie widziałem.

- Nie ma się z czego śmiać. Pan Willoughby wyzwał go na pojedynek.

- Co za idiotyzm!

- Jestem przerażona. Markiz Risley powiedział, że nie będzie z nim walczył, ale pan Willoughby z pewnością nie zostawi tej sprawy w spokoju, więc poczucie honoru zmusi milorda do przyjęcia wyzwania. Drzę na myśl, że dojdzie do rozlewu krwi. Nie jestem tego warta, już sama wolałabym zginąć.

- Och, nie byłoby z tego żadnego pożytku, moja droga - odrzekł pogodnie. - Młodzi ludzie wciąż wyzywają się na pojedynki. Zobacz pani, że uściskają sobie dłonie i pogodzą się.

- Czy mógłby pan na nich jakoś wpłynąć? - zapytała Marianne.

- Obiecuję, że porozmawiam z nimi.

- Dziękuję. Och, jesteśmy już przed domem. Czy zjawi się pan na premierze, sir Percy?

- Oczywiście, jakżeby inaczej! Czy zechcą panie wyświadczyć mi ten zaszczyt i zjeść ze mną potem kolację?

- Dziękujemy - odrzekły jednogłośnie.

Madeleine pomyślała, że ta propozycja ratuje ją przed młodzieńcami szturmującymi drzwi garderoby. Jednak nie tylko perspektywa tego oblężenia napawała ją niepokojem, lecz również

myśl o spotkaniu z Duncanem Stanmore'em w towarzystwie panny Annabel Bulford.

Nim kurtyna uniosła się przed pierwszą sceną, Madeleine niemal omdlewała z tremy. Na szczęście jako księżniczka Francji pojawiała się na początku drugiego aktu i zdążyła dojść do ładu z nerwami.

Spektakl przyjęto entuzjastycznie, szczególnie fetowano Madeleine, która kilkakrotnie musiała wychodzić i kłaniać się przed publicznością.

Wreszcie znalazła się w garderobie. Sir Percy już siedział tam na krześle, jakby był u siebie, zresztą właściwie był, a Marianne przebierała się za parawanem. Madeleine dołączyła do niej i włożyła błękitny satynowy szlafrok, lecz ledwie zasiadła przed lustrem, by zmyć makijaż, gdy chłopiec wprowadził do środka markiza Risleya, hrabiostwo Corringham oraz panny Bulford.

Podniosła się, ale nie dygnęła. To był jej świat, jej miejsce. Tutaj ona była królową i mogła przestrzegać protokołu albo nie w zależności od swojej woli, a teraz była na „nie”.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Jak widzicie, nie skończyłam jeszcze toalety.

Duncan przepęnlony był podziwem nie tylko z powodu jej opanowania, ale także piękna. Gdyby garderoba nie była pełna ludzi, porwałby pannę Charron w ramiona i zapewnił o swojej miłości.

- Ojej, strasznie tu ciasno! - zaświergotała Annabel. - Jak sobie z tym radzicie?

- Przywykłyśmy - powiedziała Madeleine.

- Ach, to są wasze kostiumy. Zastanawiałam się, jak w tak krótkim czasie zmieniacie je między scenami.

- Pomaga nam garderobiana, a ponieważ z tego pomieszczenia korzystamy tylko we dwie, więc wystarcza nam miejsca. Zresztą to kwestia wprawy. Błyskawiczna zmiana kostiumów należy do naszego fachu.

- To musi być bardzo podniecające - ciągnęła Annabel, nie zwracając uwagi na siostrę, która z pogardą rozglądała się wokół. - Panno Charron, gratuluję występu, byłam zafascynowana i poczułam



smutek, gdy sztuka się skończyła. Zgodzi się pan ze mną, markizie?

- Z całego serca. - Patrzył wprost na Madeleine.

- Czy nigdy nie zapomina się pani i nie odgrywa żadnej roli poza sceną? - spytała Hortense.

Duncan wstrzymał oddech, natomiast spojrzenie Madeleine stwardniało.

- Raczej nie, panno Bulford, raczej nie.

- I czy zawsze gra pani główne role? Nigdy nie gra pani niańki albo służącej?

- Równie dobrze potrafię grać służącą, jak i księżniczkę. Co za różnica, skoro po zdjęciu kostiumu i tak jesteśmy po prostu kobietami.

Gdy sir Percy zachichotał, Hortense spojrzała na niego z przyganą.

- Żenujące - rzekła, choć nie wyjaśniła, co miała na myśli.

- Annabel, czy już się napatrzyłaś? Tu jest tak duszno, że nie można oddychać.

- Musimy iść. - Duncan zgarnął całą gromadkę i wyprowadził za drzwi, rzucając kilka słów podziękowania w stronę Madeleine.

- No, no - powiedziała Marianne, gdy już zniknęli. - Trudno o kogoś bardziej nadętego niż starsza panna Bulford. O co jej chodziło z tą służbą?

- Może mnie poznała - powiedziała cicho Madeleine.

- Co to znaczy? - zapytał sir Percy. - Czyżbyście wcześniej miały z sobą coś wspólnego?

- Zna mnie doskonale, podobnie jak Annabel. To było wiele lat temu i miałam nadzieję, że sobie nie przypomną.

- Śmiało, dziewczyno, skoro powiedziałaś już tyle, to powiedz resztę. Nie zamierzam o tym plotkować, ale może jakoś pomogę.

- Po śmierci mamy zostałam bez żadnej rodziny i znalazłam się w sierocińcu, a gdy podrosłam, wysłano mnie na służbę do Bulfordów. Dwa lata pracowałam w kuchni, aż mnie wyrzucili. Wtedy zatrudniłam się jako szwaczka. Później trafiłam do teatru i Marianne wzięła mnie pod swoje skrzydła. Tak wygląda moja historia.

- A francuski arystokrata?

- Ciekawa postać, prawda? - Wzruszyła ramionami. - Doskonały temat dla plotkarzy, zajmowali się nim przez ostatnie tygodnie, no i napędzali widzów do teatru. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by były same komplety, a ponieważ aktorzy dostają procent od biletów, wszyscy są zadowoleni.

- To nie francuski arystokrata zapełniał widownię, lecz dwie doskonałe aktorki - stwierdził sir Percy. - Ten teatr nie radził sobie tak dobrze nawet wtedy, gdy pani Jordan i Sarah Siddons stąpały po jego deskach.

- Dziękuję, to miłe z pańskiej strony - rzekła Marianne z uśmiechem.

- Zapewne będzie pan nalegał, bym publicznie przyznała się do mistyfikacji z dziadkiem - powiedziała Madeleine.

- To twoja decyzja, ale po co psuć coś, co działa tak doskonale?

- Nie rozumiem, jak może pan traktować to tak lekko.

- Tak jest najlepiej, moja droga. Wesoły żarcik.

- Markiz Risley z pewnością tak nie myśli. Przedstawił mnie księciu i księżnej. Byliby wściekli, gdyby się dowiedzieli prawdy.

- Nie sądzę - odrzekł sir Percy. - Dość jednak o tym, chodźmy na kolację. Proszę mi wybaczyć wulgarność, ale w brzuchu mi burczy.

Poszli do położonego nieopodal Reida. Madeleine z przerażeniem zauważyła przy jednym ze stolików markiza Risleya ze swym towarzystwem. Próbowała się skryć za plecami sir Percy'ego, on jednak przytrzymał ją mocno za łokieć.

- *Nil desperandum* - szepnął jej do ucha. - Pamiętaj o swoim dziadku.

„Nie trać nadziei...”. Łatwo powiedzieć, lecz myśl o arystokratycznym przodku sprawiła, że krew napłynęła jej do policzków. Jeszcze nigdy nie żałowała tak bardzo, że zmyśliła tę historyjkę. Duncan, choć udawał, że skupia całą uwagę na swych gościach, patrzył na nią z dziwnym blaskiem w oczach. Czyżby odgadł prawdę? A może Hortense Bulford wszystko już mu opowiedziała?

- Zobaczmy, co tu mamy - rzekł sir Percy. - Na co macie ochotę? Jest turbot i moje ulubione ostrygi, ale dla dam to zbyt pospolity

posiłek. Może krewetki?

- Nie jestem zbyt głodna. - Madeleine, choć siedziała odwrócona plecami, czuła wzrok Duncana.

- W takim razie powinny ci smakować krewetki w lekkim sosie, moja droga. - Percy za wszelką cenę próbował skupić na sobie jej uwagę, by nie mogła usłyszeć, o czym mówiono przy sąsiednim stole.

- A do tego kuropatwa, nieco pieczeni wieprzowej i jarzyna. Co o tym myślisz?

- Jak dla mnie to aż za wiele - rzekła Madeleine.

Sir Percy złożył zamówienie kelnerowi, który czekał cierpliwie.

- I wino - dodał. - Najlepsze, jakie macie w piwnicy. A teraz - pochylił się do przodu - porozmawiamy o sztuce. Przyznam, iż nie należała do moich ulubionych, dziś jednak dostrzegłem w niej ukryty sens. Ludzie w przebraniu, którzy chcą być kochani za to, kim są naprawdę. Doskonałe.

- Jednak i tak każdy w końcu trafia na właściwego partnera - skomentowała Marianne.

- Oczywiście, bo krew dochodzi do głosu. Jest coś, co pozwala odróżnić damę od pospolitych kobiet. Postawa ciała, wysoko uniesiona głowa, cofnięty podbródek, no i głos. Szczególnie jeśli chodzi o głos, nie można się pomylić.

- Można, jeśli jest się aktorką - skontrowała Madeleine.

- Nie, moja droga, nawet aktorki tego nie potrafią.

- Potrafią, potrafią - droczyła się ze śmiechem. Duncan słyszał ten swobodny, beztroski śmiech. Poczuł

wściekłość. Miał ochotę podejść i z całej siły potrząsnąć Madeleine. Jak mogła być radosna, gdy on pogrążał się w otchłaniach rozpacz? Musiał prowadzić sztywną rozmowę z gośćmi, którzy za wszelką cenę próbowali go wyswatać z panną Bulford, podczas gdy on pragnął jedynie Madeleine. W swych ramionach, w swoim łóżku i przy swym boku. Jako markizy.

- Słyszałam pogłoski, że pan Willoughby wyzwał pana na pojedynek - powiedziała Hortense. - Czy to prawda?

- To były tylko żarty. - Ciekawe, kto jej o tym powiedział,

zachodził w głowę. - Przyjaźnimy się od szkolnych czasów. Poza tym pojedynki są prawnie zabronione.

- Mimo wszystko wciąż się odbywają.

- Być może, ale ja w nich nie uczestniczę - rzekł zimno.

- Dlaczego pana wyzwiał? - zapytała Annabel?

- Och, to nic ważnego. Proszę o tym nie myśleć.

- Słyszałam, że chodziło o aktorkę - nie ustępowała Hortense. -

Zgadzam się jednak z panem, ona rzeczywiście nie jest nikim ważnym.

- Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie już ją widziałam - powiedziała Annabel.

Duncan zachmurzył się. Powinien wziąć w obronę Madeleine, ale jedno spojrzenie w jej kierunku powiedziało mu, że słyszała ich rozmowę i że jego interwencja nie zostałaaby lepiej przyjęta niż wówczas, gdy Benedict tak fatalnie się zachował.

- Oczywiście, że widziałas ją wcześniej - rzekła Hortense niecierpliwie. - Przecież ciągle chodzisz do teatru. Mówiłam Henry'emu, że nie wypada, on jednak utrzymuje, że to nieszkodliwa zachcianka. Dziwię ci się, że miałaś ochotę iść do tej śmierdzącej, dusznej garderoby. One na w pół rozebrane, sir Percival Ponsonby rozwalony na krześle, jakby był u siebie. .. Czy odczuwa perwersyjną przyjemność, gdy tak patrzy, jak one się przebierają?

- Sir Percival jest dżentelmenem - powiedział Duncan, spoglądając w stronę sąsiedniego stołu - oraz bliskim przyjacielem mojej rodziny.

- Nie martw się o mnie, chłopcze - rzekł Ponsonby tak głośno, by wszyscy słyszeli. - Sam potrafię się bronić.

- Nie chodzi mi o to, że widziałam ją w teatrze - wtrąciła szybko Annabel. - Gdzieś indziej, dawno temu. Coś mi świta, ale gdy próbuję sobie przypomnieć, zaraz ulatuje.

- Duncanie, czy pamiętasz, kiedy wystawialiśmy w Stanmore House sztukę, by zebrać fundusze na sierociniec mamy? - zapytała Lavinia, próbując zmienić temat. - To był „Sen nocy letniej”. Wszyscy brali udział, nawet ty i Willoughby.

- Och, naprawdę? - Annabel spojrzała na Duncana. - Nie wiedziałam, że ma pan artystyczne talenty.

- Nie mam, ale Lavinia mnie zmusiła do grania. - W duchu błogosławił siostrę za zmianę tematu. - To ona była główną gwiazdą, a poza tym namalowała wszystkie dekoracje.

- Też chciałabym coś takiego zrobić - entuzjazmowała się Annabel.  
- To musiało być bardzo zabawne.

- Och tak - zapewniła ją Lavinia - ale również wymagało ciężkiej pracy. Na szczęście pan Greatorex i panna Doubleday bardzo nam pomogli. Sztuka odniosła wielki sukces. Zebraliśmy kilkaset funtów na cel dobroczynny.

- Kiedy to było? - zapytała Hortense. - Nie pamiętam, żebym o tym słyszała.

- Siedem lat temu, kiedy król próbował rozwieść się z królową. Wszyscy żyli tym wydarzeniem, więc oprócz przyjaciół oraz ludzi, którzy prowadzą sierociniec, mało kto słyszał o naszym spektaklu.

- Annabel była wtedy w szkole, więc nie docierały do niej londyńskie plotki - powiedziała Hortense - a mnie nigdy nie interesowały amatorskie występy.

Rozmowa toczyła się dalej w podobnym tonie, gdy sir Percy z przyjaciółkami ruszył do wyjścia. Duncan skłonił się i życzył dobrej nocy, żałując, że sam również nie może wyjść. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z Madeleine.

- Dobranoc paniom. - Sir Percy uśmiechnął się szeroko.

- Szkoda, że nie poprosiliśmy, by przyłączyli się do nas na ostatnie danie - powiedziała z żalem Annabel.

- Dobry Boże, co ci chodzi po głowie! - oburzyła się Hortense. - Nie możesz dopuścić, by widywano cię w towarzystwie aktorek, choćby były najbardziej przebiegłe.

- Przebiegłe?

- Już wiem, gdzie widziałam tę młodszą. W naszej kuchni! - obwieściła triumfalnie. - Pamiętasz podkuchenną Maddy?

Była z nami dwa lata, a potem tata ją wyrzucił. - Roześmiała się nieprzyjemnie. - Zawsze była kłamczuchą.

**Oniemiały Duncan patrzył na panny Bulford, potem spojrział na Lavinie, która lekko potrząsała głową, nakazując milczenie. Niepotrzebnie zresztą, bowiem był tak ogłuszony, że nie wydusiłby ani słowa.**

SR

## Rozdział siódmy

Duncan nie wiedział, jak udało mu się przebrnąć przez resztę wieczoru. Panna Hortense wyglądała jak gradowa chmura, natomiast panna Annabel była niewinnie podniecona myślą, że spędziła pod jednym dachem dwa lata ze słynną aktorką i rozmawiała z nią, gdy chodziła do kuchni, by prosić kucharkę o słodycze. Kto by pomyślał, że stanie się taka sławna?

Lavinia zręcznie podtrzymywała rozmowę na neutralne tematy i nikt nie zauważył, że Duncan przestał się odzywać, tylko niczym marionetka uśmiechał się i kiwał głową.

Gdy wreszcie znalazł się w swoim domu, wciąż wirowało mu w głowie. „Zawsze była kłamczuchą...”. Nic dodać, nic ująć.

Panna Madeleine Charron zrobiła z niego idiotę.

Następnego ranka wstał kompletnie rozbity i w szlafroku poszedł do macochy, która właśnie jadła śniadanie.

- Dzień dobry, Duncanie. Czy dobrze wczoraj się bawiłeś?

- Tak, dziękuję.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, po kolacji poszedłeś do klubu.

- Byliśmy u Reida, potem odwoziłem panie i wróciłem prosto do domu.

- To znaczy, że coś cię dręczy. Czy chodzi o pannę Bulford?

- Nie. Annabel to miła dziewczyna. Zbyt miła jak dla mnie.

- Mój drogi, musisz być ostrożny, jeśli nie zamierzasz jej obrazić.

Widywano was razem i wiem, że lady Bulford ma pewne oczekiwania. Jeśli będziesz nadal zachęcał pannę Annabel, nie mając poważnych...

- Mamo, to ty i Lavinia nalegałyście, żebym poszedł do Almacka, a lady Bulford prosiła mnie, bym towarzyszył Annabel na balu u Tremayne'ów. Nie mogłem odmówić, bo byłby to nietakt. Annabel, gdy panna Charron zaprosiła ją za kulisy, poprosiła mnie o towarzystwo. Sama wiesz, że musiałem się zgodzić, ale zabrałem jeszcze Lavinie i Jamesa, by sytuacja nie wyglądała na zbyt intymną.

Cóż więcej mogłem zrobić? Jednak i tak poczułem się jak pod ścianą.

- Czy przeraża cię sama myśl o małżeństwie, czy też o małżeństwie z panną Annabel? W końcu jest odpowiednią kandydatką.

- Z całą pewnością, ale nie dla mnie.

- Więc powiedz jej to jasno, zanim wszystko zajdzie za daleko. Są jeszcze inne panny, wybierz się gdzieś z którąś z nich.

- Poznałem je wszystkie. W większości są miłe i niebrzydkie, lecz nie ma wśród nich takiej, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

- Hm... Z żadną z nich?

Lavinia radziła, by zwierzyć się macosze, ale wtedy jeszcze nie wiedzieli, że Madeleine była służącą u Bulfordów, nie nazwano jej też kłamczucha. Sprawa więc upadła, bo w tej sytuacji ojciec nigdy nie zaakceptuje panny Charron.

- Nie - rzekł z naciskiem. - Z żadną z nich.

W tej właśnie chwili lokaj zaanonsował przybycie hrabiny Corringham. Lavinia weszła do jadalni, trzymając za rękę Jamiego i niosąc dwuletnią Caroline. Jamie natychmiast wspiął się na kolana Duncana, by pokazać mu nową łódkę, a Caroline wylądowała w ramionach księżnej.

- Idziemy do parku, żeby Jamie mógł wypróbować łódkę na jeziorze - powiedziała Lavinia. - Może miałbyś ochotę nam towarzyszyć, Duncanie?

Pomyślał, że spacer dobrze mu zrobi na skołatana głowę. Poszedł na górę i przebrał się w szare pantaloney i granatową marynarkę, wziął cylinder i rękawiczki i zszedł do powozu.

Po chwili dojechali do parku. Gdy dzieci pod opieką niańki zajęły się zabawą, Lavinia powiedziała:

- Czy rozmawiałeś z mamą o panie Charron?

- A o czym miałem rozmawiać? O tym, że okazała się podkuchenną? Teraz wszystko wygląda inaczej. Przecież nie było żadnego francuskiego arystokraty! Okazałem się półgłówkiem, wierząc w jej kłamstwa.

- Jak rozumiem, dziadek hrabia był kluczową postacią. Jasne, przecież nie możesz kochać kogoś, kto nie jest szlachetnie urodzony.



- Nie mogę kochać oszustki, Vinny.

- A jeśli ona nie kłamie? Zastanów się, jaki inny los mógł ją spotkać po śmierci matki, skoro została całkiem sama na świecie.

Umieszczono ją w sierocińcu, potem znaleziono pracę u Bulfordów. To typowy los sierot, które inaczej wylądowałyby na ulicy.

Powinieneś to wiedzieć od mamy. Znajduje zatrudnienie wszystkim sierotom, gdy osiągną stosowny wiek. Idą na służbę, zostają robotnikami, uczą się fachu w warsztatach rzemieślniczych. Panna Charron wcale nie musi kłamać, co więcej, jest godna podziwu, że z podkuchennej wybiła się na znaną i podziwianą aktorkę.

- Nie sądziłem, że staniesz po jej stronie.

- Po prostu gram rolę adwokata diabła.

- Czy właśnie dlatego mnie odwiedziłaś, Vinny?

- Tak, a dlaczego nie? Widziałam, że po rewelacjach panny Bulford pobladłeś i wściekle przygryzałeś wargi jak wtedy, gdy byłeś chłopcem i nie mogłeś przeprowadzić swojej woli. Boję się, że zrobisz coś głupiego.

- Miałem ochotę wyrzucić tę złośliwą wiedźmę za drzwi.

- Dobrze, że tak się nie stało, bo to byłby okropny skandal. -

Urwała na chwilę. - Duncanie, wierzę, że niezależnie od tego, co powiedziała Hortense, nadał jesteś zakochany w pannie Charron.

- Przeszło, minęło, i to jeszcze przed wczorajszym wieczorem. Ona czuje do mnie wielką niechęć, zresztą z wzajemnością.

- Tak mi przykro. Cóż, w końcu o tym zapomnisz. Łatwo jej było tak mówić. Duncan nie traktował miłości lekko i gdy już oddał komuś serce, był wierny w uczuciach, nawet jeśli mówił coś przeciwnego.

By uniknąć dalszych pytań, podszedł do dzieci.

- Jamie, zobaczymy, jak sobie radzi twój statek. Następną godzinę bawili się łódką. Rękawy koszuli Duncana były przemoczone, kolana spodni poplamione trawą. Potem przysiadł nad stawem i patrzył na dzieci, które zaśmiewały się z kaczek krążących blisko brzegu w poszukiwaniu jedzenia. Jamie odziedziczy nazwisko i tytuł, kto jednak miał kontynuować linię Stanmore'ów? Kto miał przejąć

dziedzictwo Risleyów i wszystkie inne posiadłości, które dawały zatrudnienie tak wielu ludziom? Obowiązkiem Duncana było ożenić się z właściwą kobietą, a że miał już dwadzieścia pięć lat, czas ku temu był najwyższy.

- Myślę, że potrzebujesz rodziny - przerwała jego rozmyślenia Lavinia. - Doskonale sobie radzisz z dziećmi.

- By założyć rodzinę, najpierw muszę znaleźć żonę.

- W tym nie mogę ci pomóc, choć myślę, że dobrze by ci zrobiła zmiana towarzystwa. W przyszły czwartek wydaję kolację dla przyjaciół, a potem, jeśli pogoda nadal będzie dopisywać, wybierzemy się do Vauxhall. W programie jest „Muzyka na wodzie” Haendla i pokaz sztucznych ogni.

Ogrody Vauxhall, które zostały doprowadzone do porządku i pozbyły się niechlubnej reputacji, zajmowały wielki obszar na południowym brzegu rzeki. Było to ulubione miejsce spotkań londyńczyków od arystokracji po plebs. Nawet król, gdy jeszcze był księciem Walii, często je odwiedzał.

- Nie jestem pewien.

- Obiecuję, że nie będzie panien Bulford. Dobrze ci robi towarzystwo innych młodych ludzi, a przy okazji zamkniesz usta plotkarzom. Co ty na to?

- Starsza siostrzyczka zawsze o mnie dba. - Posadził sobie Jamiego na ramieniu. - Dobrze, skoro nalegasz.

Gdy wrócił do domu, włożył stare ubranie, by ruszyć na Bow Street i Newgate, uznał bowiem, że spośród wszystkich zajęć właśnie to najprędzej pozwoli mu znów stanąć na ziemi.

Wychodził właśnie z domu, gdy na schodach napotkał postać w zielonym kostiumie do jazdy konnej i błękitnych bryczesach wepchniętych w czarne buty do kolan ozdobione chwostami.

- Dzień dobry, sir Percy. Wcześniej pan dzisiaj wstał. Czyżby ktoś podpalił pańskie łóżko?

- Nie ma się z czego śmiać, Stanmore. Przed południem nie jestem w najlepszej formie, ale wzywa mnie obowiązek.

- Czy przyszedł pan, żeby zobaczyć się z moją macochą?

- Z tobą, mój chłopcze. Słowo daję.
  - To brzmi groźnie. Może się przejdziemy?
  - Dokąd się wybierasz w tym stroju? Czyżbyś zamierzał kopać rowy?
  - Idę do więzienia.
  - Do więzienia? A cóżeś ty takiego zrobił, mój chłopcze? - zaniepokoił się sir Percy.
  - Nic. Po prostu bywam tam czasami.
  - Zaiste, dziwne masz upodobania.
  - Robię, co mogę, by pomóc biedakom, którzy tam siedzą.
  - Toż to przestępcy, na Boga!
  - Widocznie ów Bóg tak zarządził.
  - Co za przewrotność! Dobrze wiesz, że nie każdego mają się te boskie rozkazy. Ty nigdy tam nie trafisz, nieważne, za jakie przewiny, bo już książę do tego nie dopuści.
  - Właśnie dlatego tam chodzę. Bogactwo i przywileje to doskonała rzecz, sir Percy, ale niosą z sobą odpowiedzialność. Sam pan to doskonale wie.
  - Skoro już o tym mówimy, to muszę powiedzieć, dlaczego chciałem się z tobą spotkać, Stanmore.
  - Słucham więc.
  - Czy to prawda, że Willoughby przysłał ci sekundantów?
  - Tak, ale uczynił to w afekcie i wątpię, by się przy tym upierał.
  - Obyś miał rację, lecz jeśli nie, to co wtedy?
  - Wybiorę pistolety i chybię.
  - Jesteś pewny, że on też chybi?
  - Nie, ale co pańskim zdaniem powinienem zrobić? Nie mogę uchylić się od honorowej powinności, choć cała ta sprawa pachnie idiotyzmem.
  - Masz rację, poza tym to nielegalne. Gdybym wiedział, gdzie i kiedy macie się zabijać, mógłbym sprawić, że pojedynek zostanie powstrzymany zgodnie z prawem.
- Duncan wybuchnął śmiechem.
- I wtedy naprawdę znalazłbym się za kratkami.

- Młodym dżentelmenom wiele się wybacza, szczególnie gdy nikomu nic się nie stanie. - Przerwał na moment. - Damie, która stała się przyczyną tego zamieszania, bardzo zależy, żebyś nie wystawiał się na ryzyko.

- Może pan powiedzieć panie Charron, że nie walczę o nią. Nie jest warta takiego zachodu.

- To arogancka odpowiedź, Stanmore. Wydawało mi się, że masz słabość do Madeleine.

- Nie lubię kłamców, a ona jest w tym mistrzynią - stwierdził sucho.

- Chłopcze, czyżbyś nigdy nie minął się z prawdą lub choćby nie przykroił jej trochę do swoich celów?

- To co innego.

- Tak uważasz? A ja myślę inaczej. To młoda, odrzucona przez towarzystwo dama, która jest zdana na samą siebie i twardo przebija się przez życie. Jak wiesz, nie wspiera jej kochająca rodzina... Stanmore, pomagasz więźniom, lecz czy pomyślałeś, że ona również jest więźniem? Więźniem systemu, według którego funkcjonuje nasze społeczeństwo.

- Była pomocą kuchenną, i to w domu Bulfordów!

- Wiem o tym.

- Dlaczego mi pan nie powiedział?

- Bo nie zwykłem zdradzać cudzych tajemnic. Pomyśl tylko, Stanmore, skoro nie powiedziała ci tego, to z pewnością miała ku temu powód.

- Niby jaki?

- Sam ją spytaj. - Sir Percy rozejrzał się dokoła. Byli już na Fleet Street. - Gdzie my jesteśmy? Dokąd mnie prowadzisz?

- Przepraszam, to moja zwykła trasa, nie pomyślałem. Odprowadzę pana z powrotem do cywilizacji. - Zawrócili.

Po chwili natknęli się na Benedicta Willoughby'ego. Miał zaciętą twarz, było oczywiste, że nie zamierza pozdrowić byłego przyjaciela. Sir Percy jednak zatrzymał się, tak by Benedict również musiał przystanąć.

- Dzień dobry, Willoughby - rzekł pogodnie. - Cóż za miłe spotkanie.

- Dzień dobry, sir Percy. Chętnie bym z panem pogawędził, ale nie w takim towarzystwie. - Spojrzał wymownie na Duncana.

- Stanmore jest moim przyjacielem.

- W takim razie, jak miemam, poprosił pana na sekundanta.

- Nie zgodziłbym się, nawet gdyby nalegał. Wie pan przecież, że to wbrew prawu.

- A co to ma za znaczenie. Napadł na mnie, więc domagam się satysfakcji.

- W takim razie może powalczycie u Jacksona.

- On doskonale wie, że nie znoszę boksu, w której to sztuce jest bardzo biegły.

- Więc wolisz pistolety o świcie, tak? Jeden z was może zostać ranny, a nawet zginąć. I zapewne byłby to pan, bo jak wiem, Stanmore i w tej dziedzinie ma przewagę. Może po prostu podacie sobie ręce i zakończycie całą sprawę?

- Jeśli przeprosi mnie publicznie.

- Nigdy tego nie zrobię - włączył się milczący dotąd Duncan. - To on zachował się w niegodny sposób.

- W takim razie, choć pogniewani, solidarnie powędrujecie do więzienia, a wtedy ciekaw jestem, kto zdobędzie tę damę.

Popatrzyli na niego... i solidarnie wybuchnęli śmiechem.

- Chcesz ją? - zapytał Benedict.

- Nie, a ty?

- Już straciłem zainteresowanie. Nie jest tak pełna życia jak na scenie. Piękna, i owszem, ale zbyt chłodna. To nie znaczy jednak, że się wycofuję z pojedynku. Nikt nie będzie nazywał mnie tchórzem.

- Chodź ze mną, to coś ci pokażę - powiedział Duncan w przypływie nagłej inspiracji. - Jeśli nadal będziesz chciał ze mną walczyć, to cóż, tak się stanie.

- Co chcesz mi pokazać?

- Chwilę cierpliwości.

Dojechali dorożką do Ludgate Hill, a dalej wspięli się pieszo do

**Old Bailey.**

- Do diabła, Stanmore, dokąd mnie prowadzisz? - zapytał Benedict.

- Do piekła, czyli do hotelu Akermana. A mówiąc inaczej, do więzienia Newgate.

- Po co? - Benedict przycisnął do ust chusteczkę, by uchronić się przed wszechobecnym odorem.

- Być może ta wizyta otworzy ci oczy na to, co cię spotka, jeśli będziesz się upierał przy pojedynku. Dobrze wiesz, że sir Percy nie pozwoli nam na to i zawiadomi władze.

Na Bow Street właśnie rozbierano szubienicę, a tłum gapiów się rozchodził. Zaułek przesycony był zapachem śmierci. Przekupnie oferowali kawałki sznura użytego przy egzekucji i fragmenty ubrań skazańca. Kelnerzy z pobliskiej tawerny sprzedawali jedzenie więźniom i gapiom przybyłym na spektakl wieszania.

Benedict i Duncan podeszli do drzwi, przy których siedział niechlujny mężczyzna. Na widok markiza podniósł się.

- Dzień dobry, milordzie. Właśnie mieliśmy piękną egzekucję. Wisielec podrygiwał na sznurku jak w tańcu. Trwało dziesięć minut, zanim umarł.

Duncan skrzywił się.

- Dla niego nie mogę już nic zrobić, bardziej interesują mnie żywi. Do kogo mnie dzisiaj zaprowadzisz?

- Jest kieszonkowiec, dostał pięć lat, i złodziej chusteczek. Pojmie pan? Kradł zwykłe szmatki! Głupi wyrostek... I dostał za to rok.

- Chyba nie wejdiesz do środka? - z niedowierzaniem spytał Benedict.

- Pewnie że tak, milord często nas odwiedza - wyjaśnił obdartus. - I zawsze jest tu mile widziany.

- Idź sam - stwierdził Benedict. - Wolałbym umrzeć, niż tam wejść.

- Przecież właśnie tu trafisz, jeśli będziesz obstawał przy pojedynku - stwierdził Duncan. - Zobacz na własne oczy, co cię czeka.

Benedict zwymiotował do rynsztoka.

- Chodź stąd, na litość boską! - Otarł usta.

Duncan uśmiechnął się do odźwiernego.

- Mój przyjaciel ma słabe nerwy. Zjawię się niebawem. Czy ten młody amator chusteczek jest skuty?

- Pewnie, że tak.

Duncan wrzucił w brudną dłoń kilka monet.

- Przypilnuj, żeby zdjęto mu kajdany. - Podtrzymał Benedicta za łokieć i poprowadził do dorożki.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. W końcu Benedict odzyskał mowę.

- Cóż to za chora żądza wrażeń pcha cię do takich miejsc?

- Ani nie chora, ani nie żądza. Uważam za swój obowiązek coś zrobić dla tych nieszczęśników. Wielu z nich nie popełniło żadnego przestępstwa, a jeśli nawet, to z pewnością nie były to żadne wielkie zbrodnie, tylko drobne występki. Tych ludzi przykuwa się do kamiennej podłogi, biczuje i głodzi, jeśli nie mają czym zapłacić za uwolnienie z kajdan i dodatkowe jedzenie. Jedyne, czego jest tu w bród za grosze, to śmierdzący dzin. Staram się ulżyć ich doli, a gdy skończą karę, znajduję im zatrudnienie.

- Nie miałem pojęcia!

- Bo i skąd? - Był rad, że Benedict znów normalnie z nim rozmawia. - Gdybym zaczął przechwalać się tym na prawo i lewo, ci biedacy straciliby do mnie zaufanie. Biorę cię za słowo, że zmilczysz o tym, jak to prawdziwy przyjaciel.

- Najstarszy przyjaciel. - Benedict wybuchnął gromkim śmiechem. Gdy Duncan mu zawtórował, zapytał: - A więc pokój?

- Pokój.

- Dobrze byłoby przepłukać gardło po wizycie w takim miejscu. Może gdzieś wpadniemy?

- Dobry pomysł, przyjacielu.

- Idę na zakupy - obwieściła Marianne. - Potrzebuję nowej sukienki na koncert. Idziesz ze mną?

- Jaki koncert?

Właśnie skończyły próbę i miały wolne do wieczornego spektaklu.

Madeleine zamierzała wrócić do domu i zdrzemnąć się. Po bezsennej nocy z trudem przebrnęła przez próbę i jeśli nie wypocznie, wieczorem będzie w opłakanym stanie.

- W ogrodach Vauxhall, w czwartek. Sir Percy prosił, byśmy mu towarzyszyły. Zapomniałaś?

Niewiele pamiętała z poprzedniego wieczoru, tylko jakieś fragmenty rozmowy toczącej się przy sąsiednim stole i migawkowe obrazy Duncana, gdy odważała się zerknąć w tamtą stronę.

- Jakoś do mnie nie dotarło, że sir Percy nas zapraszał. Zgodziłaś się?

- Oczywiście.

- Czy wspominał, że markiz Risley również tam będzie?

- Nie, nie wspominał. Maddy, naprawdę nie potrafisz myśleć o niczym innym? Przecież wiesz, że Duncan Stanmore nie jest jedyną rybą w tym morzu. Musisz się wyrwać z tego stanu, bo zaczniesz mieć kłopoty w pracy. Lancelot nie toleruje cudzych humorów.

Taka była prawda, ale jak miała posłuchać tej rady, gdy czuła się rozdrażniona i obolała. Nieustannie wspominała każde słowo, które Duncan kiedykolwiek wypowiedział, każdy jego gest. Obsesyjnie drążyła wszelkie niuanse i podteksty, byle tylko pojąć, co naprawdę myślał i czuł.

- Dobrze, chodźmy na te zakupy. Masz coś upatrzonego?

- Chciałabym coś kolorowego. Madeleine wybuchnęła śmiechem.

- Chyba nie zamierzasz konkurować z sir Percym w papuziej modzie?

- Na Boga, nie, ale lubię czerwony. Ostatnia sztuka przyniosła nam niezły dochód. Może trochę uszczuplisz tę fortunę?

Madeleine nie widziała w tym sensu, bo miała tyle strojów, ile potrzebowała, może jednak nowa suknia poprawiłaby jej nastrój?

Całe popołudnie buszowały po sklepach przy Bond Street i Oxford Street, a potem utknęły na bazarze Pantheon, gdzie było dosłownie wszystko, od szpilek po kreacje balowe. Madeleine wypatrzyła suknię z granatowego aksamitu ze spódnicą naszywaną lśniąco szklanymi koralikami i z wielkim dekoltem. Ponieważ zwykle sama



sobie szyła, ugięły się pod nią kolana, gdy spojrzała na cenę. Uparta Marianne zdołała ją jednak namówić na ten ekstrawagancki zakup. Ekstrawagancki i całkiem niepotrzebny, bo nikt ważny, a już z pewnością nie ten, który nie schodził jej z myśli, nigdy jej w tym stroju nie zobaczy.

Potem poszły do Burlington Arcade na rogu Piccadilly i Old Bond Street, gdzie Marianne znalazła suknię, o jakiej marzyła, czyli z satyny w karmazynowe i kremowe paseczki z obszernymi rękawami w kształcie baraniego udźca. Do kompletu kupiła też pelisę bez rękawów z tafty w kolorze burgunda obszytą łabędzim puchem.

Zadowolone z zakupów skierowały się w stronę Piccadilly, gdzie miały nadzieję znaleźć dorożkę. Obładowane paczkami wyszły zza rogu i zderzyły się z Duncanem i Benedictem. Po mocno zakrapianej biesiadzie w szampańskich humorach kroczyli objęci ulicą, jakby cały świat do nich należał.

Duncan natychmiast oprzytomniał i zaczął zbierać paczki Madeleine, które wypadły jej z rąk.

- Najmocniej przepraszam. - Podał jej pakunki. - To moja wina. Mam nadzieję, że niczego nie zniszczyłem.

- To tylko kilka drobiazgów - odrzekła swobodnie. - Nic się nie stało. - Nie chciała na niego patrzeć, by nie dostrzegł w jej oczach, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Miała nadzieję, że zaraz się pożegnają, wszak nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Nigdy dotąd nie widziała Duncana pod wpływem alkoholu. Co go skłoniło do opilstwa? Z pewnością nie zgryzota wywołana pojedynkiem, bo pogodzili się z -Willoughbym. A to jasno dowodziło, jak płytkie były jego uczucia wobec niej. Spojrzała na Benedicta, który pozbawiony wsparcia przyjaciela niebezpiecznie chwiał się na nogach.

- Co za sss... szsz... szczęście! Widzimy to, co naaa... najpiękniejsze... najpiękniejsze w Londynie. - Rzucił jej pijacki uśmiech.

- Wybaczcie, panie, ale mój przyjaciel nie jest w najlepszej formie. - Duncan mocno go pochwycił, ratując przed kompromitującym upadkiem u stóp dam.

- Psyy... psyjaciele... - wybełkotał Benedict. - Naa...lepsi. ..

nieroooołączni. Uch!

- Ben, idziemy do domu - powiedział Duncan. - Wybaczcie nam, panie.

- Aaale i tak muu... muu... muszę cię zabić... - Willoughby zaśmiał się jak idiota. - Albo leee... lepiej ty mnie zaa... zabij w po... po... pojedynku. - Tym razem zaśmiał się jak kretyn.

Duncan odciągał go na bok, mając nadzieję, że Madeleine tego nie usłyszała.

- Zdawało mi, że to już nieaktualne - powiedział cicho.

- Hoonor žen... czentel... tfu! dzentelmena nie pooozwala zrezygnować! - obruszył się Benedict. - Wyy... wyzwałem cię, a ty wyy... wybierasz broń.

Duncan westchnął. Na widok więzienia Newgate Benedict się nie opamiętał. Może jednak trzeba go było zaciągnąć do celi?

- Dobra, wybieram broń. Walka na poduszki.

- Rrrre... rewelacyjny pooomysł! - wykrzyknął Benedict. - Bitwa na poooduszki, nad woodą! jak w szkole. Muu... muu... musimy to ooopić!

Przechodzili właśnie obok White'a i Benedict dziarsko, choć nader chwiejnie, ruszył do drzwi. Duncan przytrzymał go mocno.

- Daj spokój. Nie wpuszczą mnie w tym stroju, no i wypiliśmy już dość.

Zatrzymał dorożkę, brutalnie wepchnął Benedicta do środka, podał stangretowi adres, a sam ruszył pieszo do domu. To prawda, trzymał się nieźle, ale był po prostu pijany, rzadkość u niego. Czy naprawdę zarządził puchowy pojedynek? Czy Madeleine była warta jedynie walki na worki z pierzem? Oby Benedict wypił wystarczająco wiele, by do rana zapomnieć o wszystkim.

Opój jednak nie zapomniał i następnego dnia wiadomość o pojedynku rozniosła się po całym mieście. Benedict rozgłaszał ją z wielką radością, wybrał też czas i miejsce. Nie jakiś cichy zakątek, lecz brzeg rzeczki w ogrodach Vauxhall, i nie dyskretną porę, lecz dziesiątą wieczorem, gdy wokół będą tłumy. Nie takie były intencje Duncana, lecz nie mógł się wycofać bez utraty twarzy. Poza tym

wtedy Benedict zażądałby prawdziwego pojedynku. Jedyne, co mógł zrobić, to obrócić sprawę w żart, sprawić, by wyglądała jak zabawa wymyślona ku uciechu gawiedzi. Co jednak powie Madeleine, jeśli się o tym dowie?

Lavinia zaprosiła na kolację starannie wybrane osoby, które darzyła szczerą sympatią i szacunkiem, związane ze światem sztuki i polityki, żadne tam nieopierzone panny z matka-mi-swatkami, żadni tam złoci młodzieńcy z pustymi głowami. W gościnne progi zawitali: członek parlamentu o radykalnych poglądach, kilku utalentowanych malarzy, dwie wybijające się pisarki, ceniony w kręgach rządowych dyplomata, opromieniony sukcesami w interesach potentat finansowy, matematyk z wykształcenia, który hojnie wspierał młode umysły ścisłe, powszechnie szanowany sędzia wraz z żoną, prawdziwym wirtuozem harfy, i równie muzycznie utalentowanymi córkami, a także szanowany w tym gronie za przenikliwy umysł major Donald Greenaway, no i oczywiście księstwo Loscoe. Przybył również Benedict, on jeden nie z racji wielkiego rozumu czy wybitnych zasług na jakimkolwiek polu - za bilet wejściowy miał przyjaźń markiza.

Rozmowa skrzyła się intelektem i dowcipem, więc Duncan zdołał oderwać myśli od najbardziej palących problemów, choć ani przez chwilę nie zapomniał o Madeleine. Sir Percy, który odrzucił zaproszenie Lavinii, bo był już gdzieś umówiony, radził mu, by zapytał Madeleine, dlaczego go okłamała. Nie był już jednak pewien, czy chce się tego dowiedzieć. Powiedział siostrze, że sprawa jest zakończona, i chyba tak było najlepiej.

Zmusił się do skupienia na rozmowie, która obejmowała szeroki zakres tematów, od narodowowyzwoleńczej wojny Greków z Turkami, przez zalety nowych dzieł Turnera i Constable'a, o których najwięcej do powiedzenia miała księżna, aż po stan więzień, który to temat bliski był z kolei sercu Duncana.

- Są przepełnione - rzekł sędzia - ale czego można się spodziewać, skoro zabrania się wieszania.

- Wciąż przeprowadza się mnóstwo egzekucji - skontrolował

**Duncan. - Sekretarz stanu tylko nieco uporządkował stare prawa.**

**- Domyślam się, że należy pan do tych, którzy najchętniej w ogóle znieśliby karę śmierci.**

**- Tak daleko bym się nie posunął. Morderstwo i zdrada stanu powinny być karane strykiem, ale zwykła kradzież? W żadnym wypadku.**

**- Jak więc mamy jej zapobiegać, milordzie? Proszę mi wierzyć, nie jestem z natury okrutny i w młodości myślałem podobnie jak pan, lecz szybko jako sędzia zmieniłem zdanie.**

**- To znaczy, sir?**

**- Państwo to prawo i porządek, to ład społeczny i bezpieczeństwo publiczne, a każde przestępstwo narusza te podstawy. Milordzie, nie cieszy mnie posyłanie złodziei na szubienicę, lecz mam taki obowiązek, bo działam w imię wyższych racji.**

**- Dla drobnego złodziejzki, który często kradnie po prostu z głodu, wystarczy więzienie. Sir, czy był pan kiedyś w Newgate?**

**- Nie, i nie mam na to ochoty.**

**Rozmowa skręcała na zbyt kontrowersyjne tematy, czemu Lavinia postanowiła zapobiec.**

**- Jaką tajemnicę próbuje pan teraz rozwiązać, majorze? - zapytała Donald.**

**- Zapewne pracuje nad tym, by dostarczyć mi więcej pracy - ze śmiechem rzekł sędzia.**

**Duncan wstrzymał oddech w nadziei, że Donald nie wspomni o Madeleine Charron. W świetle ostatnich wypadków będzie musiał powiedzieć mu, by przerwał dochodzenie.**

**- Drogi panie, nie zajmuję się tylko łapaniem przestępców - wyjaśnił major. - Odnajduję również zaginionych ludzi. Obecnie, pośród innych zleceń, poszukuję córki wicehrabiego Armitage'a.**

**- Nigdy o nim nie słyszałem - rzekł potentat finansowy.**

**- Prowadzi życie odludka, bardzo też podupadł na zdrowiu, więc nie pojawia się w mieście.**

**- Pamiętam jego córkę - odezwała się Frances. - Była ulubienicą mojego nauczyciela sztuki, nawet namalowałam jej portret, ale to**

było ponad dwadzieścia lat temu.

- Dwadzieścia pięć - uściślił major. - Czy pamięta pani o niej coś więcej? To mogłoby mi pomóc.

- Była bardzo piękna, ale zabrakło mi talentu, by przenieść całą jej urodę na płótno. Jak ona miała na imię?

- Arabella.

- O właśnie! Arabella, dla przyjaciół Bella. Jak to się jednak stało, że zaginęła?

- To smutna historia, choć zarazem dość banalna. Gdy miała siedemnaście lat, zapragnęła wyjść za człowieka niskiego stanu. Wicehrabia oczywiście nie aprobował tego, a gdy jego córka upierała się przy swoim, postawił jej ultimatum: jeśli życie jej się nie ułoży, niech nie liczy na jego pomoc, tylko sama dźwiga swoje jarzmo. Wicehrabia był przekonany, że taki związek skazany jest na klęskę, lecz ufał, że córka, pod groźbą ojcowskiego gniewu, nie waży się na megalians. Gdy jednak to uczyniła, wydziedziczył ją i ogłosił, że nigdy więcej nie chce jej widzieć na oczy. Wyjechała z mężem i od tamtej pory nikt jej nie widział ani o niej nie słyszał.

- A co w tym mężczyźnie było takiego, że wicehrabia nie mógł go zaakceptować? - zapytał Duncan.

- Był prostym żołnierzem, nawet nie oficerem, pochodził z nizin, nie miał też środków, by zapewnić żonie życie na poziomie, do którego przywykła.

- A teraz?

- A teraz wicehrabia strasznie się zadręcza. Nie wie, co się dzieje z córką, nie wie, czy ma wnuki. Wnuk byłby jego dziedzicem. Wicehrabia jest chory i bardzo mu się śpieszy, by przed śmiercią pogodzić się z córką. Próbował sam ją odnaleźć, ale nic z tego nie wyszło, więc poprosił mnie o pomoc.

- Udało się panu do czegoś dojść, majorze?

- Osiągnąłem bardzo niewiele. Znalazłem miejsce, gdzie zawarto ślub, oczywiście znam nazwisko męża wicehrabianki, lecz tu ślad się urywa. Małżonek Arabelli Armitage był żołnierzem, mógł więc trafić w każde miejsce na świecie. Jeżeli zginął, jego żona sama musiałaby

walczyć o przetrwanie, możliwe też, że powtórnie wyszła za mąż.

- Jeśli jednak wciąż żyje - rzekła jedna z powieściopisarek - to jest już na emeryturze. Wtedy możliwe, że wraz z rodziną wrócił do Anglii.

- Liczę na to, niestety nie mam pojęcia, jak córka wicehrabiego Armitage'a wyglądała dwadzieścia pięć lat temu ani jak wygląda teraz.

- Majorze, chyba wciąż mam gdzieś jej portret - oświadczyła Frances. - Mogłabym go poszukać.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, Wasza Wysokość. Tak bardzo chciałbym pomóc biednej wicehrabiance.

- Za późno o ćwierć wieku na naprawienie szkód, przyjacielu - rzekł cierpko książę. - Szkoda, że Armitage wcześniej nie poczuł wyrzutów sumienia.

Duncan ze zdumieniem spojrział na ojca. Czyżby Jego Wysokość potępiał zachowanie wicehrabiego wobec lady Arabelli?

- Rozumiem z tego, ojczcze, że w podobnej sytuacji nie wyrzekłbyś się własnej córki.

- Z całą pewnością, synu. Wykupiłbym tego młodego człowieka ze służby i znalazłbym mu stosowne zatrudnienie, dające szanse rozwoju, czyli niezłych dochodów i wspinania się po drabinie społecznej, a tym samym zapewnienia rodzinie godnych warunków. To, wraz z posagiem córki, stworzyłoby przyszłym małżonkom właściwą bazę materialną i towarzyską, gdyby oczywiście ów młodzian okazał się człowiekiem odpowiedzialnym, zaradnym i uczciwym. Wtedy dałbym zgodę na ślub. Młodzi z natury rzeczy są w gorącej wodzie kąpani, lecz to nie znaczy, że należy z góry potępiać porywy ich serc. Powinnością starszych jest jedynie chronić niedoświadczonych zakochanych przed pochopnymi krokami, bo prowadzą do nieszczęścia i wyobcowania, nie zaś niszczyć to, co najcenniejsze, czyli szczere uczucie.

Duncan wiedział, że jego ojciec cierpiał w małżeństwie, do którego został zmuszony. Musi go wypytać o to w stosownej chwili. W każdym razie jego odważne, wręcz obrazoburcze wobec

konwenansu słowa przyniosły mu pociechę. Gdyby tylko Madeleine nie była niegdyś służącą w domu Bulfordów...

Przyjmie jednak radę sir Percy'ego i porozmawia z nią o tym, choćby jedynie dla własnej satysfakcji.

Sir Percy przyjechał po Madeleine i Marianne swoim powozem. Powiedział im z wielką galanterią, że wszyscy będą mu zazdrościć towarzystwa dwóch tak pięknych kobiet, po czym zabrał je na kolację do Clarendon. Po doskonałym posiłku wyruszyli do ogrodów Vauxhall.

Gdy już tam dotarli, wchłonął ich tłum czekający na koncert. „Muzykę na wodzie” Haendla po raz pierwszy wykonano ponad siedemdziesiąt lat wcześniej i od tamtej pory był to stały punkt programu. Utwór doskonale pasował do otoczenia, wśród zieleni, w ciepły wieczór pod bezchmurnym niebem, nad brzegiem spokojnej rzeki. Cudowna chwila, pomyślała Madeleine, jakby czas nie istniał i w ogóle nie było nic, tylko to.

- Czysty romantyzm - westchnęła Marianne. - Jakby duchy wszystkich kochanków od samego początku świata zebrały się tutaj. To byłaby doskonała scenografia do „Straconych zachodów miłości”.

Nic dodać, nic ująć, bo sztuka rozgrywała się w parku przylegającym do pałacu, pomyślała Madeleine, dodała jednak praktycznie:

- Wątpię jednak, by słyszano nas na wolnym powietrzu.

- Och, jakie to bezduszne! - ze śmiechem strofowała ją Marianne. - Pozwól duszy poszaleć, kochanie. - Rozejrzała się wokół. - Ciekawe, kto z naszych znajomych tu się zjawiał.

- Sądzę, że wszyscy - odparł sucho sir Percy. - Trzymajcie się mnie, bo się pogubimy.

Gdy jednak orkiestra skończyła strojenie instrumentów i dyrygent dał sygnał do rozpoczęcia koncertu, wszyscy rzucili się do przodu, ktoś popchnął Madeleine i w zamieszaniu została sama. Usiadła więc, wciśnięta między strojnego pięk-nisia a równie ostentacyjnie ubraną ślicznotkę.

Po chwili Madeleine odpłynęła w krainę duchowej rozkoszy.

Całkiem zapomniała o duchocie i cisnących butach aż do chwili, gdy ostatnia nuta ucichła i rozległ się burzliwy aplauz. Po kilku bisach publiczność zaczęła szukać najlepszego miejsca do obserwacji pokazu sztucznych ogni.

Madeleine nigdzie nie mogła dojrzeć sir Percy'ego i Marianne, lecz nie przejęła się tym. Sir Percy kazał stangretowi wrócić o północy, miała więc zapewniony bezpieczny powrót.

Ruszyła wraz z tłumem i znalazła dobre miejsce do oglądania fajerwerków, które odpalano po drugiej stronie Tamizy. Ludzie zamilkli, gdy niebo zajaśniało w fontannie barwnych świateł.

Kiedy pokaz dobiegał końca, Madeleine ujrzała Benedicta Willoughby'ego. Stał na brzegu rzeczki w samych pantalonach i koszuli. Obok niego, w podobnym stroju, stał markiz.

Duncan przyglądał się ludziom, którzy przerzucali przez rzeczkę gładko okorowany drąg. Zaciekawiony tłum zgromadził się dokoła. Madeleine stanęła na palcach, by widzieć lepiej. Z rzucanych w tłumie uwag zorientowała się, że za chwilę odbędzie się pojedynek.

Serce podeszło jej do gardła. Przecież sir Percy mówił, że ani markiz, ani Willoughby nie mają zamiaru podtrzymywać tego głupiego wyzwania! Widziała też, jak po libacji wracali do domu w największej komitywie. Była pewna, że niebezpieczeństwo minęło...

Nadludzkim wysiłkiem przedarła się przez tłum, aż w końcu znalazła się na skraju otwartej przestrzeni, której pilnowali sekundanci. Zamierzała nie dopuścić do pojedynku, lecz spóźniła się, bo przeciwnicy, jak nakazywał obyczaj, oddali sobie ukłony, a potem wręczono im oręż.

Tłum ryknął śmiechem.

Duncan i Willoughby usiedli okrakiem na drągu z obu stron rzeczki i zaczęli przesuwac się ku środkowi.

- Będą walczyć na poduszki! - zawołał ktoś. - Krew się nie poleje, ale pierza szkoda!

James Corringham, który był jednym z sekundantów Duncana, głośno przeczytał zasady pojedynku, z których dwie najważniejsze brzmiały: „Przeciwnika wolno atakować tylko poduszką” oraz:



„Wygra ten, który sprawi, że przeciwnik znajdzie się w rzece”.

Następnie wystrzelił z pistoletu i pojedynek się rozpoczął.

Rywale ściskali drąg kolanami i przytrzymywali się jedną ręką, a drugą wymachiwali jakże oryginalną bronią.

Madeleine usłyszała taką oto rozmowę:

- O co oni walczą?

- Pewnie o jakąś ładacznice.

- Musi być tania, zamiast wyciągać szpady czy pistolety, wystarczy dać za nią funt pierza i kawałek płótna.

- Słusznie, po co dla dziwki ryzykować zranienie.

- Nie wiesz, o kogo chodzi?

- Nie, ale znam tych dwóch, to przyjaciele. Może wcale nie chodzi o jakąś kokotę, tylko o to, by rozbawić ludzi?

- Taki żart, rozumiem.

Madeleine usłyszała już dość i najchętniej zniknęłaby stąd, jednak tłum to uniemożliwiało. Tymczasem walka nabierała tempa, czego dowodem było latające pierze, które wdzierało się do nozdrzy pojedynekowiczów, wywołując kichanie. Starcie dodatkowo utrudniał fakt, że obaj adwersarze zaśmiewali się do rozpuku.

- Do przodu, Stanmore! - wykrzyknął ktoś.

- Nie daj się, Ben! - odezwał się inny głos.

Nagle Benedict zachwiał się i opuścił dłoń z poduszką, by przytrzymać się mocniej drąga. Duncan honorowo nie skorzystał z okazji i też opuścił pierzasty oręż, rozglądając się przy tym wokół.

Napotkał wzrok Madeleine. Nie śmiała się jak inni. Była zła i bardzo smutna. W ciemnej sukni, mimo drobnej postury, wyglądała jak posąg. Jak to możliwe, by pomoc kuchenna swą urodą i dostojeństwem dorównywała bogini? Tak w baśniach przedstawia się królowe...

Otrząsnął się. Pojedynek już go nie bawił, czas go skończyć jak najprędzej. Jeden mocny, precyzyjny zamach wystarczył, by Benedict zawisł do góry nogami na drągu. Wprawdzie nie wpadł do rzeki, lecz Duncan nie pozwolił mu wrócić do poprzedniej pozycji, bo gdy tylko Ben starał się zbliżyć do pionu, natychmiast poduszka przeciwnika

sprawiła, że znów dyndał głową w dół. Wreszcie rozległ się głośny plusk i pojedynek dobiegł końca.

Tłum zagrział wiwatami. Duncan podniósł poduszkę w triumfalnym geście, lecz że drąg był mokry i śliski, też chlupnął w wodę. Rozbawieni sekundanci pomogli im wyjść na brzeg i narzucili na ich ramiona koce.

- Dobra robota! - wykrzyknął Donald. Pojedynkowicze ceremonialnie uściśnieli sobie dłonie. Markiz rozejrzył się w poszukiwaniu Madeleine, lecz nie było jej już wśród gawiedzi.

SR

## *Rozdział ósmy*

Gdy tylko walka się skończyła, Madeleine uciekła znad strumienia. Szybko odnalazła sir Percy'ego i Marianne i ruszyli w stronę wyjścia.

- Gdzie byłaś? - zapytała Marianne.

- Patrzyłam, jak dwóch dorosłych mężczyzn robi z siebie błaznów.

- Och, a więc też to widziałaś?

- Razem z połową Londynu, a druga połowa usłyszy o wszystkim jutro z samego rana.

- To lepsze, niż gdyby mieli się pozabijać - zauważył sir Percy. -

Sprytnie z tego wybrnęli. Nie ponosząc szwanku na zdrowiu, uczynili zadość wymogom honoru, a przy tym dostarczyli sobie i innym rozrywkę. Chociaż nie wiem, co powie książę, gdy się o tym dowie.

- Niewątpliwie zgodzi się z panem - stwierdziła Marianne.

Madeleine w głębi serca przyznawała im rację, ale w uszach

wciąż dźwięczał jej zasłyszany komentarz: „Musi być tania, zamiast wyciągać szpady czy pistolety, wystarczy dać za nią funt pierza i kawałek płótna” Sama nie wiedziała, czy powinna się złościć, czy oddychać z ulgą.

Była pewna, że już nigdy nie zobaczy żadnego z nich, ale myliła się. Następnego wieczoru Duncan był na widowni, a po spektaklu czekał na nią za kulisami. Udawała, że go nie widzi, jednak zastąpił jej drogę i rzekł z ukłonem:

- Dobry wieczór, panno Charron.

- Dobry wieczór, milordzie - odrzekła chłodno, próbując go wyminąć.

- Czy pozwoli pani, że odwiozę ją do domu? - Ujął ją za ramię. - Mój powóz czeka przy wyjściu.

- Milordzie, dlaczego sądzi pan, że mam ochotę jechać pańskim powozem? Nie mam panu nic do powiedzenia. - Choć przyszło jej to z wielkim trudem, nadała głosowi obojętne brzmienie. Markiz ośmieszył ją, udając uczucie, gdy przez cały czas była dla niego tylko rozrywką; mimo to nie potrafiła przestać go kochać.

- Za to ja mam wiele do przekazania tobie. Jeśli wolisz, mogę powiedzieć to tu i teraz, i wszyscy przechodzący obok będą to słyszeć, dlatego lepiej wsiądźmy do powozu. Nie obawiaj się, zawiozę cię prosto do domu.

Nie brzmiało to tak, jakby zamierzał wyznawać jej miłość albo proponować romans. Mówił chłodno, obojętnie, tak jak ona.

- Nie obawiam się. Skoro jest pan tak uprzejmy, to zaoszczędzę na dorożce.

Wyszła z wysoko uniesioną głową i sama wspięła się do powozu. Duncan usiadł obok niej.

- Nie miałem pojęcia, że będziesz na pokazie sztucznych ogni - powiedział, gdy ruszyli.

- Niby skąd miałby pan o tym wiedzieć, milordzie? Chodzę tam, gdzie mam ochotę, i w towarzystwie, które mi odpowiada.

- Wydawało mi się, że byłaś na brzegu rzeki.

- Tłum oddzielił mnie od przyjaciół, lecz potem ich odnalazłam.

- Szukałem cię... później.

- Dlaczego? Naprawdę sądził pan, że rozbawią mnie pańskie wygłupy?

- Nie robiłem tego, by panią rozbawić, panno Charron, lecz by nie dopuścić do rozlewu krwi.

- Nie prościej było nie przyjąć wyzwania?

- I narazić się na miano tchórza? Nie, panno Charron, musiałem sprostać wymogom honoru. Teraz Willoughby i ja znów możemy być przyjaciółmi.

- Czy właśnie to chciał mi pan przekazać? Bo jeśli tak, to jest mi to zupełnie obojętne.

- Nie sądzę, by tak było. Jest pani na mnie zła, nieprawdaż? Czytał w jej myślach; czuła się z tym niewygodnie.

- Więc dobrze, jestem zła. Czy wie pan, co mówili ludzie w tłumie? Że jestem warta tylko tyle co garść pierza. - Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się małostkowo, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Wolałaby pani, żebyśmy walczyli na śmierć i życie? - Teraz on wpadł w złość. - Powinienem był przewidzieć, że ten pojedynek

podrażni pani próżność.

- Moją próżność... Cóż pan może wiedzieć o mojej próżności albo skromności? W ogóle mnie pan nie zna.

- Czyżby? Dlaczego nie powiedziała mi pani, że była pani służącą u Bulfordów?

A więc wiedział już o tym...

- Dlaczego miałabym o tym mówić?

- Wiedziałaś, że coraz bardziej cię lubię, i pozwoliłaś mi wierzyć, że moje uczucia są odwzajemnione

- Nic podobnego. Powiedziałam przecież wyraźnie, że nie zostanę pańska kochanką.

- Niczego takiego nie sugerowałam.

- Nie musiał pan, ale przez cały czas o to chodziło. Nie jestem taka głupia, jak pan przypuszcza.

- Za to jesteś kłamczucha. - Gdy milczała uparcie, złość uleciała z Duncana. - Dlaczego, Madeleine? - zapytał łagodnie.

- Dlaczego nie powiedziałam, że byłam służącą? - Mimo starań jej słowa drżały nieco. - Wiedział pan przecież, że po śmierci mamy znalazłam się w sierocińcu, a stamtąd nie trafia się prosto na scenę. Gdy miałam dwanaście lat, zostałam podkuchenną w rezydencji lorda Bulforda, i była to straszna harówka od świtu do nocy. Potem zarabiałam na życie jako krawcowa, dzięki czemu poznałam pana Greatoreksa, który dostrzegł we mnie aktorkę. Nie kłamałam, milordzie, po prostu nie wszystko panu opowiedziałam.

Duncan westchnął. Lavinia miała rację. Madeleine należało podziwiać, a nie potępiać.

- A francuski hrabia? Usłyszał stłumiony śmiech.

- Teraz wreszcie dochodzimy do sedna sprawy.

- Nie, moja droga, dla mnie to nie ma żadnego znaczenia.

Kochałbym cię bez względu na to, kim był twój dziadek, ale w mojej sferze obowiązują dziwne zasady.

Serce zaczęło śpiewać w jej piersi. A więc kochał ją! Najwyraźniej jednak ta miłość była obwarowana warunkami, Duncan zaś w dalszym ciągu nie znał rozmiarów jej oszustwa. Powinna wyznać

wszystko, ale chciała choć przez chwilę nacieszyć się myślą o tym, że kocha go i wzajemnie jest przez niego kochana, jakby na ich drodze nie było żadnych przeszkód. Przypomniała sobie, co sir Percy mówił jej o odpowiedzialności właściciela ziemskiego i o tym, że potrzebuje on szacunku otoczenia. Czy Duncan czuł się rozdarty?

- Zdążyłam się o tym przekonać, milordzie, ale mówi pan o miłości. Miłość nie zna granic, prawda? Skoro jednak opinia otoczenia ma dla pana tak wielkie znaczenie, wniossek z tego, że to, co pan czuje, nie jest miłością.

- Nic nie rozumiesz.

- Rozumiem wszystko aż za dobrze. Gdybym była szlachetnie urodzona i przestała zarabiać na życie w teatrze, pańska sfera, z którą tak bardzo pan się liczy, mogłaby łaskawie mnie uznać za godną zasilenia jej szeregów. Powiem coś jednak panu: nie zamierzam udawać, że jestem kimś, kim nie jestem. Jestem aktorką i jeśli nie potrafi pan tego zaakceptować, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Powóz zatrzymał się przed jej domem.

- Madeleine, dlaczego się kłócimy? - Ujął jej dłonie. - Nie chciałem cię urazić. Kocham cię i wydawało mi się, że ty też mnie kochasz. Powiedz mi, że się nie mylę.

Pogrążona w smutku, nie była w stanie dać mu odpowiedzi, na którą czekał. Zdrów rozsądek nakazywał otworzyć drzwi i wyskoczyć, lecz bała się, że wtedy nogi ugną się pod nią.

- I cóż, moja droga Madeleine? Widzę, że nie jesteś w stanie zaprzeczyć.

- Jeśli powiem, że się pan myli, to znów nazwie mnie pan kłamczucha - odrzekła żałośnie.

- To znaczy, że mnie kochasz. - Podniósł jej dłonie do ust. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, w końcu Duncan pocałował ją. Dotyk jego ust był w pierwszej chwili łagodny i kuszący, ale gdy zauważył, że Madeleine nie stawia oporu, zaczął całować mocniej, aż cała rozpląnęła się w jego uścisku. Gdy w końcu ją puścił, po jej twarzy spływały łzy.

- Och, moja najdroższa - powiedział, podając jej chusteczkę - ty naprawdę mnie kochasz.

- To nie ma znaczenia. - Wzięła się w garść. - Nigdy nie zostanę pańską kochanką. Nie będę niczyją kochanką.

- Nie kochanką, lecz żoną. Możemy wziąć ślub, jeśli tylko...  
Roześmiała się gorzko.

- Jeśli tylko jakaś wróżka machnie magiczną różdżką, wymaże moją przeszłość i uczyni ze mnie arystokratkę! Lecz to się nie zdarzy. Nie mam innej przeszłości niż ta, o której pan wie, a teraz, skoro panna Bulford mnie rozpoznała, to dowiedzą się o niej również inni. Nie jestem szlachetnie urodzona, moi rodzice byli prostymi ludźmi. Nie wiem, kim był mój dziadek. Wymyśliłam go. Nie wiem nawet, kim był mój ojciec, pewnie jednym z żołnierzy księcia Wellingtona. Czy teraz jest pan zadowolony? Czy to właśnie chciał pan usłyszeć?

Na widok przerażenia, jakie odbiło się na jego twarzy, Madeleine oprzytomniała. Wskoczyła z powozu i pędem wpadła do domu. Duncan nie próbował jej zatrzymać.

To był już koniec. Ich miłość nie miała żadnej szansy, by się rozwinąć. Madeleine sama sprowadziła nieszczęście na swoją głowę. Niepotrzebnie wymyślała dziadka hrabiego, niepotrzebnie przyodziła się w cudzy strój, a teraz nadeszła kara: miłość bez nadziei, brak perspektyw na akceptację w dobrym towarzystwie. Dlaczego głupio sądziła, że uda jej wymigać od konsekwencji?

Wchodząc po schodach, zastanawiała się, dlaczego jej matka nigdy nie wspominała o ojcu. Jeśli był żołnierzem i zginął na polu bitwy, powinna być z niego dumna. Czy poznanie prawdy o nim mogłoby jej w czymkolwiek pomóc?

Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Przez łąki nienawistnie za rogiem powóz Duncana wydawał jej się rozmazaną plamą.

- Głupia - wyrzucała sobie. - Idiotka.

Położyła się do łóżka, choć wiedziała, że nie uda jej się zasnąć. Musiała coś zrobić, by złagodzić ból duszy. Musiała coś zmienić w swoim życiu. A gdyby wyjechała z Londynu i poszukała pracy w jakimś prowincjonalnym teatrze? Była jednak profesjonalistką i nie

mogła zostawić sztuki w środku sezonu. Praca była dla niej najważniejsza. Pozycję, którą cieszyła się teraz, zdobywała przez długie lata; byłaby głupia, rujnując ją pod wpływem impulsu. Nie mogła tego zrobić.

Zasnęła po długim czasie, gdy wreszcie udało jej się nieco uspokoić myśli.

Następnego ranka obudziła się z mocnym postanowieniem, że zacznie wszystko od początku. Nalegała na popołudniową próbę, chciała bowiem dopracować niektóre szczegóły swej roli. Chodziło między innymi o francuski akcent.

- Gram francuską księżniczkę - powiedziała do Lancelota - lecz w ogóle nie mam francuskiego akcentu.

- Za to masz francuskie nazwisko i francuskiego dziadka - odparł ze śmiechem. - Mój przyjaciel mówi w tym języku. Poproszę go, by z tobą poćwiczył, ale zachowaj umiar. Grasz przed angielską publicznością, więc nie kalecz języka obcymi naleciałościami, tylko dyskretnie zasugeruj francuską narodowość księżniczki.

Przewrotność losu sprawiła, że Pierre Valois, który pojawił się w teatrze następnego popołudnia, był synem francuskiego emigranta, który uciekając przed gilotyną, przybył do Anglii w 1793 roku. Choć Pierre urodził się rok później w Londynie i jego językiem ojczystym był angielski, ojciec dopilnował, by mówił również po francusku, i teraz zarabiał na życie, ucząc tego języka młode damy. Był o dziewięć lat starszy od Madeleine, ale jego pochodzenie jota w jotę pokrywało się z wymyśloną przez nią historyjką. Mogła tylko dziwić się zrządzeniu losu, które ich z sobą zetknęło.

Pierre był świadom swej urody, ale potrafił być też czarujący i szybko doprowadził do śmiechu Madeleine, która próbowała nadać francuski akcent angielskim słowom Szekspira.

- Czy mama pani nie mówiła po francusku? - zapytał.

- Nigdy nie słyszałam. Dlaczego pan pyta?

- Mówiono mi, że ojciec pani był Francuzem. A może chodziło o dziadka?

- Nie znałam żadnego z nich - ucięła temat, uświadamiając sobie



zarazem, że ta historia wciąż się za nią ciągnie. Widocznie Duncan nie rozgłosił jej oszustwa, być może dlatego, że wówczas sam wyszedłby na głupca. Francuski hrabia nadał towarzyszył jej jak cień.

- Lecz nie wyprze się pani francuskich korzeni. Ta elegancja i opanowanie... W każdym calu wygląda pani na galijską księżniczkę.

- Jestem przecież aktorką - odparła ze śmiechem.

- Tak, ale nie bez kozery się mawia, że błękitna krew zawsze na wierzch wypłynie.

- Nie jest pan pierwszą osobą, od której to słyszę - odrzekła, myśląc o Duncanie. - Czy możemy wrócić do pracy?

Chciałabym wypróbować mój nowy akcent podczas dzisiejszego spektaklu.

Była pojętną uczennicą i już tego samego wieczoru mówiła z zachwycającym francuskim akcentem. Publiczność była oczarowana. Końcowy aplauz z nadatkiem wynagrodził jej poświęcenie i pracę. Madeleine kłaniała się nisko, myśląc, że do tego właśnie się urodziła i najlepiej zrobi, jeśli będzie o tym pamiętać.

Gdy wróciła do garderoby, Pierre już na nią czekał. Siedział na krześle w swobodnej pozie i rozmawiał z garderobianą. Na jej widok podniósł się.

- Gratuluję, mademoiselle. Była pani wspaniała.

- Nie zawiodłam pana, prawda?

- Nie miałem co do tego żadnych obaw, nie mówię jednak tylko o pani akcencie, lecz o całym spektaklu. Jestem zachwycony.

- Dziękuję bardzo.

- Musimy to uczcić. Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zechce zjeść ze mną kolację?

Pomyślała o Duncanie, należał jednak do przeszłości, którą sama nieodwołalnie zamknęła, a Pierre Valois nie miał żadnych związków z wielkim światem. Przy nim mogła czuć się bezpiecznie.

- Z największą przyjemnością. Proszę dać mi tylko chwilę, bym mogła się przebrać.

Po kilku minutach wyłoniła się z garderoby w granatowej

aksamitnej sukni, tej samej, którą miała na sobie w Vauxhall.

- *Magnifique!* - Pierre ujął jej dłonie, wodząc wzrokiem po całej jej postaci. - Najjaśniejsza gwiazda na całym nieboskłonie. Cały Londyn będzie mi zazdrościć!

Madeleine ze śmiechem narzuciła płaszcz na ramiona i ruszyli do restauracji Stephena przy Bond Street, którą szczególnie faworyzowali oficerowie. Jedzenie było tu dobre, choć nie dorastało do standardów Clarendona, ale za to ceny bardziej przystępne. U Clarendona posiłek kosztował około czterech funtów od osoby. Madeleine domyślała się, że zasoby finansowe Pierre'a Valois mają się nijak do majątku sir Percivala Ponsonby'ego, była jednak zadowolona, że nie musi się pokazywać w restauracjach, w których bywali markiz Risley i jemu podobni. Pomyślała z goryczą, że na pewno wciąż się zaśmiewają z tej parodii pojedynku.

Restauracja była prawie pełna, lecz znaleziono dla nich wolny stolik. Pierre zamówił solę i jagnięcinę z bukietem jarzyn, wśród których znajdowała się również salsefia smażona w maśle, a także gotowane grzyby.

- A do tego szampan - powiedział kelnerowi. - Musimy coś uczcić.

- Dlaczego pan to powiedział? - zdziwiła się Madeleine.

- Przecież świętujemy sukces naszego wspólnego przedsięwzięcia i moją radość, że mogłem wziąć w nim udział. Wolę uczyć panią niż pół tuzina podlotków, które przez cały czas chichoczą i nie mają pojęcia, jak powinna się zachowywać prawdziwa dama.

- A jak powinna się zachowywać prawdziwa dama?

- Tak jak pani, moja droga. Z wdziękiem i czarem.

- *Merci, monsieur.* - Uśmiechnęła się uroczo.

Kelner przyniósł kolację, nalał im szampana i zniknął. Pierre uniósł kieliszek.

- Wypijmy za najpiękniejszą kobietę w Anglii, która jest również niezrównaną aktorką. Oby czarowała nas jak najdłużej.

Madeleine ze śmiechem podniosła swój kieliszek.

- Za francuskiego nauczyciela, który jest również wytrawnym flirciarzem.

- Życie byłoby nudne, gdybyśmy od czasu do czasu nie mogli trochę poplirtować. Chyba zgodzi się pani ze mną?

- Och, jak najbardziej.

- W takim razie nie przerywajmy, dobrze?

- Jedzenia, picia czy flirtowania?

- Wszystkiego, droga pani, wszystkiego.

Konwersacja przebiegała gładko, nie zostawiając Madeleine czasu na myślenie. Pierre zasypywał ją komplementami, które przyjmowała z lekkim sercem, nie dopatrując się drugiego dna, i odpowiadała tym samym. Wieczór upłynął bardzo przyjemnie.

Gdy zbierali się do wyjścia, Madeleine zauważyła majora Greenawaya, który siedział samotnie przy pobliskim stoliku. Na jej widok podniósł się i uklonił.

- Unizony sługa, panno Charron.

- Dobry wieczór, majorze.

Pierre poprowadził ją do wyjścia. Zamówiona dorożka już czekała. Obecność majora Greenawaya w zasadzie nie popsła nastroju Madeleine, przypomniała jej jednak, że nie jest tak twarda, jak mogłaby sobie życzyć, i że Duncan Stanmore w jakimś sensie był cały czas obecny przy ich stoliku. Miała jednak nadzieję, że Pierre niczego nie zauważył.

Zastanawiała się, czy na koniec nie będzie musiała go ostro odprawić, zachował się jednak nienagannie. Odprowadził ją pod dom i ucałował dłoń z przesadną grzecznością.

- To był dla mnie czarujący wieczór już od chwili, gdy francuska księżniczka pojawiła się na scenie, ale przypuszczam, że teraz nastął jego kres. - Westchnął dramatycznie.

- W istocie, drogi panie. Bardzo dziękuję za towarzystwo.

- Czy zlituje się pani nade mną i pozwoli się jeszcze gdzieś zaprosić?

- Być może. Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

- Skoro tak, jutro wieczorem również będę na widowni. - Z uśmiechem przesłał jej pocałunek.

Zamknęła za sobą drzwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście ma

ochotę jeszcze gdzieś z nim wyjść. Bardzo jej pomógł z akcentem i był sympatyczny, ale czy należało go zachęcać do śmielszych kroków? Uśmiechnęła się do siebie. Oboje dobrze wiedzieli, że jego komplementy nic nie znaczą, więc co w tym mogło być złego? A jeśli dzięki niemu uda jej się choć na chwilę zapomnieć o pewnym markizie, tym lepiej.

- Tu jesteś, Stanmore.

Duncan, który właśnie rozbierał się przed rundą sparingową u Jacksona, zobaczył Donalda Greenawaya.

- Witam, majorze. Co pana tu sprowadza?

- Nic nie mogę zdziałać w sprawie wicehrabiego, więc odłożyłem to na razie i skupiłem się na dziadku panny Charron. Przyszło mi do głowy, żeby zacząć od wątku wojskowego. W zeszłym tygodniu umówiłem się u Stephena ze znajomym z wydziału dokumentacji wojskowej Gwardii Konnej, który ma dostęp do list poległych. Najdziwniejsze jednak, że ją tam spotkałem.

- Kogo?

- Pannę Charron. Była z jakimś nieznanym mi mężczyzną. Właściciel wyjaśnił mi, że to Pierre Valois, syn francuskiego emigranta, który przybył do Londynu w czasach terroru. Wygląda więc na to, że panna Charron prowadzi własne dochodzenie.

- Po cóż miałyby to robić?

- Gdyby nigdy nie poznał pan swego ojca i dziadka, czy nie ciekawiłoby pana, kim byli? Tym bardziej że w jej sytuacji ma to wielkie znaczenie, bo od tego zależy, jak będzie przyjmowana w towarzystwie.

Duncan miał już na końcu języka, że kłamała, zrezygnował jednak, by nie narażać jej na powszechną niechęć i lekceważenie. Bez względu na jej kłamstwa nie mógł tego zrobić Madeleine.

- Zapewne ma pan rację, ale skoro panna Charron sama dobrze sobie radzi, nie ma potrzeby, byśmy nadal zajmowali się tą sprawą.

- Mam przerwać to dochodzenie?

- Tak. Postanowiłem niczego więcej nie robić w tym kierunku. Oczywiście zapłacę panu za dotychczasowe wysiłki.

Donald przyjrzał się Duncanowi uważnie, zastanawiając się, co wpłynęło na zmianę jego decyzji, powstrzymał się jednak od komentarza.

- Nie zrobiłem wiele, zbyt byłem zajęty sprawą wicehrabiego. Tyle tylko, że nieco posmarowałem złotem swoje ścieżki w Whitehall. Jak długo zamierza pan tu jeszcze zostać?

- Z godzinę. O co chodzi, majorze?

- Moglibyśmy razem odwiedzić księżną Loscoe. O ile pan sobie przypomina, obiecała, że poszuka portretu córki wicehrabiego Armitage'a.

- W takim razie proszę na mnie poczekać. A może pan również miałby ochotę na kilka rund?

- Nie, dziękuję. Podobnie jak pański przyjaciel Willoughby nie jestem miłośnikiem boksu.

- A więc słyszał pan o pojedynku?

- Cały Londyn już o tym wie. - Donald uśmiechnął się szeroko.

- I co mówią?

- Że to była doskonała rozrywka i bardzo stosowna odpowiedź na pretensje Willoughby'ego.

- A co mówią o przyczynach tego pojedynku?

- Przypuszczają, że musiało chodzić o jakąś kobietę, ale nikt nie wie, kim ona jest.

- To niech sobie dalej przypuszczają.

Przerwali rozmowę, bo partner Duncana właśnie wszedł na ring. Major, którego znajomość boksu ograniczała się do tego, że służył jako sparingpartner księciu Loscoe w czasach, gdy byli młodzi, podziwiał szybką pracę nóg swego młodego przyjaciela, a także sposób, w jaki wyprowadzał ciosy, z wprawą i swobodą, jednocześnie broniąc się przed natarciem przeciwnika. Po zakończeniu walki Duncan podszedł do niego, wycierając się rącznikiem. Oddychał ciężko, ciało lśniło potem, ale na skórze nie było widać ani jednego sińca.

- Już rozumiem, dlaczego Willoughby nie chciał walczyć z panem w ringu - powiedział Donald. - Od jak dawna ćwiczy pan boks?

- Ojciec przyprowadził mnie tu po raz pierwszy, gdy byłem chłopcem.

- Księżę cieszył się sławą prawdziwego mistrza. Mogę coś o tym powiedzieć, bo w imię przyjaźni musiałem znoś z jego ręki liczne sińce i guzy. Właśnie wtedy uznałem, że to nie jest sport dla mnie.

Duncan uśmiechnął się.

- Mnie też przydarzyło się kilka guzów. Proszę dać mi chwilę, bym mógł się wykapać i przebrać. Zaraz będę gotów.

Szli obok siebie w milczeniu. Duncan myślał o Francuzie, z którym Madeleine jadła kolację. Kim mógł być ten człowiek i gdzie go poznała? Z pewnością nie spotkała go, szukając prawdy o swoim dziadku, bo przecież przyznała, że ten dziadek nigdy nie istniał. Cóż więc mogła znaczyć ta znajomość i dlaczego Duncan miał ochotę odnaleźć tego Francuza i dać mu w twarz? Uśmiechnął się w duchu. Tej metody próbował już z Benedictem, i to z opłakanym skutkiem. Następnym razem rezultat mógł się okazać jeszcze gorszy. Poza tym Madeleine nie była tego warta.

- Czy udało się panu dowiedzieć czegoś o Charronie? Czy znalazł pan to nazwisko na listach ofiar wojskowych? - zapytał, starając się nadać głosowi nonszalanckie brzmienie.

Donald spojrział na niego z uśmiechem.

- Myślałem, że to pana nie interesuje.

- Pytam tylko z ciekawości.

- Nie. Mój przyjaciel nie znalazł na tych listach żadnego Charrona.

- Może więc wcale nie zginął?

- Nie było go również na listach żołnierzy. W każdym razie nie pod tym nazwiskiem.

- A może służył w którymś z niemieckich regimentów?

- To możliwe. Panna Charron może wiedzieć coś ważnego, czego nikomu dotychczas nie powiedziała. Na przykład zmiana nazwiska, pamięć o jakichś miejscach, coś, co powiedziała jej matka. Miałem nadzieję, że panu uda się dowiedzieć więcej.

- Niestety, niczego się nie dowiedziałem, ale to już nieważne. Ta dama przestała mnie interesować.

- W takim razie muszę się skupić na sprawie wicehrabiego. Bardzo chciałbym pomóc staruszkowi. Z dnia na dzień jest coraz słabszy, a ja nie mam dla niego żadnych wieści.

- Nie powinien był wyrzucać swojej córki z domu. Ja bym tego nigdy nie zrobił. Dzieci to skarb.

- I to mówi ktoś, kto nigdy nie zaznał radości i obowiązków ojcostwa - z uśmiechem skomentował major.

Duncan pomyślał, że nigdy nie pozna tych radości, jeśli nie zmusi się do małżeństwa. Myśl o spędzeniu reszty życia w stanie kawalerskim nie mieściła mu się w głowie. Kochał dzieci i powinien mieć swoje. Pod tym względem Vinny miała rację.

Gdy dotarli do Stanmore House, wprowadzono ich do bawialni pełnej przyjaciół księżnej.

- Dobry Boże, zupełnie zapomniałem, że akurat dziś moja macocha urządza jedno ze swoich zebrań towarzyskich - jęknął Duncan. - Będziemy musieli zachowywać się przyzwoicie, dopóki te wszystkie damy nie pójdą.

Przywitali się z księżną, a potem zaczęli krążyć wśród gości. Już po chwili natknęli się na lady Bulford wraz z Hortense i Annabel.

- Jak to miło, że znów się spotykamy - rzekła lady Bulford, trzepocząc wachlarzem. - Zgodzisz się chyba ze mną, Annabel?

- Och, tak. - Annabel zarumieniła się, unikając wzroku Duncana.

- Czy mogę przedstawić paniom mojego przyjaciela, majora Greenaway? Majorze, oto lady Bulford i jej szwagierki, panny Hortense i Annabel Bulford.

Major skłonił się.

- Próbuję sobie przypomnieć, skąd pana znam - powiedziała lady Bulford. - Nie mogę skojarzyć pańskiego nazwiska. Pochodzi pan chyba z prowincji?

- Major Greenaway od lat jest przyjacielem mojej rodziny - wtrącił Duncan pospiesznie, obawiając się, by Donald nie usadził lady Bulford zbyt ostrym słowem.

- Każdy, kto jest przyjacielem drogiego księcia, jest również i moim - odrzekła.

Hortense zwróciła się do Duncana:

- Słyszałam, że miał pan jakieś kłopoty od czasu naszego ostatniego spotkania.

- Kłopoty?

- Nie wypytuj markiza - wtrąciła Annabel. - W końcu to tylko plotki, a nie chcemy przecież, by milord pomyślał, że przykładamy do nich jakąkolwiek wagę.

- Plotki? - powtórzył Duncan z niewinną miną. - O mnie?

- To nic takiego - spłoszyła się Annabel. - Podobno pojedynkował się pan z Benedictem Willoughbym.

- Na pistolety czy na szpady? Mam doskonałą reputację w obu tych broniach - stwierdził, z trudem tłumiąc chichot.

- Milordzie, doskonale pan wie, że walczyliście na poduszki. Wszyscy się z tego śmieją.

- Droga panno Bulford, lepiej śmiać się niż płakać, a gdybyśmy użyli prawdziwej broni, z pewnością ktoś by płakał. To był tylko żart dla rozbawienia przyjaciół. Nie należy traktować tego poważnie.

- Tak, ale ta dama...

- Dama? - fałszywie zdumiał się Duncan. - Czy ktoś wspominał o jakiejś damie?

- Nie, oczywiście że nie chodziło o żadną damę - obruszyła się Hortense. - Jaki dobrze urodzony mężczyzna narażałby swoją reputację na szwank, walcząc o względy jakiejś kuchty? Bądź rozsądna, Annabel.

Duncan otwierał już usta, by wygłosić ostrą ripostę, lecz zmilczał.

- Zechcą mi panie wybaczyć - skłonił się sztywno - ale jest tu ktoś, z kim muszę porozmawiać. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jak śmiały tak pogardliwie mówić o kobiecie, którą kochał? Hortense Bulford mogła tylko marzyć, by stać się taką damą, jaką była panna Charron. Uśmiechnął się krzywo. Przed godziną oświadczył stanowczo, że stracił całe zainteresowanie Madeleine. Obiecywał sobie, że wyrzuci ją ze swych myśli i poszuka innej żony. Owszem, wiedział, że jest niekonsekwentny, ale z drugiej strony, gdyby kiedykolwiek ożenił się z Annabel Bulford, z całą pewnością



nigdy nie zaprosiłby jej siostry w odwiedziny.

Musiał napić się czegoś mocniejszego, poszedł więc do biblioteki, gdzie jego ojciec zawsze trzymał karafkę z brandy. Właśnie napełniał szklanę, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł książę.

- Czy to te plotkary wypędziły cię z bawialni, Duncanie?

- I owszem. Nie masz chyba nic przeciwko temu? - zapytał, wskazując na karafkę.

- Nalej i mnie. - Książę usiadł w fotelu przy kominku. - Porozmawiamy sobie.

- Oho. Czyżbym zasłużył na reprimendę?

- Dziękuję. - Przyjął szklaneczkę z rąk syna i wskazał drugi fotel. - Jesteś już za stary, by cię łajać jak dziecko, niemniej wygląda na to, że masz coś na sumieniu.

Duncan umoczył usta w zawartości szklanki.

- Sumienie mam czyste, sir. Przypuszczam, że chodzi ci o ten wygłup z Willoughbym.

- Cóż cię do tego skłoniło?

- Ben żądał satysfakcji, co więc miałem zrobić? Jest ode mnie znacznie słabszy w pistoletach i szpadzie, a nie chciałem go zranić.

Książę uśmiechnął się.

- Nie przyszło ci do głowy, że to ty mógłbyś ucierpieć?

- No tak, nikt nie jest niepokonany.

- Pomysł z poduszkami był genialny, ale dlaczego wybrałeś publiczne miejsce?

- To on je wybrał, nie ja. Myślę, że chciał mnie upokorzyć, ale teraz jest już po wszystkim i ludzie wkrótce o tym zapomną. Plotka goni plotkę.

- Pewnie tak. A tak naprawdę o co wam poszło?

- Wolałbym o tym nie mówić, ale Benedict zasłużył na lanie.

- W takim razie nie będę wścibski, liczę jednak, że nie uczyniłeś niczego, co mogłoby ściągnąć wstyd na ciebie czy na rodzinę.

- Nie, ojcze, niczego takiego nie uczyniłem.

- To dobrze. - Książę przerwał na moment. - Kiedy cię zobaczymy przed ołtarzem?

- Tylko nie to, ojcze, proszę. Dość już, że muszę znosić nagabywania Vinny. Jest szczęśliwa w małżeństwie i uważa, że każdemu, kto z własnej woli pozostaje w stanie bezzennym, musi brakować piątej klepki.

- Mam nadzieję, że twoje pragnienie samotności jest tylko stanem przejściowym. Nie chciałbym cię siłą nakłaniać do małżeństwa, chłopcze, ale sam chyba rozumiesz, że już na to czas. Ja w każdym razie mogę ci polecić małżeństwo ze szczerego serca. Oczywiście pod warunkiem, że znajdziesz odpowiednią kobietę.

- Właśnie w tym problem.

- Lord Bulford dał mi do zrozumienia, że jego młodsza siostra nie miałaby nic przeciwko twoim oświadczeniom.

- Rozmawiał z tobą? Wydawało mi się, że czasy, gdy rodzice czy opiekunowie aranżowali małżeństwa swoich dzieci, już dawno minęły.

- Domyślam się, że chciał mnie wybadać, czy nie stawiałbym jakichś przeszkód.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Że jesteś dorosły i decyzja, kiedy i z kim się ożenisz, należy wyłącznie do ciebie.

- Mówiłeś to szczerze?

- Duncanie, zawsze mówię szczerze, choć mam nadzieję, że wykazesz się rozsądkiem.

- I nie ożenię się z pomocą kuchenną. Nie martw się, ojcze, to się raczej nie zdarzy.

Na twarzy księcia odbiło się zdziwienie. Duncan dopił brandy i powiedział:

- Wybacz, ale muszę poszukać majora Greenawaya. Przyszedł tu ze mną, bo chciał zobaczyć się z mamą. Obiecała mu, że poszuka portretu córki wicehrabiego Armitage'a.

- Oczywiście.

W bawialni Donald nadal rozmawiał z Bulfordami. Duncan dołączył do nich.

- Niezmiernie mi przykro, że musiałem oddalić się tak nagle -

rzekł z uśmiechem.

- Nic nie szkodzi, milordzie, najważniejsze, że pan wrócił - odrzekła Annabel. - Major Greenaway zabawiał nas opowieściami o swoich przygodach. Czy wie pan, że major zna wszystkich policjantów z Bow Street i korzysta z ich pomocy podczas poszukiwań zaginionych osób?

- Tak, wiem o tym. Często też znajduje utraconą biżuterię i chwyta przestępców. Dwukrotnie udało mu się ocalić porwane kobiety.

- Jakich pan ma interesujących przyjaciół, milordzie - wtrąciła Hortense. - Czy pan też zajmuje się rozwiązywaniem zagadek?

Było to wyraźna aluzja do Madeleine, Duncan jednak nie połknął haczyka.

- Od czasu do czasu, jeśli major potrzebuje pomocy. Na twarzy Annabel odbiła się ulga.

- To zapewne dlatego... - urwała zmieszana. - Och, bardzo przepraszam. Major Greenaway mówił, że jego zlecenia często są poufne, więc nie powinnam pytać. W każdym razie powiem tylko, że już rozumiem.

Zaskoczony Duncan spojrzał na Donalda, który uśmiechał się od ucha do ucha. Co on im napłótł? Na szczęście w tej chwili podszedł do nich lord Bulford, by zabrać damy do domu. Annabel przypomniała jeszcze Duncanowi, że jej debiutancki bal ma się odbyć już za dwa tygodnie, i wreszcie wszyscy zniknęli.

Wtedy Duncan natarł na majora:

- Co pan im, do diabła, naopowiadał?

- O wszystkim i o niczym. Oczywiście wyjawiałem im naj-pilniej strzeżone tajemnice.

- Rzecz jasna. Te tajemnice będą równie bezpieczne jak woda w dziurawym wiaderku.

- Tak właśnie myślałem.

- A więc?

- Powiedziałem im, że jestem bliski wyjaśnienia tajemnicy otaczającej znaną aktorkę.

- Tak przecież nie jest.

- One o tym nie wiedzą. Ostrzegłem je, że jeśli będą powtarzać historię o pomocy kuchennej, mogą na tym źle wyjść, gdy prawda wyjdzie na jaw. Powiedziałem również, że zatrudniłem pana do pomocy.

- Boże drogi, majorze. Nie ma pan pojęcia, w jakie tarapaty mnie pan wpakował. Madeleine wyznała, że wymyśliła całą tę historię. Nigdy nie było żadnego francuskiego hrabiego. - Gdy major szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, dodał:

- Jeśli jednak komuś pan to powtórzy, będę musiał publicznie nazwać pana kłamcą.

- Stanmore, niezmiernie mi przykro. Myślałem, że w ten sposób pomogę. Dlaczego wcześniej nie powiedział mi pan o tym?

- Nie chcę, by plotkarze dowiedzieli się, że markiz Risley zrobił z siebie idiotę z powodu aktorki, która jest nikim.

- Rozumiem - rzekł major, choć było jasne, że nie rozumie.

- Chodźmy poszukać mojej matki. Przez całe popołudnie nie zamieniłem z nią choćby słowa, a panu potrzebny jest ten portret.

Księżna wciąż stała przy drzwiach, choć ostatni goście już wyszli.

- Duncanie, czuję się zaszczycona - rzekła z uśmiechem. - Wzięłaś udział w dwóch moich spotkaniach w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Czymże sobie na to zasłużyłam? A może miało to coś wspólnego z obecnością panny Annabel Bulford?

- Nie wiedziałem, że ona tu będzie.

- Hm... Wyraźnie czekała na ciebie.

- Nie mogła wiedzieć, że przyjdę, jeszcze godzinę przed przybyciem sam o tym nie wiedziałem. A może przygnała ją tu czysta ciekawość, bo chciała usłyszeć, co masz do powiedzenia na temat tego tak zwanego pojedynku.

- W takim razie bardzo ją rozczarowałam, bo udawałam, że nic o tym nie wiem. - Zwróciła się do Donalda. - Pan, majorze, jak sądzę, przyszedł po portret Belli Armitage?

- Gdyby zechciała być pani tak uprzejma...

- Znalazłam go wczoraj na strychu. Pokryty pajęczynami stał obok drewna na opał. Na szczęście udało się go oczyścić. Zostawiłam go w

pracowni, zaraz przyniosę.

Na widok zdziwienia majora Duncan uśmiechnął się.

- Służba ma kategorię zakaz wchodzenia do pracowni. Taki postępek uznany by został za świętokradztwo. Nawet ja mogę przekroczyć próg tego sanktuarium tylko wtedy, gdy zostanę zaproszony.

Po niedługim czasie księżna wróciła do bawialni, niosąc niewielkie płótno.

- Proszę bardzo. Niestety, nie skończyłam tego portretu. Zdaje się, że było to mniej więcej w tym czasie, gdy Bella zniknęła, chociaż nie pamiętam, żebym wtedy o tym słyszała.

Major wyjął obraz z *jej ręk*, spojrzął i obrócił w stronę Duncana.

- Była piękna, nie sądzisz, Stanmore?

- Mój Boże! - zawołał Duncan. - Przecież to Madeleine! Panna Charron.

- Nie mów głupstw - zaśmiała się Frances. - Namalowałam ten obraz przed ćwierć wiekiem!

- Nie widzisz, jak bardzo jest do niej podobna? Oczy, podbródek. ..

- Owszem, jest pewne podobieństwo, ale nic z tego nie wynika.

Gdybym skończyła ten portret, twarz mogłaby wyglądać inaczej. -

Księżna spojrziała na majora. - Obawiam się, że niewiele to panu pomoże. Jestem pewna, że nie udało mi się oddać odcienia karnacji, a włosy są ledwie zaczęte. Pamiętam, że były bardzo ciemne.

- To lepsze niż nic - odrzekł major. - Pokażę ten portret osobom, które mogą ją pamiętać.

- Gdzie ją widziano ostatnio? - zapytał Duncan, nie odrywając wzroku od obrazu. Przy bliższym wejrzeniu było jasne, że to nie jest panna Charron. Jak zauważyła jego macocha, była to inna kobieta, choć w podobnym typie. W pierwszej jednak chwili serce stanęło mu w piersi, był bowiem przekonany, że patrzy na portret Madeleine. Czyżby zaczynał już widzieć ją wszędzie?

- Mieszkała z mężem nad piekarnią w St Albans. To było w rok po ślubie. Osoba, z którą rozmawiałem, twierdziła, że stanowili dziwną parę. On był wielkim mężczyzną o dominującym charakterze, ona z

kolei wydawała się bardzo nieśmiała. Możliwe, że się go bała. Rzadko wychodzili z domu i żyli bardzo oszczędnie. Wyprowadzili się, ale nikt nie wie dokąd.

- Biedactwo! Musiała mieć ciężkie życie. Przywykła do wygodnego domu i służby. - Frances westchnęła. - O ile sobie przypominam, nie była silna, raczej delikatna. Czy myśli pan, że może już nie żyć?

- To możliwe. Przeszukałem setki zapisów o pogrzebach w rejestrach kościelnych, ale bez skutku. Nie znalazłem też nic o dziecku, choć to nie wyklucza jego istnienia. Pewna kobieta w St Albans powiedziała mi, że jej zdaniem pani Cartwright była w ciąży, gdy się stamtąd wyprowadzali.

- Cartwright? - zdziwił się Duncan.

- Tak się nazywał ten człowiek. John Cartwright. Duncan wiedział, że gdyby to nazwisko brzmiało Charron,

Donald już dawno by mu o tym powiedział, ale mimo wszystko poczuł się rozczarowany.

- Spróbuję popytać - powiedział.

- Raczej nie utrzymywali stosunków z wyższymi sferami - zauważył major. - Wicehrabia Armitage mówił, że ten człowiek pochodził z niższych warstw.

- Majorze, nie wszyscy moi znajomi zaliczają się do setki najbogatszych osób w tym kraju - z uśmiechem stwierdził Duncan.

- To prawda. Będę zobowiązany, jeśli zrobisz, co w twojej mocy.

- A ja popytam w sierocińcu - obiecała Frances. - Może jednak było jakieś dziecko?

Wzmianka o sierocińcu znów przypomniała Duncanowi o Madeleine. Zaczął się zastanawiać, dlaczego wcześniej nie przyszło mu do głowy, by tam poszukać. Lecz sprawa była już nieaktualna. Madeleine Charron przyznała się do oszustwa i po prostu musiał o niej zapomnieć.

## *Rozdział dziewiąty*

Pierre niemal nie wychodził z teatru. Każdego wieczoru był na widowni, kierując aplauzem. Przysyłał jej ekstrawaganckie bukiety kwiatów, a po spektaklu siedział w garderobie Madeleine, czekając, aż się przebierze i wyjdzie z nim na kolację. Czasami przyjmowała zaproszenie, a czasami nie. Pierre wówczas tylko uśmiechał się do niej i wracał następnego wieczoru.

- On jest dla ciebie znacznie bardziej odpowiedni niż markiz Risley - stwierdziła Marianne w tydzień później, gdy przygotowywały się do wieczornego spektaklu. - Pochodzi z dobrej rodziny, jego przodkowie są znani i choć nie należy do najwyższych sfer, nie jest też od nich zbyt oddalony. Mógłby być dla ciebie doskonałym mężem.

- Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu - odrzekła Madeleine.

- To poruszycie.

- Mówisz głupstwa. - Madeleine zaśmiała się, choć w tym śmiechu dawało się wyczuć napięcie. - Przecież prawie go nie znam.

- Założę się, że oświadczy ci się jeszcze w tym miesiącu.

- Och, Marianne, co ja mam zrobić?

- Jak to co? Możesz przyjąć oświadczyny.

- Nie chcę wychodzić za męża. Ty na przykład nigdy tego nie zrobiłaś.

- Ja to co innego. Moje życie podoba mi się takie, jakie jest. Mam przyjaciół, pracę i to mi wystarcza, ale to nie znaczy, że tak samo musi być z tobą. Ty jesteś stworzona do zamążpójścia. Potrzebujesz rodziny. Tylko w ten sposób możesz przezwyciężyć duchy, które cię prześladują.

- O czym ty mówisz? Jakie duchy?

- Dobrze wiesz, że tak. Twoja obsesja, by zostać damą akceptowaną przez wielki świat, nie jest zdrowa. Musisz uważać, żeby nie zgorzknąć, bo to źle wpłynie na twoją pracę.

- Być może masz rację - odrzekła Madeleine z powątpiewaniem -

ale nie kocham Pierre'a, a poza tym on jeszcze nie wie, że mój dziadek nie był hrabią. - Wolałaby, żeby oszustwo zostało publicznie ujawnione. Każdego dnia spodziewała się usłyszeć jakieś plotki na ten temat, bezowocnie jednak. Co więcej, opowieść coraz bardziej się uwiarygodniała, choć już bez udziału Madeleine.

To, o czym marzyła przez lata walki o przetrwanie, aż do spotkania z markizem, stało się ciałem. Została zaakceptowana w towarzystwie. Co prawda nie były to najwyższe sfery, ale im bliskie. Często zwracano się do niej, używając tytułu „lady”, którego z całą pewnością nie miała prawa używać. Handlarze, krawcy, szewcy, fryzjerzy i dorożkarze kłócili się o to, który z nich ma jej usługiwać. Zapraszano ją na wieczorki, spotkania, pikniki i kolacje, na których nie musiała występować, choć czasami brała udział w żywych obrazach albo w inny sposób pomagała zabawiać gości gospodarzy.

To wszystko oparte było jednak na kłamstwie i przestało jej odpowiadać. Okropne było również to, że zakochała się w przedstawicielu znienawidzonej arystokracji, choć na początku chciała tylko wykorzystać jego pozycję. Powtarzała sobie, że ta historia jest już zamknięta. Nie zależy jej na markizie Risleyu, który okazał się typowym złotym młodzieńcem z wyższych sfer, snobem, który nie ma pojęcia, jak wygląda zwykły dzień pracy, co to znaczy odczuwać chłód i głód, i który uważa, że za pieniądze można kupić wszystko. Poczucie sprawiedliwości podszeptowało jej, że Stanmore czynił wiele dla więźniów, ale natychmiast zwalczała te myśli, powtarzając sobie, że robił to tylko po to, by poczuć się dobrym człowiekiem, a nie dlatego, by rzeczywiście rozumiał, co owi więźniowie myślą i czują.

Problem polegał na tym, że markiz Risley zbyt głęboko wrył się w jej serce. Pierre Valois nie działał na nią w ten sposób. Czuła się przy nim swobodnie, potrafił ją rozbawić, ale brakowało w tej znajomości czegoś, co zawsze się pojawiało, gdy przebywała w towarzystwie Duncana: namiętności, ognia, niepohamowanej potrzeby, by być blisko niego, nawet gdy się kłócili.

- Powiedz panu Valois prawdę - poradziła Marianne. - Sądzę, że go



tym nie zmartwisz, a może nawet rozbawisz.

Powiedziała mu więc o wszystkim dwa dni później, gdy jedli kolację w restauracji Fladong przy Oxford Street. Marianne miała rację: Pierre wybuchnął śmiechem.

- Jakież to sprytne, skarbie. Dlaczego jednak wybrałaś Francuza?

- Bo trudniej go wytropić. Angielska arystokracja zna się między sobą, natomiast potomków francuskich arystokratów jest więcej niż wróbli w tym mieście. Ty sam przecież jesteś jednym z nich.

- Niezbyt podoba mi się porównanie do wróbla. Wolałbym orła - stwierdził z uśmiechem.

- Nie potępiasz mnie?

- Niby za co? Jesteś jednak całkowicie pewna, że w tej historii nie ma choć odrobiny prawdy? W końcu Charron to francuskie nazwisko.

- Moja matka wymyśliła je, ponieważ uważała, że pomoże jej to w interesach. Była krawcową. Szefowie kuchni i fehmistrze też przyjmują francuskie nazwiska, nawet jeśli nigdy w życiu nie byli we Francji.

- Mimo wszystko sędzę, że coś się za tym musi kryć. Masz doskonałe maniery, a tego nie można się nauczyć. - Gdy chciała zaprotestować, uprzedził ją: - Wiem, że jesteś genialną aktorką, ale nawet ty nie potrafiłabyś udawać czegoś, czego nie masz w sobie. Myślę, że warto byłoby trochę poszperać w poszukiwaniu prawdy.

- Och, nie, jeszcze i ty! Nie sądziłam, że może to mieć dla ciebie jakieś znaczenie... w przeciwieństwie do innych moich znajomych.

- Nie ma znaczenia, ale... podobne przyciąga podobne, czyż nie? Dlatego od razu zrozumiałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Chyba żartujesz.

- Proszę, tylko mi nie mów, że nie poczułaś tych więzi między nami!

- Więzi? Tak, oczywiście, ale taka więź może się pojawić między dowolnymi osobami i to nie znaczy... - Urwała, szukając słów. - Do tego nie trzeba być Francuzem.

- To prawda... Maddy, wiesz chyba, że cię uwielbiam. Chcę się z

tobą ożenić.

- Och, Pierre! Wolałabym, żebyś tego nie mówił.

- Dlaczego? Mam nadzieję, że nie chcesz dać mi kosza?

- Przykro mi. Mamy z sobą wiele wspólnego i bardzo cię lubię, ale...

- ...ale twoje serce nadal bije dla angielskiego markiza - dokończył z goryczą.

- Kto ci o tym powiedział?

- Nikt nie musiał. Za każdym razem na dźwięk jego imienia w twoich oczach pojawia się dziwny wyraz, jakbyś była daleko stąd, pogrążona w marzeniach. A gdy jest w pobliżu, na przykład przedwczoraj na wieczorku muzycznym u lady Graham, nie możesz oderwać od niego wzroku, a twoje oczy błyszczą, jakby ktoś zapalił w nich światełka.

- Co za nedorzeczność! - Po co wspominał o tym koncercie? Nie spodziewała się, że ujrzy tam Duncana, i na widok jego wysokiej postaci w nieskazitelnym wieczorowym stroju serce na moment przestało jej bić. Gdy mijala go wsparta na ramieniu Pierre'a, ukłonił się jej bez uśmiechu. Przez cały wieczór myślała o nim, nie mogąc się skupić na muzyce. Wiedziała, że Duncan dobrze ją widzi ze swojego miejsca, a gdy odważyła się odwrócić, napotkała jego wzrok, ale nie potrafiła przeniknąć wyrazu jego twarzy i szybko spojrzała w inną stronę, uświadamiając sobie, że jej policzki pokryły się ognistym rumieńcem.

- Wiem, że próbowałaś udawać obojętność - ciągnął Pierre. - Większość ludzi pewnie dałaby się zwieść, ale nie ja. Maddy, dobrze wiesz, że on się z tobą nie ożeni, a jeśli myślisz, że to robi, łudzisz się tylko. Wiem z pewnych źródeł, że wkrótce oświadczy się panie Annabel Bulford. - Gwałtownie pochwycił jej dłoń. - Zapomnij o nim, popatrz na mnie. Jestem tu i kocham cię nad życie.

- Przecież znasz mnie zaledwie od kilku tygodni. To zbyt krótko, byś mógł być pewien swoich uczuć. - Cóż, sama zakochała się w Duncanie Stanmorze w jeszcze krótszym czasie. Nie potrafiła się powstrzymać przed porównaniem tych dwóch mężczyzn. Obaj byli

przystojni i odznaczali się nienagannymi manierami, obaj byli miłymi towarzyszami i obaj byli hojni. Pierre nie mógł sobie pozwolić na wydawanie tylu pieniędzy co Duncan, ale gdyby była w nim zakochana, nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Wszystko sprowadzało się do jej uczuć, a pod tym względem nie było żadnego porównania. Duncan poruszał ją do głębi, sprawiał, że drżała z podniecenia i serce zaczynało jej bić jak szalone. Lecz nie tylko o to chodziło. Podziwiała też jego uprzejmość, empatię, delikatność wobec innych i intelekt, wszystko oprócz czasami dającej o sobie znać arogancji, ta jednak zapewne była cechą wrodzoną.

- Mam wrażenie, jakbym cię znał od zawsze.

- Pierre, wydaje mi się, że to nie mnie kochasz, lecz aktorkę. Valois westchnął dramatycznie.

- Łamiesz mi serce.

- I kto teraz jest aktorem? - zapytała ze śmiechem.

Pierre wrócił do równowagi zadziwiająco szybko. Przy wyjściu wylewnie pożegnał ich właściciel restauracji, który obliczał w głowie, ilu nowych klientów zyska dzięki temu, że wielka aktorka i jej przyjaciel zechcieli zaszczyścić swoją obecnością jego przybytek. Sprowadzono dorożkę i Pierre odwiózł Madeleine do domu. Na pożegnanie powiedział:

- Wiesz, że mówiłem poważnie. Zapomnij o tym, czego nie możesz mieć, i zgódź się na moją propozycję.

- Pomyślę o tym - odrzekła.

Duncan robił, co mógł, by nie myśleć o fiołkowych oczach, które wyrażały więcej, niż mogłyby to uczynić jakiegokolwiek słowa. W jednej chwili te oczy błyszczały wściekłością, a w następnej na długich, ciemnych rzęsach pojawiały się drżące jak diamenty łyzy. Oczywiście był to tylko aktorski trik, podobnie jak poruszająca historia o francuskim hrabi. Jedno i drugie miało na celu wzbudzenie w nim współczucia. Wykorzystała go, a on nie lubił być wykorzystywany.

Rzucił się w wir życia towarzyskiego. By wyrzucić Madeleine z myśli, chodził wszędzie tam, gdzie go zapraszano. Był najbardziej

pożądaną partią sezonu i pokazanie się w jego towarzystwie wprawiało w stan ekstazy młode panny, toteż zaproszenia w złotych ramkach napływały szerokim strumieniem.

Próbował traktować wszystkie dziewczęta jednakowo, ale stawało się to coraz trudniejsze. Rozeszły się plotki, że ubiega się o rękę panny Annabel Bulford, zapraszano ją więc na każdą imprezę, na której miał się pojawić młody Stanmore. Lavinia twierdziła, że lady Bulford naciska Annabel, by doprowadziła do oświadczyn. Duncan sądził, że mógł trafić gorzej, ale nie była to wielka pociecha ani też odpowiedni fundament dla szczęśliwego małżeństwa.

Gdy ujrzał Madeleine i jej przyjaciela na wieczorku u lady Graham, uświadomił sobie, że wszelkie wysiłki, by wyrzucić ją z myśli, na nic się nie zdały. Historia o hrabi rozniosła się szeroko i została uwiarygodniona przez fakt, że ostatni wielbiciel panny Charron był synem francuskiego emigranta.

Duncanowi ten młody człowiek wydał się zbyt ostentacyjny, zarówno w stroju, jak i w sposobie bycia, nie chciał jednak przyznać sam przed sobą, że jest uprzedzony. Zastanawiał się, czy Valois zna prawdę o pochodzeniu Madeleine. To samo pytanie zadawał sobie również Donald Greenaway.

Stali właśnie pośrodku Hyde Parku, w wielkim tłumie, który zebrał się, by popatrzeć na start balonu. Duncan zaproponował Lavinii, że zabierze z sobą jej dzieci, i w rezultacie przyszedł otoczony sporą gromadką. Oprócz dwójki latorośli jego siostry był tu także jego przyrodni brat Freddie, krępy dziewięciolatek i oczko w głowie księżnej, czternastoletni kuzyn Jack, który przyjechał do domu na letnie wakacje, oraz Andrew i Beth, dzieci Augusty, siostry Jamesa Corringhama.

Otoczony przez starsze dzieci, z dwójką najmłodszych siedzącą mu na ramionach, wyglądał jak bardzo zapracowana niańka, jak stwierdził Greenaway, który spotkał go tu przypadkiem. Major ze śmiechem uwolnił go od Jamiego, a wówczas Duncan posadził sobie Caroline na barana, dla bezpieczeństwa mocno trzymając ją za rękę.

- Myślałem o pannie Charron - rzekł major.

- Och - mruknął Duncan ostrożnie.  
- Zamierzam z nią porozmawiać.  
- Dlaczego? Chyba nie po to, by obnażyć jej kłamstwa?  
- Nie, ale patrzyłem wczoraj na ten portret i myślę, że miał pan rację. Rzeczywiście przypomina pannę Charron. Szansa jest niewielka, ale pomyślałem, że pokażę jej ten obraz. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- A dlaczego miałbym mieć?  
- Bo to może jeszcze bardziej uwiarygodnić jej historijkę o dziadku.

- Majorze, ma pan zadanie do wykonania, a jak się pan do tego zabierze, to już pańska sprawa. Nie sądzę jednak, by panna Charron mogła mieć jakikolwiek związek z angielskim arystokratą. Gdyby tak było, z pewnością już dawno by z tego skorzystała i francuski hrabia nie byłby jej do niczego potrzebny.

- To prawda. W tych okolicznościach raczej powinna trzymać się z dala od wszystkiego co francuskie. Czy myśli pan, że Valois zna prawdę?

- Nie mam pojęcia. To nie moja sprawa - odrzekł Duncan sucho i Donald zamilkł.

Przygotowania do wlotu balonu odbywały się na otwartej przestrzeni otoczonej sznurami. Balon był już niemal całkiem nadmuchany. Caroline, siedząca na ramionach Dunca-na, podskakiwała z podniecenia.

- Siedź spokojnie, Carrie - upomniał ją - bo spadniesz i zrobisz sobie krzywdę, a wtedy nie zobaczysz, jak balon wznosi się prosto do nieba.

Zajęty podsadzaniem małych kuzynów, by mogli zobaczyć wchodzących do kosza pasażerów, nie zauważył Madeleine. Ona jednak zauważyła jego. Stał obok majora Greenawaya w otoczeniu podnieconych dzieci i wyglądał na szczęśliwego człowieka. Był bez kapelusza. Mała dziewczynka, która siedziała na jego ramionach, potargała mu włosy i zostawiła ślady butów na zielonym zakiecie, on jednak w ogóle się tym nie przejmował. Serce Madeleine ścisnęło się

boleśnie. Wiedziała, że ten człowiek będzie kiedyś doskonałym ojcem i mężem, ale nie dla niej.

- Co to za dzieci? - zapytała przyjaciółkę, gdy balon, odprowadzany okrzykami widzów, wznosił się powoli ponad trawnik.

- Kto?

- Te obok markiza.

- Ten wysoki chłopak to Jack, syn brata księcia. Księżę i księżna adoptowali go. Ten drugi obok niego to Freddie, ich własny syn. Widzę jeszcze Andrew i Beth. To dzieci siostry hrabiego Corringhama, lady Augusty Harnham. A tych dwoje małych, które siedzą na barana, to Jamie i Caroline, dzieci lady Lavinii Corringham. James Corringham i Augusta to pasierb i pasierbica księżnej z jej pierwszego małżeństwa z ojcem hrabiego Corringhama. Wiedziałaś o tym?

- Nie miałam pojęcia.

- Cała rodzina pozostaje z sobą w bardzo bliskich stosunkach. Starsze dzieci poznałam, gdy brały udział w spektaklu, o którym ci opowiadałam. Uwielbiają markiza.

- Tak. - Madeleine zrozumiała, dlaczego rodzina była tak ważna dla Duncana. Z pewnością nigdy by się od niej nie odciął, nawet dla ukochanej kobiety. Nie miała żadnych szans.

Niektórzy z widzów pobiegli za balonem, by popatrzeć na lądowanie, balon jednak wznosił się wysoko ponad drzewa i niemal zniknął im z oczu. Inni wsiedli do powozów i próbowali za nim jechać, a pozostali zaczęli się rozchodzić. Duncan pożegnał majora i razem z dziećmi skierował się w stronę domu. Dopiero wtedy zauważył Madeleine. Ubrana w prostą suknię z różowego muślinu naszywanego jedwabnymi pączkami róż i w słomkowy kapelusz przewiązany różową wstążką wyglądała skromnie, lecz pięknie. Trudno było uwierzyć, iż zdolna jest do bezczelnego oszustwa, a jednak taka była prawda.

Przez chwilę patrzyli na siebie, niepomiernie otaczający ich tłum. Madeleine nie była w stanie poruszyć się choćby o krok.

Duncan z kolei nie mógł się uklonić, bo wciąż trzymał na ra-

mionach Caroline.

- Dzień dobry paniom - powiedział w końcu.

- Dzień dobry, milordzie - odrzekła Marianne z uśmiechem. -

Czyżby zamierzał pan otworzyć ochronkę?

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Dzieci są ogromnie wdzięczne, prawda? Jeśli się im zaufa, nigdy nie zawiodą. - Wskazał całą grupkę, nie spuszczać przy tym oczu z Madeleine. - To moja rodzina, fundament, na którym opiera się moje życie.

- Milordzie, posiadanie takiej rodziny z pewnością jest wielkim szczęściem - wykrztusiła w końcu Madeleine. - Widzę jednak, że dzieci zaczynają się niecierpliwić, nie będziemy więc pana zatrzymywać.

Duncan wiedział, że zasłużył sobie na taką odprawę. Jego uwaga o dzieciach i rodzinie była nieuprzejma. Madeleine nie miała żadnej rodziny i pewnie dlatego sobie ją wymyśliła. Czuł współczucie dla żebraków i złodziei, ale jej nie potrafił wybaczyć kłamstwa. Z drugiej strony wcale nie prosiła go o wybaczenie. Nie wyglądało na to, by czuła jakieś wyrzuty sumienia.

- W takim razie muszę panie pożegnać - powiedział z uśmiechem, który jednak nie dotarł do jego oczu.

- Do widzenia - powiedziała cicho Madeleine, patrząc, jak odchodzi, zgarniając całą gromadkę przed sobą.

Skręcili z Marianne przy Stanhope Gate. Miała ochotę się obejrzeć, ale szła ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, nonszalancko obracając w dłoni parasolkę.

- Lancelot postanowił, że to będzie ostatni tydzień „Straconych zachodów miłości” - oznajmiła Marianne. - Każdy, kto chciał zobaczyć tę sztukę, z pewnością już zdążył to zrobić.

- Pewnie tak, bo prawie zawsze był komplet. Co zamierza wystawić w następnej kolejności?

- Jeszcze nie podjął decyzji. Pytał mnie o zdanie.

- I co mu powiedziałaś? - Madeleine pomyślała, że oto dostała swoją szansę. Skoro sztuka schodziła z afisza, był to odpowiedni

moment na wyjazd. Potrzebowała trochę czasu, by zapomnieć o Duncanie i zbudować sobie nowe życie. Widok markiza w towarzystwie rodziny pomógł jej podjąć ostateczną decyzję. Pozostawanie w Londynie, gdzie w każdej chwili mogła przeczytać w gazecie o jego bliskim ślubie, byłoby nie do zniesienia.

- Powiedziałam, że powinniśmy na jakiś czas zrezygnować z Szekspira - mówiła Marianne. - Graliśmy jego trzy sztuki pod rząd i publiczności należy się odmiana. Sugerowałam farsę. Co o tym myślisz?

- Wszystko mi jedno. I tak mnie tu nie będzie.

- A dokąd się wybierasz?!

- Jeszcze nie wiem. Chyba wyjadę do jakiegoś teatru na prowincji.

- Czy mówiłaś już o tym Lancelotowi?

- Nie, ale skoro zamierza wystawić farsę, to pewnie się zgodzi.

Farsy nie są w moim stylu. Powiem mu, że potrzebuję odpoczynku.

- Nie będzie z tego zadowolony.

- Już podjęłam decyzję - stwierdziła Madeleine stanowczo.

- A co z Pierre'em? Oświadczył ci się już?

- Tak, i odrzuciłam go. Nic by z tego nie wyszło.

- Och, Maddy - westchnęła Marianne z desperacją. - Czy wciąż wzdychasz do markiza Risleya?

- Nie, to nie miałoby żadnego sensu. Po prostu czuję, że przydałaby mi się zmiana otoczenia.

- Bzdura. Nigdy nie grałaś lepiej niż teraz. Rozumiem cię jednak i myślę, że masz rację. Pomogę ci, jeśli tylko będę w stanie.

I tak oto, gdy major Donald Greenaway pojawił się w teatrze kilka dni później, usłyszał, że Madeleine wyjechała i nikt nie wie, dokąd.

- Nie ma jej? - powtórzył Duncan z osłupieniem. Major znalazł go w klubie, gdzie siedział samotnie, pogrążony w rozmyślaniach o swoim życiu i o przyszłości, która wydawała się zupełnie pusta. - Jak to jej nie ma?

- Sztuka, w której grała, zeszła z afisza i nie obsadzono jej w następnej. Opuściła teatr.

- Z tym Valois?



- Nie. Rozmawiałem z nim i on też niepokoi się jej zniknięciem. Owszem, znał prawdę o hrabi, choć nie powiedział mi nic ponad to, co i tak już wiedzieliśmy. Nie mogę sobie darować, że nie poszedłem tam wcześniej.

- Mówił pan przecież, że to jest strzał w ciemno.

- Lecz jednak jakiś strzał. Wróciłem do przeszukiwania dokumentów. Czy w więzieniu nie znalazł pan nikogo o nazwisku Cartwright?

- Do niczego nie doszedłem.

Aby zadowolić przyjaciela, Duncan spotkał się z jednym z najwyższej postawionych sędziów w kraju i uzyskał pozwolenie na wgląd we wszelkie dostępne dokumenty. Wiele godzin spędzonych nad listami nazwisk nie doprowadziło go do niczego, ale przynajmniej pozwoliło na jakiś czas oderwać myśli od Madeleine. Jednak ledwie wyszedł na ulicę, wspomnienie o niej znów zaczęło go to torturować, a teraz, gdy usłyszał, że zniknęła, poczuł się, jakby otrzymał mocny cios.

- Może to i lepiej - mruknął Donald. - Wolałbym nie mówić staruszkowi, że jego zięć był kryminalistą.

- Newgate nie jest jedynym więzieniem.

- Wiem - westchnął Donald. - A co z sierocińcem?

- Musi pan zapytać o to księżnej. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę pójść do domu i przebrać się. Dziś wieczorem jest bal u Bulfordów. Wybiera się pan?

- Nie jestem odpowiednim gościem dla tak świetnego towarzystwa - zadrwił major.

- Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie. Obawiam się, że to nie będzie szczególnie przyjemny wieczór.

Godzinę później Duncan w towarzystwie księcia i księżnej wsiadł do powozu. Przez drogę niemal się nie odzywał, pogrążony w myślach o czekającym go wieczorze. Musiał jakoś wyjaśnić Annabel i jej rodzinie, że nie zamierza się jej oświadczyć, a ponadto uczynić to tak, by nie zranić uczuć młodej panny. Wciąż na nowo układał w myślach odpowiednie słowa. Zarazem nie pojmował, jak mogło dojść

do takiej sytuacji. Nie okazywał Annabel niczego więcej ponad zwykłą uprzejmość, nigdy nawet nie wspomniał, że ma na widoku małżeństwo, dlaczego więc wszyscy wyciągnęli pochopne wnioski? Po rozmowie z ojcem wiedział, że Bulfordowie spodziewają się oświadczyn. Lord Henry i jego żona byli zdeterminowani wydać Annabel za mąż, nie zważając na jej uczucia. No cóż, dla niego jednak te uczucia były istotne. Małżeństwo z nim byłoby dla Annabel katastrofą, podobnie jak małżeństwo z jego ojcem było nieszczęściem dla jego matki.

Lordostwo Bulford w towarzystwie Annabel witali gości, stojąc na szczycie schodów. W tle słychać było muzykę.

W sukni z białej gazy na taftowej podszewce, przewiązanej w pasie białą szarfą, panna Bulford wyglądała bardzo młodo, choć biały kolor nie był szczególnie korzystny dla jej cery. Drugą szarfę wplecioną miała w jasne włosy. W niebieskich oczach malowała się troska.

Po wymianie powitań lady Bulford wskazała drzwi do sali balowej,

- Proszę wejść. My za chwilę dołączymy.

- Mój Boże, jaki tu tłok- zauważyła Frances, rozglądając się po przepełnionym pomieszczeniu - Zaprosili zbyt wielu gości. Wszyscy tu są. Duncanie, rozejrzyj się i spróbuj znaleźć jakiś wolny kąt, w którym moglibyśmy usiąść.

Duncan przepychał się przez tłum, wypatrując wolnych miejsc, gdy naraz ktoś pochwycił go za ramię. Odwrócił się i zobaczył swoją siostrę i szwagra.

- Usiądziecie z nami. - Lavinia wskazała na sofę. - Właśnie omawialiśmy najświeższe plotki.

- Mogłem się tego domyślić, siostrzyczko. Skoro macie wolne miejsca, to pójdę po mamę.

- Rozmawia właśnie z lordostwem Graham i na pewno nie zechce usiąść, dopóki nie usłyszy wszystkich nowinek, a ojciec gdzieś zniknął. Siadaj. Kiedy zaczną się tańce, skończy się okazja do rozmowy.

- Wygląda na to, że będziemy tańczyć w ścisku - rzekł James. -  
Wolę zagrać w karty.

- Z pewnością tego nie zrobisz - oświadczyła jego żona kategorycznie, stukając go w ramię wachlarzem. - Czy słyszałeś już ostatnie wieści? - spytała brata.

- Nie, ale zaraz je usłyszę od ciebie.

- Panna Charron zniknęła. Jednego wieczoru jak zwykle brała udział w spektaklu, a następnego już nikt jej nie widział. Aktorka, która weszła na *jej* miejsce, grała tak okropnie, że wygwizdano ją i zmuszono do zejścia ze sceny. Publiczność obrzuciła ją skórkami z pomarańczy.

Duncan uśmiechnął się na wspomnienie złości Madeleine, gdy przydarzyło jej się to samo.

- Zapewne pan Greatorex uznał, że potrzebny jest jej wypoczynek.

- Być może, ale gazety piszą o tajemniczym zniknięciu największej gwiazdy Covent Garden w taki sposób, jakby było w tym coś niejasnego. Twierdzą, że to niemożliwe, by wyjechała z własnej woli, skoro dotąd nigdy nie opuściła przedstawienia, i że nie miała żadnego powodu, by wyjeżdżać. Była ulubienicą sceny londyńskiej i zarabiała setki funtów rocznie. Piszą jeszcze, że poszukuje jej policja, a pewnego znanego detektywa poproszono, by włączył się do śledztwa. Na pewno chodzi o majora Greenawaya. Tylko mi nie *mów*, że o tym nie wiedziałeś!

- Słyszałem, że zniknęła, ale cała reszta to tylko wymysły.

- Nic dziwnego, że milord tak mówi, skoro pomaga majorowi w dochodzeniu.

Zaskoczony Duncan podniósł wzrok i ujrzał obok siebie Annabel. Nie miał pojęcia, jak długo słuchała tej rozmowy. Podniósł się i skłonił głowę.

- Nie ma w tym nic dziwnego - mówiła dalej. - Maddy pojawiła się znikąd, została naszą pomocą kuchenną, a potem zniknęła na całe lata. Teraz znów się pojawiła jako znana aktorka i znów zniknęła. Zastanawiam się, jaka będzie jej kolejna metamorfoza.

- Nie mam pojęcia - rzekł Duncan. Czuł się nieswojo pod

niewinnym spojrzeniem Annabel.

- Wtedy była dzieckiem, chudziutkim jak tyczka, mizernym, bladym. A teraz? Doskonale panuje nad sobą i jak pięknie potrafi mówić! Nigdy bym nie uwierzyła, że to ona, gdyby Hortense nie przypomniała sobie jej twarzy.

- Czy wówczas też nazywała się Charron? - zapytał James, nie zauważając zmieszania Duncana.

- Tak. Przybyła do nas z sierocińca.

- Z którego? - indagował zaaferowany Duncan.

- Nie pamiętam, milordzie, byłam wtedy bardzo mała, ale wczoraj wieczorem, gdy o tym rozmawialiśmy, Hortense powiedziała, że to był sierociniec, któremu patronuje księżna, tylko że wtedy nie mieścił się przy Maiden Lane.

- Cóż za niezwykły zbieg okoliczności. - Lavinia popatrzyła na Duncana, który nie był w stanie słuchać tego dalej.

Wyciągnął rękę do Annabel.

- Panno Bulford, muzyka zaczyna grać. Czy zechce pani ze mną zatańczyć?

- Och tak, oczywiście. - Przyjęła jego dłoń. Poprowadził ją na parkiet, gdzie tancerze gromadzili się do ludowego tańca. Po jego zakończeniu Duncan poprowadził Annabel w stronę brata i szwagierki. Zauważył, że jej twarz była mocno zaróżowiona.

- Czy nie jest pani za gorąco? - zapytał Annabel. - Sala jest bardzo zatłoczona.

- Dorothy koniecznie chciała zaprosić wszystkich znajomych. Wolałabym, żeby tego nie robiła.

- Dlaczego?

- Milordzie, czy naprawdę nie potrafi się pan domyślić? Duncan zmartwił.

- Czyżby oczekiwała... - Urwał i po chwili dokończył: - Czy spodziewa się, że ktoś się pani dzisiaj oświadczy?

- Tak, sądzę że tak. - Annabel zarumieniła się aż po korzonki włosów. - Z pewnością milord sam o tym wie.

Wyprowadził ją z sali na galerię. Było tu nieco chłodniej, a do tego

pusto, choć ich wyjście zostało zauważone. Milczeli długą chwilę, wreszcie Duncan powiedział:

- Panno Bulford, nie mam pojęcia, co powinienem teraz zrobić. Annabel zaśmiała się nerwowo.

- Nie mogę udzielić panu żadnych wskazówek, bo ja sama jeszcze mniej wiem o tym, jak należy postępować w takich sytuacjach.

- To nie to, że nie znam zasad, ale... Moim zdaniem oświadczyzny powinny wypływać z głębi serca, a jeśli mężczyzna nie potrafi szczerze położyć na nim ręki i wyznać: „kocham”, to powinien milczeć.

- Och.

- Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Tak, ale wątpię, by Henry zrozumiał. Powiedział mi, że wszystko już ustalone... że rozmawiał z księciem i doszli do porozumienia.

Duncan wysnuł zupełnie inne wnioski z rozmowy Bulforda z księciem, ale pominął to milczeniem.

- Panno Bulford, to, czy pani brat i mój ojciec doszli do porozumienia, czy też nie, nie ma żadnego znaczenia. Czy naprawdę sądzi pani, że o szczęściu lub jego braku dwóch dorosłych i niezależnych osób powinni decydować dwaj mężczyźni nad butelką porto?

- Milordzie, pan może jest niezależny, ale ja nie. Henry obiecał, że znajdzie mi dobrego męża, a ja muszę się ugiąć pod jego władzą, bo jest moim opiekunem. Zwykle tak się to odbywa.

- Jednak nie wygląda pani na uszczęśliwioną tym stanem rzeczy.

- Henry mówi, że szczęście przyjdzie później. - Annabel zaczerwieniła się.

Duncan poczuł dla niej współczucie.

- A pani mu wierzy?

- Muszę, bo inaczej nie mogłabym tego znieść.

- Znieść? Cóż to za niezwykle słowo w połączeniu z perspektywą małżeństwa. Małżeństwa nie powinno się znosić. Powinno być źródłem radości, uniesień, zachwyty, że jest się kochanym, a także pragnieniem, by uszczęśliwić drugą osobę. Nigdy nie powinno

opierać się na jednostronnym posłuszeństwie, nawet jeśli wysoko ceni się osobę, która podejmuje decyzję. Panno Bulford, czy propozycja małżeństwa z mojej strony byłaby czymś, co musiałaby pani znieść?

Wpatrzyła się w swoje buty, milczała. Duncan dłonią uniósł jej twarz, by na nią spojrzeć.

- Proszę powiedzieć mi prawdę. Całą.

- Milordzie, ja... Tak, sądzę, że właśnie tak. Nie wyobrażam sobie siebie w roli żony markiza, nie wspominając już o księciu, a do tego prowadziłoby to małżeństwo. Henry mówi, że nie musiałabym nic robić, tylko wyglądać ładnie, ale wiem, że nie tylko o to chodzi i...

- I?

- Nie potrafię położyć ręki na sercu i powiedzieć, że pana kocham. Tak samo jak pan nie potrafi powiedzieć tego mnie. Tylko bardzo się boję...

- Kogo? Mnie? - zapytał zaskoczony.

- Henry'ego. Zezłości się, będzie mnie obwinił za to, że...

- Panno Bulford... Annabel. Proszę nie myśleć o swoim bracie, tylko o własnym szczęściu. Wezmę na siebie rozmowę z lordem Bulfordem.

- Och, naprawdę pan to zrobi?

W jej głosie brzmiała taka ulga, że Duncan musiał się uśmiechnąć.

- A teraz wróćmy do środka. Nasza nieobecność zanadto się przedłużyła.

Podał jej ramię i poprowadził do sali balowej, doskonale świadomy, że każdy ich krok jest obserwowany przez setki oczu. Doszli do miejsca, gdzie siedział lord Bulford w towarzystwie żony i Hortense.

- No i cóż? - zapytała lady Bulford, z trzaskiem zamykając wachlarz. - Czy możemy już gratulować?

- Obawiam się, pani, że nie.

Gwałtownie zwróciła się w stronę Annabel, z trudem hamując wściekłość.

- Chyba nie byłaś na tyle głupia, by odrzucić oświadczenia!

- Proszę nie winić panny Annabel - przerwał jej Duncan. -  
Doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie. Ta decyzja została  
podjęta wspólnie.

- Czy to znaczy, że w ogóle nie zaproponował pan małżeństwa? -  
wykrzyknęła lady Bulford, wywołując ogromnie zaciekawienie  
wśród gości. - Henry, zrób coś! Ten człowiek jest łajdakiem.  
Doprowadził niewinną, dobrze wychowaną pannę do tego, że  
oczekiwała oświadczyn, a potem stchórzył przed podjęciem  
ostatecznego kroku! - Jej oczy ciskały gromy. - Powinien się pan  
wstydzić, milordzie!

- Cicho bądź, Dorothy - uspokajał ją mąż, a potem powiedział  
cicho do Duncana: - Risley, sądzę, że należą nam się wyjaśnienia, ale  
za bardzo zwracamy na siebie uwagę. Może zechcesz pójść ze mną.

Duncan rzucił Annabel uspokajający uśmiech i poszedł za jej  
bratem.

Gdy znaleźli się w zacisznej bibliotece, Henry zmierzył markiza  
wzrokiem, w którym błyszczała zimna wściekłość.

- Czekam na wyjaśnienia, sir.

- Jakie wyjaśnienia, lordzie Bulford? Powiedziałem już przecież, że  
wspólnie z panną Annabel doszliśmy do wniosku, iż nie pasujemy do  
siebie.

- Chcesz raczej powiedzieć, że ty ją o tym przekonałeś, a ona jest  
tylko uległą panienką i nie odważyła się ci przeciwstawić. W takim  
razie ja to zrobię. Rozpowiem całemu światu, że zerwałeś  
oświadczyni.

- Do diabła, nie było żadnych oświadczyn, więc jak mogłem je  
zerwać? Nigdy nie powiedziałem niczego, z czego można by  
wnioskować, że zamierzam się oświadczyć. Wiedz też, Bulford, że  
panna Annabel odczuła wielką ulgę. Jedyne lęk przed karą z twojej  
ręki skłoniłby ją do przyjęcia mojej propozycji, gdybym ją złożył.

- Bzdury. Jestem opiekunem tej dziewczyny i moim obowiązkiem  
jest prowadzić ją w życiu.

- Więc ją prowadź, ale nie zmuszaj do niczego, bo inaczej będę  
musiał uwierzyć, że jej szczęście bardziej leży na sercu mnie niż

tobie.

Baron wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji. Jego okrągła twarz spurpurowiała. Z trudem szukał słów, by odparować atak.

- Cały świat o tym usłyszy - powtórzył. - Pańskie nazwisko zostanie zhańbione.

- Nie wydaje mi się - odrzekł Duncan spokojnie, choć czuł pewną obawę. Gdyby Bulford spełnił swoją groźbę, mógłby mieć poważne kłopoty, łącznie z wykluczeniem z towarzystwa. - Sądzę, że pańska reputacja może ucierpieć na tym bardziej niż moja.

Reakcja barona była zupełnie nieoczekiwana. Opadł ciężko na fotel, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. Twarz miał kredowobiałą. Naraz Duncanowi przyszło do głowy, że lord Bulford ma do ukrycia coś wstydliwego i sądzi, że on o tym wie. Co oczywiste, rozbudziło to jego ciekawość.

- Ta bezczelna dziwka kłamie - rzucił Bulford ze złością.

- O, rzeczywiście? - zdziwił się Duncan łagodnie, sugerując tonem, że świetnie wie, o co chodzi.

- Rzeczywiście. Nie wiem, co panu powiedziała, ale może pan być pewny, że to wymyśliła. Widocznie miała wobec pana jakieś oczekiwania i z tego powodu chciała zniszczyć nadzieje Annabel. Chyba sam jest pan to w stanie dostrzec.

- Doprawdy?

- Riskey, dlaczego pan udaje głupiego? Przecież ona jest aktorką i doskonale potrafi udawać.

Chodziło więc o Madeleine. Co za tajemnicę znała, która tak bardzo wystraszyła barona? Na usta Duncana wypłynął powolny uśmiech.

- Może być pan pewien, lordzie Bulford, że cokolwiek mi powiedziała, nie ma to żadnego wpływu na mój wybór przyszłej żony - rzekł stanowczo.

Henry znów otarł czoło.

- Nie, naturalnie, że nie. Obaj dobrze wiemy, że ona kłamie. Wszystkie te bzdury o francuskim hrabi...



To było już niebezpiecznie bliskie prawdy. Duncan pomyślał, że musi jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, zanim udusi tego człowieka.

- A jakie to ma znaczenie dla sedna sprawy?

- Ma pan rację. Żadnego. - Bulford próbował wziąć się w garść. - Rozmawialiśmy o pańskich zaręczynach z moją siostrą.

- Nie, nie o tym rozmawialiśmy, lecz o przyczynach, dla których te zaręczyny nie mogą dojść do skutku.

- Widzę, że pomyliłem się co do życzeń Annabel.

- Doskonale. W takim razie możemy zakończyć tę rozmowę. -

Duncan obrócił się do wyjścia. - A jeśli usłyszę, że dokuczał pan swojej siostrze, to może być pan pewny, że będę wiedział, co zrobić.

Z tymi słowami wyszedł. Groził baronowi, nie wiedząc, czym mu właściwie grozi. Madeleine wiedziała, ale Bóg jeden wie, gdzie się teraz podziewa. Zresztą i tak niczego by mu nie zdradziła...

Wrócił do sali i odnalazł swoją rodzinę.

- O, jesteś, Duncanie - powiedziała macocha. - Długo cię nie było. Cała sala kipi od plotek.

- Przykro mi, mamó. Za nic na świecie nie chciałbym cię narazić na zakłopotanie.

- A więc nie oświadczyłeś się?

- Nie. Annabel nie chciała tych zaręczyn tak samo jak ja. Brat próbował ją do tego zmusić, ale udało się nam osiągnąć porozumienie.

- Rozstaliście się w przyjaźni?

- W takim stopniu, w jakim to możliwe z kimś takim jak lord Bulford. Przyszedłem powiedzieć wam, że już wychodzę, i niech wszyscy plotkują, ile tylko zechcą.

- Chyba tak będzie najlepiej. Zostaniemy jeszcze kilka minut, żeby zachować pozory.

Duncan podszedł do panny Bulford i skłonił się przed nią nisko.

- Uniżony sługa, panno Annabel. Cokolwiek pani zrobi, życzę pani szczęścia.

Uśmiechnęła się dzielnie.

- Odprowadzę pana do drzwi, milordzie.

Skłonił się przed lady Bulford i Hortense, potem podał ramię Annabel. Na oczach wszystkich poszli powoli do podwójnych drzwi prowadzących na galerię.

- Przykro mi, że znalazła się pani w takiej sytuacji.

- To nie przez pana, tylko przez mojego brata. I ogromnie się cieszę, że miał pan odwagę powiedzieć mi prawdę.

- Przeciwnie, to pani wykazała się odwagą.

- I co Henry powiedział?

- Niezbyt wiele. Wyjaśniłem mu wszystko i zgodził się, że nie pasujemy do siebie.

- Nie próbował pana zastraszyć? Duncan uśmiechnął się przelotnie.

- Nie, i sprawa jest już zamknięta. Jeśli woli pani powiedzieć wszystkim, że to pani odrzuciła moje oświadczenia, nie mam nic przeciwko temu. Zamierzam wkrótce wyjechać z Londynu. Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć w rodzinnej posiadłości w Derbyshire. Jeśli towarzystwo uwierzy, że wyjechałem, by leczyć złamane serce, tym lepiej.

Zatrzymali się przy drzwiach. Duncan ucałował dłoń Annabel, potem szybko zbiegł ze schodów i wyszedł na chłodne nocne powietrze. Zamierzał odszukać Madeleine. Nie potrafił bez niej żyć. Stawi czoło złośliwym plotkom, stawi czoło niezadowoleniu ojca i macochy. Nie pozwoli, by ktokolwiek lub cokolwiek stanęło na drodze jego małżeństwa z kobietą, którą naprawdę kochał.

Lecz gdzie miał jej szukać? Panna Doubleday musiała coś o tym wiedzieć. Było zbyt późno na wizytę, jutro zjawi się więc w teatrze.

Bez względu na to, gdzie była teraz Madeleine, musiał po nią pojechać.

Marianne jednak nie wiedziała albo udawała, że nie wie, dokąd wybrała się jej przyjaciółka.

- Powiedziała tylko, że potrzebuje zmiany otoczenia, milordzie. Na pewno wróci w swoim czasie.

- To mi nie wystarczy. Muszę ją odnaleźć już teraz.

- Dlaczego?
- Dlaczego? - Duncan spojrział na Marianne, jakby była niespełna rozumu. - Dlaczego mężczyzna szuka kobiety, którą kocha?
- Kocha... Czy naprawdę pan ją kocha, milordzie?
- Naprawdę.
- Wierzę panu - powiedziała po dłuższej chwili - ale ona nigdy nie zgodzi się zostać pańską utrzymanką.
- Wiem. Mówiła mi to wiele razy. Nie potrafię uwierzyć, że tak po prostu zniknęła. Ktoś przecież musi coś wiedzieć. Czy słyszała pani plotki o tym, że policja jej szuka?
- Doprawdy? - Roześmiała się. - Cóż za bzdura, choć przyznaję, że pytał o nią major Greenaway. Myślałam jednak, że to pan go przysłał.
- Nie. Major szuka pewnej osoby i ma nadzieję, że Madeleine mu w tym pomoże.
- Wspominał mi o tym. Miał z sobą portret.
- Widziała go pani?
- Tak. Przyznaję, jest pewne podobieństwo, szczególnie w oczach, jednak nie może to mieć żadnego związku z Maddy.
- Skąd ta pewność?
- Bo wiem, że jej historia jest prawdziwa.
- Nie mówi pani chyba o hrabi?
- Przecież pan wie, że to była mistyfikacja. Wiem od Madeleine, że wyznała panu oszustwo. Jednak cała reszta jest prawdą.
- To znaczy sierociniec i praca u Bulfordów?
- Tak.
- Co tam się wydarzyło?
- O to będzie pan musiał zapytać Madeleine.
- Jeśli ją znajdę.
- Wiem tyle, że Bulfordowie wyrzucili ją z domu, lecz co tam naprawdę zaszło... W każdy razie musiało to być coś okropnego, bo wzbudziło w Maddy awersję do arystokracji. Przez lata marzyła o tym, by zemścić się na wyższych sferach. Chciała zostać damą, zdobyć wysoką pozycję na salonach, zyskać szacunek i znaczenie w londyńskich salonach. Wymagało to artystycznego kunsztu,

najwyższej maestrii aktorskiej, zadanie w sam raz dla Maddy.

- Co by przez to osiągnęła?

- Pławiłaby się w świadomości, że skacze na czterech łapkach wokół córki krawcowej i byłej podkuchennej. Drwina, milordzie. Myślę, że chodziło jej o to, by z was zadrwić. Im kto wyżej, tym bardziej drwina go boli, w jakimś sensie zabija.

- I wykorzystała mnie do tego celu - rzekł Duncan z jawną goryczą.

- Kłopot w tym, milordzie, że gdy poznała pana, wszystko się zmieniło. Odkryła, że nie wszyscy arystokraci są łajdakami i tyranami.

- Miło mi to słyszeć... - Czuł zamęt w głowie. Niewątpliwie coś spotkało Madeleine z rąk Henry'ego Bulforda. Łatwo się domyślić, co takiego. Niektórzy dżentelmeni uważali, że pomoc kuchenna to łatwa zdobycz, a baron na kogoś takiego wyglądał. Czy Madeleine uległa? Czy udało mu się zmusić ją do tego? Jeśli tak, oznaczało to, że... Nie, nie był w stanie o tym myśleć.

- Zakochała się w panu. Prześladowały ją wyrzuty sumienia, poczucie winy i świadomość, że zawiodła pańskie oczekiwania. Powiedziała, że petarda, którą stworzyła, wybuchła jej w rękach. Dlatego właśnie wyjechała i sądzę, że powinien pan zostawić ją w spokoju, by doszła do siebie. - Gdy Duncan nie odpowiedział, Marianne dodała: - Muszę iść na próbę. Proszę wybaczyć, milordzie, ale opuszczę pana.

Wyszedł z teatru zniechęcony. Czy Marianne miała rację? Czy powinien się poddać i pogodzić z tym, że Maddy jest już dla niego stracona? Jak jednak miał się pozbyć cierpienia i tęsknoty, które tylko ona mogła złagodzić?

## *Rozdział dziesiąty*

Arabella Cartwright podbiła York jak burza. Wielbiciele teatru, przywykli do tego, że najlepsze aktorki, gdy tylko nabiorą nieco szlif, natychmiast wyjeżdżają do Londynu, przyjęli ją niczym świeży powiew wiatru. Już od pierwszego występu w marnej tragedii była hucznie fetowana i teatr zyskał nieznaną dotychczas popularność.

Cieszyła się, że ceni się jej kunszt aktorski, a nie pannę Madeleine Charron, znaną jako jedno z największych odkryć Lancelota Greatoreksa. Wychwalano ją pod niebiosa i uznano za najlepszą aktorkę dramatyczną, jaką widziano w tej części Anglii od lat. Łatwo jej było grać tragiczną heroinę, gdy sama miała złamane serce. Wystarczyło tylko, by pomyślała o Duncanie, o tym, jak go zdobyła, a potem straciła, by do jej oczu napływały szczere łzy, przez co jej sztuka wznosiła się na nieznane dotychczas poziomy.

Zastanawiano się powszechnie, skąd się tu wzięła. Nie terminowała, nie walczyła przez kilka sezonów o uznanie, lecz po prostu objawiła się jako absolutnie wybitna artystka. Szanse znalezienia odpowiedzi na to i inne pytania były jednak nikłe, bowiem Madeleine po każdym przedstawieniu natychmiast zniknęła. Nie brała udziału w życiu towarzyskim, nie pokazywała się u boku innych aktorów ani widzów, którzy po spektaklu tłoczyli się za kulisami. Otaczała ją mgła tajemnicy.

Nauczyła się jednak swojej lekcji. Nie wymyślała żadnych historyjek, nie wspominała o przodkach, a już szczególnie o dziadku. Gdy ubiegała się o pracę, powiedziała tylko, że została aktorką, ponieważ musiała zarabiać na życie, i okazało się, że jest w tym dobra. Prosiła o szansę, by mogła dowieść swych umiejętności. Tak się szczęśliwie złożyło, że jedna z aktorek zachorowała i potrzebne było zastępstwo, toteż po wysłuchaniu monologu z „Romea i Julii” kierownictwo teatru zaproponowało jej tymczasowe zatrudnienie.

Na wypadek, gdyby wieści o Madeleine Charron dotarły aż do Yorkshire, wróciła do prawdziwego nazwiska Cartwright, a imię

wzięła po matce. Zresztą nie spodziewała się, by ktoś jej tu szukał. Duncan zapewne był już zaręczony z panną Annabel Bulford, którą powszechnie uważano za stosowną partię.

Za każdym razem, gdy o tym pomyślała, ogarniał ją histeryczny śmiech. Annabel nie była od niej piękniejsza, bardziej wyrafinowana ani lepiej wykształcona, Madeleine znacznie przewyższała ją pod wszystkimi tymi względami. Miała jednak coś, co było najważniejsze: odpowiednie pochodzenie.

Powtarzała sobie wciąż na nowo, że skoro markiza Risleya interesował tylko rodowód kandydatki na żonę, to dobrze, że się go pozbyła. Może zrobiła błąd, uciekając z Londynu, bo okazała w ten sposób, jak bardzo czuje się zraniona, a nie miała ochoty karmić jego próżności. Myśl o powrocie do stolicy wzbudzała w niej jednak panikę. Nie mogła tam wrócić, jeszcze nie teraz. Może kiedyś.

Sezon towarzyski dobiegał końca. Londyn pustoszał, również Duncan nie mógł się już doczekać, kiedy opuści gwarne miasto. Tęsknił do spokoju i ciszy, pragnął wreszcie znaleźć się w Derbyshire. Chciał zająć się posiadłością, która praktycznie przeszła już pod jego zarząd, bowiem księcia coraz bardziej absorbowała polityka. W Derbyshire Duncan mógł jeździć konno, polować, łowić ryby, pomagać w zwożeniu plonów z pól oraz zabawiać kuzyna i młodszego brata aż do ich powrotu do szkoły jesienią. Tam zapewne udałoby mu się znaleźć jeśli nie zadowolenie z życia, to chociaż spokój umysłu.

Pod koniec lipca ogłoszono zaręczyny panny Annabel Bulford z Benedictem Willoughbym. Dla Duncana była to zupełna niespodzianka. Z całego serca życzył im szczęścia i uroczyście pouczył przyjaciela o odpowiedzialności, jaką na siebie bierze. Benedict skwitował to śmiechem.

- Dobrze sobie, Stanmore. Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Wiem, że to urocza dziewczyna i zasługuje na wszystko, co najlepsze.

- To znaczy na ciebie. Przykro mi, że przeżyłeś rozczarowanie, ale tym razem to ja jestem górą.

- To prawda. - Henry Bulford dopilnował, by wszyscy się dowiedzieli, że to Annabel odrzuciła jego oświadczenia, on zaś nie miał najmniejszego zamiaru zaprzeczać. - I cieszę się z twojego szczęścia.

- Ślub odbędzie się w Londynie w kwietniu. Czy zechcesz być moim drużbą?

- Z największą przyjemnością.

Nigdy wcześniej nie zazdrościł niczego Benedictowi, teraz jednak ogarnęła go tak głęboka rozpacz, że pożegnał się jak najszybciej i wyszedł. Chciał zostać sam. Zrobił to, co robił zawsze, gdy trapiły go problemy: wybrał się do Newgate, by porozmawiać z więźniami i sprawdzić, w jaki sposób może im pomóc. Te wizyty zawsze uświadamiały mu, jak wielkim jest szczęściarzem. Miał wszystko, czego tylko można sobie życzyć, z wyjątkiem kobiety, którą kochał. Prześladowała go myśl, że Madeleine zaznała przemocy z ręki Henry'ego Bulforda; na tę myśl ogarniała go bezgraniczna wściekłość i zaczynał rozumieć przyczyny, jakie mogą uczynić z człowieka mordercę.

Spędził dwie godziny na rozmowach z więźniami. Zorganizował im dodatkowe posiłki, zapłacił za uwolnienie niektórych z nich z kajdan i wreszcie uspokoił się nieco. Jak zwykle wypytywał wszystkich, czy nie spotkali się gdzieś z nazwiskiem Cartwright, choć zastanawiał się przy tym, dlaczego wciąż prześladowuje go myśl o córce wicehrabiego Armitage'a, skoro jest jeszcze jedna zaginiona osoba, bliższa jego sercu, którą również pragnął odnaleźć.

Madeleine musiała opuścić Londyn wynajętym powozem. Wypytywał na wszystkich postojach w Londynie, ale nikt jej nie zapamiętał. Zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu i Duncan zaczął się zastanawiać, czy przynajmniej niektóre z plotek dotyczących jej zniknięcia mogły być prawdziwe. Może stało się coś złego?

Zrobił dla więźniów wszystko, co mógł. Na koniec poradził jednemu z nich, który odsłużył już wyrok, by poszedł na Bow Street i poszukał pomocy w znalezieniu pracy, po czym wyruszył do domu.

Przeszedł przez Fleet Street i zmierzał przez Strand w stronę Charing Cross, gdzie mieściła się popularna gospoda Golden Cross. Duncan zatrzymał się, by popatrzeć na konie zaprzęgane do powozów i ładowanie bagaży, wreszcie wszedł do środka, by jeszcze raz zapytać o Madeleine. Może od czasu jego ostatniej wizyty ktoś wreszcie sobie coś przypomniał?

Naraz dojrzał Donalda Greenaway. Major miał na sobie strój podróźny.

- Co pan tu robi, Stanmore? - zdziwił się. - Myślałem, że wyjechał pan już na wieś.

- Jeszcze nie. Ojca zatrzymują sprawy rządowe. Dokąd się pan wybiera?

- Jeden z moich wywiadowców powiadomił mnie, że w Yorku pojawiła się aktorka o nazwisku Arabella Cartwright.

- Kolejny strzał w ciemno?

- Jak często bywa w moim zawodzie, ale tak właśnie brzmiało jej nazwisko. Arabella Cartwright, z domu Arabella Armitage. Czuję w kościach, że to właśnie ona.

- W takim razie życzę powodzenia.

- Od czasu naszej ostatniej rozmowy dowiedziałem się, co zaszło, gdy państwo Cartwright wyprowadzili się z St Albans. Jego wysłano do Indii, gdzie zmarł na febrę w tysiąc osiemset trzecim roku. Wydaje się więc, że wyklucza to wszelkie pokrewieństwo z panną Charron, bo jej ojciec zginął na wojnie z Napoleonem. Tak chyba mówiła?

Duncan miał ochotę powiedzieć, że jeśli skłamała w jednej sprawie, to równie dobrze mogła kłamać w innej, ale powstrzymał się od komentarza. Teraz to już nie miało żadnego znaczenia.

- Tak właśnie mówiła, majorze.

- Z tego wynika, że pani Cartwright szybko została wdową i musiała jakoś zarabiać na życie. Jeśli ta aktorka w Yorku jest Arabella Armitage, to czy nie wydaje ci się dziwne, że uprawia ten sam zawód co panna Charron?

- Rzeczywiście, masz rację, zarazem jednak osoby wysoko



urodzonej raczej nie pociągałaby praca fizyczna, na przykład jako służąca. Jeśli miała trochę odwagi i mocny charakter, to nie odpowiadałaby jej też posada damy do towarzystwa, zdanej na kaprysy jakiejś staruszki. Natomiast aktorstwo pozwoliłoby jej zachować trochę godności. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Pojadę z panem.

- Dlaczego?

- Z czystej ciekawości. - Wzruszył ramionami, nie przyznając nawet przed sobą, że może chodzić o coś więcej.

- Poza tym nie mam nic innego do roboty. Londyn pustoszeje z dnia na dzień, a wielu spośród tych, którzy zostają w mieście przez cały rok, zasłoniło okna żaluzjami, udając, że mają wiejskie domy, do których wyjechali. Lady Willoughby robi tak co roku, chociaż nikt się na to nie nabiera, w tym włamywacze. Ci zawsze wiedzą, kiedy dom jest naprawdę pusty.

- Innymi słowy, nudzi się pan - skomentował major ze śmiechem. - Bardzo byłbym rad z towarzystwa, ale dyliżans odjeżdża za pięć minut, a nie mogę czekać, bo obawiam się, że ona znów zniknie.

- W takim razie nie będę pana zatrzymywał. Zresztą i tak powinienem wyjechać do Loscoe Court przed resztą rodziny, więc nie bardzo mógłbym ruszyć z panem, ale proszę mnie zawiadomić, co udało się panu odkryć.

Donald obiecał to solennie, po czym się rozstali. Jeden wsiadł do dyliżansu, mając nadzieję, że wreszcie zakończy poszukiwania, drugi zaś wrócił do domu, gdzie wynudził się jak mops na wieczorku muzycznym swojej macochy.

Po spektaklu przed budynek teatru wyległ gęsty tłum. Wszyscy szukali dorożek albo przywoływali swoje powozy. Madeleine z trudem przepychała się między ludźmi. Zaproszono ją na przyjęcie, ale odmówiła. Rola tragicznej heroiny emocjonalnie kosztowała ją zbyt wiele i marzyła tylko o tym, by wrócić do siebie, samotnie zjeść kolację i pójść do łóżka.

Gdyby Marianne widziała ją teraz, na pewno zbeształaby ją za słabość. „Nigdy nie dojdiesz do siebie, jeśli nie będziesz poznawała

nowych ludzi". Niemal słyszała te słowa, ale nie była jeszcze gotowa, by wyjść do świata. Najpierw musiała nauczyć się żyć w samotności, nie tęskniąc do kogoś, kogo nie mogła mieć, i ze świadomością, że do tej sytuacji doprowadziły ją własne kłamstwa.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że jeden z wielbicieli, widocznie bardziej uparty od pozostałych, idzie za nią przez ciche uliczki za teatrem, gdzie znajdowało się jej mieszkanie.

Przypuszczała, że to wielbiciel, jednak równie dobrze mógł to być napastnik, toteż przyśpieszyła kroku.

- Pani Cartwright, proszę zaczekać! - Ten głos nie brzmiał jak głos złodzieja, a poza tym skąd złodziej miałby znać jej nazwisko?

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Donaldem Greenawayem.

- Majorze, co pan tu robi?

Nie widział spektaklu, był więc równie zaskoczony. Spodziewał się, że zobaczy przed sobą kobietę w średnim wieku.

- Dobry Boże! Panno Charron, to pani?

- Tak, a kogo się pan spodziewał? Dlaczego nazwał mnie pan panią Cartwright?

- To długa historia i nie mogę jej opowiedzieć na ulicy. Jeśli zechce pani pójść do mojego hotelu i zjeść ze mną kolację, z przyjemnością wszystko wyjaśnię.

- Czy to markiz Risley pana przysłał? - zapytała ostrożnie.

- W żadnym razie. Markiz nie ma pojęcia, że Arabella Cartwright i Madeleine Charron to ta sama osoba. Zresztą ja też przekonałem się o tym dopiero przed chwilą. Gdyby Stanmore o tym wiedział, na pewno przyjechałby tu ze mną.

- Wątpię. Zapewne czyni już przygotowania do ślubu.

- Nic nie wiem o żadnym ślubie. To, co mam pani do powiedzenia, nie ma nic wspólnego z markizem Risleyem i jeśli sobie pani życzy, nawet mu nie wspomnę o naszym spotkaniu.

- Spojrzał na nią. Fiołkowe oczy rozjaśniły się na chwilę, gdy wspomniał, że nie wie nic o ślubie, potem jednak znów pojawiła się w nich ostrożność, jakby panna Charron obawiała się, że major chce ją wciągnąć w pułapkę. - Zgadza się pani? Ciekawość zwyciężyła.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że to nie potrwa długo. Jestem bardzo zmęczona.

Po chwili dotarli do gospody Pod Gwiazdą, gdzie zasiedli w ustronnym kącie, by swobodnie porozmawiać.

- No dobrze - powiedział, gdy przyniesiono im lekki posiłek i wino. - Dlaczego przyjęła pani nazwisko Cartwright?

- Bo to moje prawdziwe nazwisko.

- Arabella to również pani prawdziwe imię?

- Nie, to było imię mojej matki. Dlaczego pan mnie wypytuje? Wspomniał pan, że chce mi coś powiedzieć.

- Potrzebuję potwierdzenia moich przypuszczeń. Czy jest pani córką Arabelli i Johna Cartwrightów?

- Nigdy nie znałam imienia mojego ojca. Czy naprawdę to nie lord Risley pana przysłał?

- Ma pani na to moje słowo. - Major wyjął z niewielkiej walizki portret. - Czy poznaje pani tę osobę?

Madeleine przygarnęła obraz do siebie. Patrzyła na nią znajoma z dzieciństwa twarz. Stało jej przed oczami niewielkie mieszkanie nad pracownią krawiecką, gdzie jej matka długie godziny spędzała nad kolejnymi kreacjami. Mama miała piękny uśmiech; była to jedna z rzeczy, które Maddy pamiętała najlepiej. Uśmiech i miękki, szlachetny głos.

- Wygląda jak portret mojej matki - powiedziała cicho. - Skąd pan go ma?

- Od księżnej Loscoe. Namalowała go dwadzieścia pięć lat temu. Gdy powiedziałem jej, że szukam Arabelli Armitage, przypomniała sobie o nim i znalazła go dla mnie.

Księżna. A więc nawet księżna pomagała ujawnić przeszłość rodziny Madeleine i udowodnić, że hrabia nigdy nie istniał.

- Arabella Armitage?

- Tak brzmiało nazwisko pani matki przed ślubem.

- Nie wiedziałam o tym. - Zastanawiała się, skąd bierze się pewność majora. - Mama nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości, chociaż czasami wspominała jazdę konną na wsi, gdy była małą

dziewczynką, oraz pannę Gunnery, którą znała i kochała. Panna Gunnery chyba była szkolną nauczycielką, bo mama mówiła o tym, czego się od niej nauczyła.

Na twarzy majora pojawił się uśmiech.

- Panno Charron, właśnie potwierdziła pani, że jestem na właściwym tropie. A może powinienem panią nazywać panną Cartwright?

- Jak pan woli, majorze, ale wystarczy Madeleine. Znow się uśmiechnął.

- Panna Gunnery nie była nauczycielką szkolną. Pani mama nigdy nie chodziła do szkoły, uczono ją w domu. Czy wspominała, gdzie ten dom się znajdował?

- Gdzieś na wsi, zapewne w Hertfordshire.

- Jestem już najzupełniej pewien, że jest pani osobą, której szukam, a ściśle rzecz biorąc, córką tej osoby.

- Osobą, której pan szuka?

- Panno Cartwright, powiedziała pani lordowi Risleyowi i innym, że pani matka nie żyje. Czy to prawda?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. A więc jednak jego misją było dowieść jej oszustwa. Minęła się z prawdą tylko w tym, że miała dziadka hrabiego oraz że awansowała swego ojca z prostego żołnierza na oficera.

- Nie kłamałabym w takiej sprawie, majorze! Mój świat legł w gruzach, gdy matka zginęła. Nie miałam żadnej innej rodziny.

- Nie taka jest prawda - powiedział major cicho. - Miała pani... ma pani dziadka.

- Nie! - rzuciła ostro. - Wymyśliłam go. Jeśli rozmawiał pan z markizem Risleyem, na pewno pan o tym wie.

- Nie mówię o tym francuskim emigrancie, tylko o pani prawdziwym dziadku, który szuka swojej dawno zaginionej córki i nie wie o jej śmierci. Jestem jednak pewien, że z wielką radością powita wnuczkę.

- Kim on jest? - zapytała Madeleine z napięciem.

- To wicehrabia Armitage. Patrzyła na niego nieruchomo.

- Nie rozumiem.

- Nie dziwię się. - Major zamówił dla Madeleine szklaneczkę brandy, po czym opowiedział jej historię poszukiwań córki wicehrabiego. Wreszcie doszedł do sedna: - Przełomowym momentem było, gdy lord Rislej stwierdził, że portret bardzo przypomina panią. Wiedziałem też, że wychowywała się pani w sierocińcu i dzięki uprzejmości Jej Wysokości dotarłem do stosownych wpisów. Nie znalazłem wprawdzie nazwiska Cartwright, lecz była adnotacja o przyjęciu Madeleine Charron. Według sąsiadki, która przywiozła dziewczynkę, jej matka miała na imię Bella. Chciałem te informacje skonfrontować z panią, lecz pani zniknęła.

- A jak udało się panu mnie odnaleźć?

- Zajmuję się poszukiwaniami już od wielu lat i mam całą armię informatorów i wywiadowców, którzy dostali instrukcje, by informować mnie natychmiast, gdy usłyszą gdzieś nazwisko Cartwright. Przed dwoma dniami jeden z nich przesłał mi wiadomość, więc natychmiast tu przyjechałem, spodziewając się zobaczyć pani matkę.

Maddy napiła się brandy, ale alkohol jej nie uspokoił. Nadal drżała i czuła zamęt w głowie.

- Nic z tego nie rozumiem. Czy chce mi pan powiedzieć, że mam rodzinę? Prawdziwą rodzinę?

- Oprócz dziadka ma pani jeszcze ciotki i kuzynów. - I mój dziadek naprawdę jest wicehrabią?

- Tak. Jest stary i chory i martwi się, co się stało z jego córką. Nie mam wątpliwości, że wiadomość o jej śmierci będzie dla niego ciężkim przeżyciem, ale spotkanie z panią powinno złagodzić szok.

- Tak...

- Musimy ruszyć do niego jak najszybciej. Jego dom, Pargeter House, znajduje się na obrzeżach St Albans, możemy więc pojechać londyńskim dyliżansem.

- Będę musiała wziąć urlop z teatru. Major uśmiechnął się.

- Pani życie radykalnie się zmienia, a pani martwi się o pracę. Nie musi już pani zarabiać na życie. Wicehrabia Armitage jest zamożnym

człowiekiem.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Dlaczego zdarzyło się to właśnie teraz? Od wielu lat pragnęła mieć rodzinę. Chciała być kochana i kochać kogoś tak, jak niegdyś matkę. Właśnie dlatego uciekała się do kłamstw. A teraz, gdy już pogodziła się z tym, że została ukarana za oszustwa i musi polegać wyłącznie na sobie, słowa majora Greenaway'a znów wzbudziły zamęt w jej umyśle. Miała szlachetnie urodzonego dziadka i dobre towarzystwo stało przed nią otworem, jeśli tylko tego zapragnie. Była prawdziwą damą.

Pomyślała o Duncanie, który teraz już mógł ją zaakceptować, i wybuchnęła histerycznym śmiechem. Major spojrzał na nią niespokojnie.

- Panno Madeleine... Wiem, że to dla pani szok.

Przestała się śmiać równie nagle, jak zaczęła.

- To prawda, majorze, to prawda...

Głupotą było myśleć o Duncanie Stanmorze. Nawet jeśli nie ożenił się z Annabel Bulford, nawet gdyby przyszedł do niej i błagał, by za niego wyszła, nie mogła się na to zgodzić. Nie chciał jej, gdy była tylko aktorką Madeleine Charron. Gdyby poprosił ją o rękę teraz, gdy okazała się wnuczką wicehrabiego, zyskałaby ostateczny dowód, że status jest dla niego ważniejszy niż miłość. Należało wyrzucić go z myśli i skoncentrować się na chwili obecnej.

Zastanawiała się, jaki jest jej dziadek. Nie lubił jej ojca, nie mogła wykluczyć, że również do niej poczuje niechęć.

- Nie powiedział mi pan nic o ojcu. Czy był żołnierzem?

- Tak, ale nie oficerem. Był poborowym w piechocie, musiał jednak odznaczać się urokiem, skoro zdobył serce pani matki i sprawił, że przeciwstawiła się wicehrabiemu.

- Co się z nim stało?

- Wysłano go do Indii, ale pani matka nie pojechała z nim, była bowiem w ciąży. Niedługo po jego wyjeździe przyszła pani na świat, natomiast pani ojciec zmarł na febrę rok później.

- Zastanawiam się, dlaczego matka nic mi o tym nie powiedziała. Czyżby się go wstydziła? Czy byli nieszczęśliwi?

- Tego chyba nigdy się nie dowiemy. Proszę jednak już o tym nie myśleć. Lepiej skupić się na przyszłości.

Myślenie o przyszłości było dla niej niemal równie trudne jak zastanawianie się nad przeszłością. Jaka przyszłość ją czeka? Czy wicehrabia pozwoli jej nadal występować na scenie, czy też będzie nalegał, by zamieszkała razem z nim? A jeśli nie polubią się od pierwszego wejrzenia? Jeżeli wicehrabia czekał na córkę, może być rozczarowany, gdy zobaczy jedynie wnuczkę. Może w ogóle nie zechce jej poznać?

- Dlaczego pani się waha? - zapytał major.

- Jestem tym, kim jestem, i to, co pan mi powiedział, niczego nie zmienia. Doskonale się czuję jako aktorka i jestem w tym dobra.

- Nie zaprzeczam, ale pani dziadek jest już wiekowy i zapewne nie pożyje długo. Mogłaby pani rozjaśnić jego ostatnie dni. Tylko od pani zależy, co robi pani potem.

Nie mogła temu zaprzeczyć, toteż następnego ranka poprosiła w teatrze o urlop, major zaś zajął się zakupem biletów na dylizans.

- Duncanie, co się z tobą dzieje? - zapytała księżna. - Nigdy jeszcze nie widziałam cię w tak ponurym nastroju. Mam nadzieję, że nie rozpaczasz po pannie Bulford?

- Dobry Boże! Nie, mam, z całego serca życzę jej szczęścia. Benowi zresztą też.

Siedzieli w bawialni. Książę wyjechał do Westminsteru, a na popołudnie księżna zaplanowała spotkanie dam z komitetu opieki nad sierocińcem. Duncan wiedział, że przed ich przybyciem czeka go poważna rozmowa z macochą. Dobrze znał ten wyraz determinacji, przed którą nie było ucieczki.

- W takim razie co cię martwi, mój drogi?

- Nic. Będę się cieszył, gdy wrócimy na wieś i wreszcie będę miał coś do roboty. To wszystko.

- Nie, to nie wszystko. Chodzi o pannę Charron, tak?

- Tak, mam - przyznał niechętnie. - Chciałbym wiedzieć, co się z nią dzieje. Może jest w kłopotach, może miała wypadek, może nawet nie żyje.

- Sądzę, że gdyby coś takiego się zdarzyło, usłyszelibyśmy jakieś pogłoski. Ciekawa jestem, co Donald Greenaway odkrył w Yorku.

Duncan z zaskoczeniem podniósł głowę.

- A co mógł tam odkryć? Pojechał przecież szukać Arabelli Cartwright.

- Wiem, ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że „charron” po francusku oznacza to samo, co po angielsku „cartwright”?

Duncan uderzył się ręką w czoło.

- Jak mogłem być tak głupi! Powinienem był o tym pomyśleć już wtedy, gdy zauważyłem podobieństwo Madeleine do osoby z portretu. Skąd jednak imię Arabella?

- Wiesz o tym, że major prosił mnie, bym przejrzała dokumenty sierocińca?

- Tak. Udało ci się coś znaleźć?

- Może coś, a może nic. Panna Charron była jednym z naszych dzieci, a według informacji zapisanych przy jej przybyciu jej matka miała na imię Bella.

- Mamo, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Przepraszam. Sądziłam, że wyrzuciłaś ją z myśli. Sam tak mówiłaś.

- Nigdy! Muszę ją znaleźć, muszę jej powiedzieć, że jest mi wszystko jedno, kim jest albo kim nie jest. Zamierzam się z nią ożenić, a jeśli ty i ojciec się nie zgodzicie...

- Duncanie, moja zgoda nie jest ci do niczego potrzebna. Jesteś dorosłym mężczyzną i sam powinieneś wiedzieć, czego chcesz. Jestem pewna, że ojciec również ci to powiedział.

- Owszem, ale zaznaczył przy tym wyraźnie, że nie zaakceptuje pomocy kuchennej.

- Jesteś wobec niego niesprawiedliwy. Troszczy się tylko o twoje szczęście, podobnie jak ja. Trudności, jakim musiałbyś stawić czoło, byłyby znaczne, ale jeśli ona naprawdę jest wnuczką wicehrabiego...

- Muszę natychmiast wyjechać do Yorku! - oświadczył z rozjarzonym wzrokiem.

Kazał spakować torbę, zaprzęgać do podróznego powozu i ruszył



w drogę. Było mu wszystko jedno, czy Maddy jest wnuczką wicehrabiego czy nie. Kochał ją i chciał ją mieć za żonę.

Choć powóz miał dobre resory i miękko wyściełane siedzenia, podróż wlokła się nieznośnie. Duncan miał wrażenie, że każda zmiana koni trwa wieczność. Z trudem powstrzymywał się, by nie krzyknąć na stajennych. Żałował, że nie potrafi latać.

Wreszcie na horyzoncie pojawiły się wysokie wieże Minster. Powóz musiał zwolnić z powodu ruchu ulicznego, w końcu jednak, w niecałe dwadzieścia cztery godziny od wyjazdu z Londynu, dotarli do gospody Pod Gwiazdą.

Duncan wyskoczył z powozu i natychmiast ruszył w stronę teatru. Nie miał pojęcia, gdzie zatrzymał się Donald, znając natomiast obyczaje Madeleine, był pewien, że mieszka blisko teatru. A czy major nie powiedział mu, że Arabella Cartwright jest aktorką?

Przybył jednak za późno. Inspicjent poinformował go, że panna Cartwright wyjechała rankiem.

- Ale cóż - dodał - przybyła tu tak nagle i można się było spodziewać, że równie nagle wyjedzie. Chyba ma coś do ukrycia.

- Dokąd pojechała? - zapytał zdumiony Duncan.

- Nie mam pojęcia. Wyjechała razem z jakimś wojskowym.

Z majorem Donaldem Greenawayem. Czyżby jego poszukiwania dobiegły końca? Jeśli Arabella Cartwright okazała się wnuczką wicehrabiego Armitage'a, to wiadomo, dokąd pojechali.

Duncan wrócił do gospody. Po podróży był bardzo zmęczony, dlatego wziął pokój, by zdrzemnąć się kilka godzin, zanim wyruszy na południe.

Pomimo wyczerpania leżał z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. Zastanawiał się, czy pościg jest najlepszym pomysłem.

Pragnął znów ujrzeć Madeleine, wziąć ją w ramiona, powiedzieć, że ją kocha, i zapytać, czy zechce za niego wyjść, ale jak przyjęłaby jego przyjazd do domu dziadka? Niemal słyszał jej głos: „Och, a więc teraz, skoro dowiedziałeś się, że jestem szlachetnie urodzona, możesz mi się oświadczyć, tak?”

Jak miał ją przekonać, że to nieprawda? Dlaczego nie oświadczył

jej się wcześniej, nim sytuacja się zmieniła? Gdyby Madeleine poznała prawdę o swoim pochodzeniu już po zaręczynach, nie miałyby to żadnego znaczenia.

Próbował wyobrazić sobie jej przyjazd do Pargeter House i spotkanie z dziadkiem. Zapewne będzie potrzebowała trochę czasu, by przywyknąć do nowego życia. Zawsze pragnęła mieć kochającą rodzinę i na pewno teraz czuje się szczęśliwa. Niczego by nie osiągnął, wpadając tam jak burza. Choć zżerała go niecierpliwość, musiał dać Madeleine trochę czasu. Nie zamierzał jednak wracać do Londynu. Stąd było bliżej do Loscoe Court. Pojedzie więc tam i napisze do niej list. Przeleje swe myśli na papier i poprosi ją o spotkanie.

Niepotrzebnie martwiła się o to, jak będzie wyglądało jej spotkanie z dziadkiem. Przyjęto ją w Pargeter House niezwykle ciepło. Staruszek był kruchy, ale zachował bystry umysł. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną, choć teraz włosy miał zupełnie białe, a dłonie, które pochwyciły jej dłonie, były wychudzone i pokryte węzłami żył.

- Moje dziecko - powtarzał. - Moje dziecko wróciło wreszcie do domu.

Wystraszyła się, że myli ją z matką, ale zaraz wyjaśnił:

- Jesteś bardzo podobna do Arabelli, tylko włosy masz nieco jaśniejsze. Ona była kruczoczarna. Musisz opowiedzieć mi wszystko o sobie, ale nie teraz. Zmęczyły mnie te emocje i muszę odpocząć. Pani Danby zajmie się tobą.

Madeleine ucałowała dziadka w policzek i wyszła z pokoju. Major Greenaway wypełnił swoje zadanie i przygotowywał się do odjazdu. Pożegnała się z nim z dziwnym uczuciem. Major był jej znajomym, kimś, kto należał do poprzedniego życia, w jego towarzystwie czuła się swobodnie. Teraz jednak musiała sobie sama radzić, lecz nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

Kolejne dni, choć bardzo aktywne, były jak sen. Madeleine poznawała służbę. Niektórzy z nich pracowali u wicehrabiego od tak dawna, że pamiętali jej matkę. Zwiedziła każdy zakątek wielkiego,

dobrze umeblowanego domu, i słuchała opowieści o matce od starej pani Gunnery, która zajmowała apartament na drugim piętrze, choć już dawno wiodła żywot emerytki. Ze smutkiem przyjęła wiadomość o tragicznej śmierci swej podopiecznej, ale nie rozwodziła nad tym, by nie wytrącać Maddy z równowagi.

- Czuję się tak, jakby nasza najdroższa Bella znów wróciła do domu - powiedziała. - Mam nadzieję, że teraz, gdy jest pani z nami, milord wróci do zdrowia. Przez wszystkie te lata bardzo go przygnębiał brak jakichkolwiek wieści od pani mamy.

- Przecież wyrzucił ją z domu...

- To prawda, ale natychmiast tego pożałował, choć trzeba było kilku lat, by to przyznał wobec innych. A gdy to wreszcie zrobił, Bella zniknęła. Widzi pani, ojciec i córka byli podobni do siebie, dumni i uparci. Gdy wicehrabia uświadomił sobie, że Bella nie wróci do domu z własnej woli, wydał setki funtów na poszukiwania. I oto znalazł panią. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Madeleine również trudno było w to uwierzyć. Przez cały czas miała zamęt w głowie.

- Lord jest bardzo słaby - powiedziała. - Boję się, że moje nagłe przybycie było dla niego zbyt wielkim wstrząsem. Nie wiem też, co mam mu o sobie powiedzieć. Nie żyłam jak dama, nie zawsze przedstawiałam własną sytuację zgodnie z prawdą. To może go zdenerwować.

Pani Gunnery łagodnie położyła dłoń na jej ramieniu.

- Major Greenaway opowiedział mi trochę o pani. Owszem, nie żyła pani zgodnie z konwenansem, ale żadna hańba pani nie plami, jak zapewniał major. Zresztą po ucieczce Belli z tym... nic dla milorda nie może być gorsze.

- Mój ojciec...

- Po prostu był pani ojcem, a co było, minęło. Myślę, że powinna pani opowiedzieć o wszystkim wicehrabiemu. Jest silniejszy, niż się wydaje.

Tak też zrobiła. Opowiedziała o wszystkim, zaczynając od życia z matką i jej nagłej śmierci. Mówiła o sierocińcu - powiedziała, że nie

było tam tak źle - i o latach spędzonych na służbie. Wicehrabia wykoncypował z jej słów, że pracowała jako pokojówka, co w jego oczach i tak było wystarczająco okropne, toteż nie wyprowadzała go z błędu, nie wspomniała też o postępku lorda Bulforda. Opowiedziała, jak została aktorką i nie zataiła nawet historii o francuskim dziadku.

- W tym jesteś podobna do matki. - Uśmiechnął się. - Też lubiła wymyślać różne historyjki. Jednak wróciłaś do domu i nie musisz już niczego udawać. Możesz mieć wszystko, czego zechcesz, jeśli tylko w mojej mocy leży, by ci to dać.

Nie mógł jednak dać jej tego, czego pragnęła najbardziej, czyli bezwarunkowej i bezgranicznej miłości Duncana. Podczas podróży major powiedział jej, że markiz nie oświadczył się Annabel Bulford i że ta zaręczyła się z Benedictem Willoughbym. Ta wiadomość zdziwiła Madeleine, choć tak naprawdę była bez znaczenia.

- Niczego nie potrzebuję, dziadku - odrzekła.

- Pozwól, że ja to osądzę. Czy miałaś już swój bal debiutancki? Oczywiście, że nie. Musimy poczynić plany na przyszły rok.

- Nie, błagam, proszę tego nie robić. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem na to za stara. Poza tym wszyscy znają mnie jako aktorkę i powiedzieliby, że przewróciło mi się w głowie. Umarłabym z upokorzenia.

- To jak znajdziemy ci męża? A musimy to zrobić.

- To samo mówił pan Belli - wtrąciła pani Gunnery bezceremonialnie - i do czego to doprowadziło? Zamiast zaakceptować pański wybór, uciekła z pierwszym lepszym mężczyzną, który zasypał ją pochlebstwami. Z pewnością nie chciałby pan popełnić tego samego błędu po raz drugi.

- Tak, tak... - Wicehrabia spojrział na Maddy. - Mam nadzieję, że nie romansujesz z żadnym żołnierzem?

- Nie, dziadku. W moim życiu nie ma żadnego mężczyzny.

- To znaczy, że będziemy mieli dość czasu, a ja mogę cię zatrzymać przy sobie nieco dłużej.

Dla wicehrabiego Armitage'a było oczywiste, że jego wnuczka

zamieszka w Pargeter House i Madeleine na jakiś czas zaakceptowała ten układ. Była tu kochana i rozpieszczana, a poznawanie nowego otoczenia okazało się dobrym lekarstwem na zmartwienia. Spełniło się też jedno z jej marzeń, bo gdy hrabia dowiedział się, że Maddy nie umie jeździć konno, kazał udzielać jej lekcji na spokojnej klaczy.

- Twoja mama doskonale jeździła.

O tym Madeleine również nie wiedziała.

Opuszczając rodzinny dom, Bella zostawiła strój jeździecki. Zapewne wiedziała, że nie będzie miała okazji go nosić w swym nowym życiu. Strój doskonale pasował na Maddy. Londyńskie elegantski uznałyby go za niemodny, ale był piękny, uszyty z ciężkiej granatowej tafty, z poszerzonymi ramionami i dopasowany w talii. Nosiło się go z białym koronkowym fularem i wysokim męskim kapeluszem z małą woalką. Ten kostium bardziej niż cokolwiek innego uświadomił Madeleine, jak bardzo zmieniło się jej życie.

Szybko się uczyła, po raz kolejny dowodząc, że jest córką swej matki. Tak w każdym razie twierdził dziadek, w którego wstąpiło nowe życie. Jego oczy nabrały blasku, a głos brzmiał mocniej. Nadal jednak był tak słaby, że ubierano go jedynie na godzinę każdego popołudnia. Posyłał wówczas po Maddy i rozmawiali o jej matce albo czytała mu gazety, które codziennie docierały z Londynu.

Gdy spał, przeglądała kolumny towarzyskie, poszukując nowin o Duncanie, ale znajdowała tylko wiadomości o swoim nagłym awansie społecznym i spekulacje, czy zjawi się w Londynie i zajmie swe miejsce wśród wysoko urodzonych. Pełni nadziei kawalerowie ustawiali się już w kolejce do jej ręki, ale na widok takich doniesień Madeleine tylko uśmiechała się krzywo. Przewróciła kartkę i zatrzymała wzrok na rubryce teatralnej, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze stanie na scenie. Napisała do Marianne. Opowiedziała jej o nowych okolicznościach i pytała o starych przyjaciół, ale nie otrzymała jeszcze odpowiedzi.

Wreszcie dostała list, lecz nie od Marianne, ale od Duncana Stanmore'a. Usiadła w swoim pokoju zaczęła czytać:

*Moja najdroższa miłości!*

*Major Greenaway napisał mi, że odnalazłaś rodzinę, czego szczerze Ci gratuluję. Wiem, że nie rozstaliśmy się w przyjaźni, ale nie zmieniło to siły uczucia, jakie do Ciebie żywiłem i nadal żywię. Żałuję tylko niezmiernie, że nie przekonałem Cię o tym wcześniej, nim rozniosły się wiadomości o zmianie Twojej sytuacji. Kochałem aktorkę Madeleine Charron. Kochałem w niej wszystko: urodę, talent, sposób bycia, empatię i niezależność, nawet gdy ta niezależność stawiała się przeszkodę między nami. Jestem pewien, że równie mocno kocham pannę Cartwright, jest bowiem tą samą osobą, panią mego serca. Błagam, byś zechciała do mnie napisać i wyrazić zgodę na spotkanie, a przekonam cię o tym osobiście.*

*Twój oddany sługa Duncan Stanmore*

Przez długi czas siedziała nieruchomo, patrząc przez okno na park otaczający dom. Duncan już w Londynie mówił jej, że ją kocha, lecz gdy dowiedział się, że była pomocą kuchenną, a dziadek arystokrata nigdy nie istniał, jego miłość nagle natrafiła na bariery. Co zmieniło się teraz? Jedynie jej pozycja w oczach wielkiego świata. A czymże to było? Bezwartościową błyskotką, podobną do fałszywych brylantów, które nosiła na scenie. Z pewnością nie stała się od tego lepszą osobą. Jej życie było bardziej wartościowe, gdy pracowała jako aktorka. Nadal była aktorką i mogła nią pozostać.

Choć rozsądek mówił jedno, to serce podpowiadało drugie. Kochała Duncana i wiedziała, że nigdy nie przestanie go kochać. Pragnęła znów go ujrzeć. Czy więc powinna napisać mu, by przyjechał i spróbował ją przekonać o szczerości swych uczuć? Cóż mogło być w tym złego? A jeśli wątpliwości pozostaną? Och, ta nieustanna niepewność, ta głupia duma, która nie pozwalała jej się pozbyć starych uprzedzeń bez walki. Lecz o cóż miała walczyć? Czy nie lepiej przyjąć jego słowa za prawdę? Czy mogła jednak zostawić dziadka, dla którego jej obecność znaczyła tak wiele? Usłyszała pukanie do drzwi.

- Maddy, chodź szybko. - W progu stała pani Gunnery. - Milord czuje się gorzej i kazał cię zawołać.

Madeleine zerwała się na równe nogi i pognąła do wicehrabiego. List zsunął się na podłogę. Przypomniała sobie o nim dopiero po kilku dniach, a wówczas już wiedziała, że nie może opuścić dziadka, dopóki jej potrzebuje.

Jazda konna zawsze sprawiała Duncanowi ogromną przyjemność, a teraz stała się jego jedyną rozrywką. Samotnie przemierzał wrzosowiska, dopóki zmrok lub deszcz nie sprowadziły go znów do domu. Wówczas zamykał się w pokoju, zgarniał pocztę ze srebrnej tacy w holu i przerzucał listy, szukając koperty zaadresowanej ręką Madeleine.

- Martin, czy jesteś pewien, że to cała poczta? - wołał, zdejmując strój do jazdy konnej.

Martin wyłaniał się z kuchni albo bawialni, gdzie zajmował się codziennymi obowiązkami.

- Tak, milordzie. Dokładnie wypytałem listonosza. Duncan indagował o pocztę każdego dnia, ale oczekiwany list nie nadchodził. Dlaczego nie odpowiadała? Mogła przecież napisać cokolwiek. Nawet krótkie „nie” byłoby lepsze niż nic. Skoro jednak w jej oczach nie zasługiwał nawet na lakoniczną odpowiedź na list, to lepiej mu było bez niej...

Po zakończeniu sesji parlamentu i sezonu towarzyskiego księstwo zjechało na wieś, przywożąc z sobą na resztę wakacji chłopców oraz Lavinie i jej dzieci. Zamiast roześmianego, swobodnego w obejściu brata Lavinia ujrzała ponurego, zamkniętego w sobie milczka. Po dwóch dniach uznała, że już dłużej tego nie zniesie.

- Duncanie, natrę ci uszu, jeżeli nie otrząśniesz się w końcu z tego ponurego nastroju.

- A co byś mi radziła?

- Jedź do niej, porozmawiaj z nią. Dziwię się, że nie zrobiłeś tego już dawno.

- Z kim? - zapytał z głupia frant. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Och, daj spokój! Nie mam już do was cierpliwości. Ty i Madeleine jesteście tak samo dumni i uparci.

- Nie w tym rzecz, Vinny. Dałem jej tylko czas, by przywykła do odzyskanej rodziny. Na pewno czuje się nieswojo. Przecież nie mogę tam wpaść jak słoń do składu porcelany.

- Naprawdę nie wiesz, że wicehrabia Armitage zmarł?

- Nie... Jesteś tego pewna?

- Czytałam w gazecie tuż przed wyjazdem z Londynu.

- Biedna Maddy! Muszę do niej pojechać.

Śmierć wicehrabiego była dla Madeleine głębokim wstrząsem. Wiedziała, że dziadek był chory i przedwcześnie postarzały, wierzyła jednak pani Gunnery, która zapewniała, że milord wróci jeszcze do zdrowia, bo bardzo chciała w to wierzyć. On jednak odszedł, zaledwie zdążyła go poznać.

- Ciesz się, że w ostatnich swych dniach zaznał radości - rzekła pani Gunnery, gdy czekały, aż mężczyźni wrócą z pogrzebu. - Osiągnął spokój. Teraz jest razem z twoją mamą, wreszcie spokojny i szczęśliwy.

Madeleine pragnęła wziąć udział w uroczystości i pożegnać dziadka przy grobie, ale powiedziano jej, że taka ceremonia jest zbyt stresująca dla wrażliwej kobiety, pozostała więc w domu w towarzystwie pani Gunnery oraz licznych kuzynek Dalekich kuzynek, które zjawily się tu tłumnie. Poza żałobnymi strojami łączyła je ciekawość, jak wicehrabia rozporządził swoim majątkiem. Nie miał syna, który byłby jego naturalnym dziedzicem w męskiej linii, pojawiła się jedynie wnuczka. Madeleine widziała, jak kuzynki taksującym wzrokiem wiodły po obrazach i innych wartościowych przedmiotach, zapewne przeliczając je na funty.

- Mimo wszystko czuję się zagubiona - przyznała.

- Wszyscy się tak czujemy. Pomimo swej dumy wicehrabia był dobrym człowiekiem. Będzie nam go brakowało.

- Co pani teraz robi?

- Mam dożywotnią rentę, więc doskonale sobie poradzę. Za to martwię się o ciebie.

Madeleine udało się uśmiechnąć.

- Potrafię sama się utrzymać. Robiłam to od dwunastego roku



życia. Proszę się o mnie nie obawiać.

Pani Gunnery rozszlochała się. Madeleine próbowała ją pocieszyć, ale w tej właśnie chwili wrócili mężczyźni. Zostawili w holu kapelusze przewiązane czarnymi wstążkami i weszli do bawialni. Madeleine zaproponowała im coś do picia. Przytaknęli, nie patrząc na nią, jakby była służącą. Nie winiła ich; była tu intruzem. Przed odczytaniem testamentu wysunęła się z bawialni, przekonana, że nic tam dla niej nie ma. Miała tylko nadzieję, że ten, kto odziedziczy posiadłość, pozwoli jej zabrać jakiś niewielki drobiazg na pamiątkę.

Poszła do swojego pokoju. Spakowana torba czekała przy drzwiach. Było w niej tylko to, co Madeleine przywiozła z sobą, oraz strój jeździecki jej matki, który otrzymała w podarunku. Usiadła przy biurku, które kiedyś należało do jej matki, i napisała pożegnalny list do pani Gunnery, obiecując, że odezwie się znów, gdy tylko poukłada swoje życie. Napisała też do ochmistrzyni z podziękowaniami dla służby za miłe przyjęcie, i opuściła dom dziadka. Nikt nie zauważył jej odejścia.

Do wioski, przez którą codziennie przejeżdżało kilka dyliżansów do Londynu, było niedaleko. Teraz znów była panną Madeleine Charron, aktorką. Coś jednak się zmieniło: nie była już oszustką i nie czuła się zgorzkniała. Lekkim krokiem szła na spotkanie swojej przyszłości.

Dochodząc do Peahen, zobaczyła zbliżający się drogą zgrabny powóz, który wjechał na dziedziniec gospody. Posługacze rzucili się do wyprzęgania koni, a w chwilę później ze środka wyszedł pasażer.

Markiz Risley był ostatnią osobą, jaką Madeleine spodziewała się tu ujrzeć. Stała jak wmurowana. Na jego przystojnej twarzy widać było determinację i napięcie.

- Madeleine! - Podeszedł do niej z uśmiechem.

Nie wiedziała, rzucić mu się w ramiona czy uciec jak najdalej. To wahanie omal nie stało się przyczyną jej zguby. Nie usłyszała parsknięcia konia i krzyku stangreta. Duncan rzucił się na nią i odepchnął spod kopyt wielkiego konia, który stanął dęba. Zobaczyła kopyta uniesione nad głową Duncana. Kolana ugięły się pod nią,

niebo pociemniało.

Gdy oprzytomniała, leżała na sofie w gospodzie, a Duncan siedział obok niej i trzymał ją za rękę. Spróbowała się podnieść, jednak łagodnie pchnął ją z powrotem.

- Nie ruszaj się, kochana. Przeżyłaś okropny wstrząs.

Uśmiechnęła się blado.

- Tak. Gdy zobaczyłam, że wysiadasz z tego powozu, przeżyłam wstrząs, który każdego mógłby pozbawić przytomności.

- Nie o tym mówię. Niewiele brakowało, a koń uderzyłby cię kopytem. Nie słyszałaś go za plecami?

- Nie. Patrzyłam na ciebie. - Po chwili dodała: - Uratowałeś mi życie. Myślałam, że trafił cię w głowę.

- Szczęśliwie nie trafił. Powiedz, jak się czujesz? Nic ci się nie stało?

- Nic, jestem tylko w szoku. Co tu robisz?

- Przyjechałem po ciebie.

- Po mnie?

- Byłem już zmęczony czekaniem, aż po mnie przyślesz. -

Uśmiechnął się. - Skoro góra nie przysłała do Mahometa, to Mahomet przyszedł do góry.

- Przepraszam, że nie odpowiedziałam na twój list. Nie zamierzałam kazać ci czekać, ale dziadek...

- Wiem, i jest mi ogromnie przykro. Długo nie nacieszyliście się sobą... Powiedz mi jednak, dokąd się wybierałaś? Na pewno jesteś potrzebna w domu.

- Nie. - Uśmiechnęła się smętnie. - Dzisiaj był pogrzeb dziadka i cała rodzina zjechała się jak stado sępów. Nie mogłam znieść tego widoku. Ogromnie się cieszę, że przed śmiercią zdążyłam go poznać, ale to wszystko. Nadal jestem aktorką Madeleine Charron. A zanim powiesz, że jestem wnuczką wicehrabiego, wiedz, że to niczego nie zmienia.

- Nie, moja droga. Nawet na jotę. - Czule ujął jej dłoń. - Jesteś dzieckiem, które nigdy nie poznało ojca i wcześniej straciło matkę, a potem w trudzie i znoju wybiło się na wspaniałą artystkę. Jesteś

silna i dzielna, i za to cię kocham. Za to, kim jesteś, a nie za to, czyją córką czy wnuczką jesteś. Uwierzysz mi wreszcie?

- Jesteś tego pewien? - zapytała z trudem.

- A niech to! - wykrzyknął Duncan. - Sądziłaś, że napisałem ten list dla zabawy? Przesiedziałem nad nim wiele godzin. Mówię śmiertelnie poważnie. Chcę, żebyś za mnie wyszła. I chcę usłyszeć, że również mnie kochasz.

Milczała.

- Madeleine, błagam, przerwij w końcu moje tortury!

- A czy uwierzyłybyś mi, gdybym powiedziała, że nie? Poza tym jak możesz wierzyć choćby w jedno moje słowo? Jestem aktorką i doskonale umiem oszukiwać.

- Nie drażnij się ze mną.

- Nie drażnię się, ale muszę wiedzieć, że mi to wybaczyłeś. Nigdy nie powinnam była wprowadzać cię w błąd.

- Co mam ci wybaczać? Po prostu cię rozumiem. Twoja samotność, twoje pragnienia, by choćby w imaginacji mieć rodzinę... Ja mam wszystko, syty głodnego ponoć nie zrozumie. .. A jednak cię rozumiem, kochanie.

- Naprawdę?

- Uwierz mi, błagam.

- To nie wszystko. Muszę ci wyznać całą prawdę.

Duncan czekał, przygotowując się w duchu na to, że usłyszy, iż Henry Bulford ją zgwałcił. Gdy opowiedziała mu całą historię, odetchnął z nieskrywaną ulgą, zarazem jednak powiedział z furią:

- Powinienem zabić padalca! Wyzwać na pojedynek. Nie, kazać sługom wybatożyć na śmierć!

- To już nie ma znaczenia, bo wszystko się w końcu poukładało. Znalazłam dziadka. - Roześmiała się. - Prawdziwego. I nawet gdyby był tylko biednym robotnikiem, byłabym równie szczęśliwa.

- Wiem, kochanie, i myślę podobnie. Co cię więc powstrzymuje przed zgodą na małżeństwo?

- Duncanie, nie widzisz tych przeszkód? Jak markiz, spadkobierca księcia, może ożenić się z aktorką? Nie stanę się przyczyną

rozdźwięku między tobą a twoją rodziną. Na to nigdy się nie zgodzę. Gdy zobaczyłam cię w parku w otoczeniu tych wszystkich dzieci, wiedziałam, że nigdy nie byłabym w stanie odebrać im ciebie. Właśnie wtedy postanowiłam wyjechać z Londynu.

- Wywołałaś spore zamieszanie, ale teraz wreszcie cię znalazłem i nie ma takich przeszkód, których nie moglibyśmy przezwyciężyć. Moja rodzina stanie za nami murem, masz na to moje słowo. Będą szczęśliwi z naszego powodu. A jeśli chodzi o salony... Nie obchodzi mnie, co różni dżentelmeni i damy będą gadać po kątach, skoro będę miał to, czego pragnie moje serce!

Po twarzy Madeleine płynęły łzy. Duncan otarł je delikatnie.

- Dlaczego płaczesz, najdroższa?

- Bo po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę szczęśliwa.

- Och, Maddy...

Pocałował ją delikatnie, ona jednak gwałtownie zarzuciła mu ramiona na szyję. Stopieni w jedno, przeżyli cudowną, mistyczną chwilę, która otworzyła przed nimi wrota przyszłości. Wspólnej przyszłości.

W końcu odsunęli się nieco od siebie.

- Obyś nigdy więcej nie zaznała smutku. I nie zaznasz go, obiecuję na wszystko, co najświętsze, Madeleine. - Zsunął się z krzesła. - Klękę przed tobą i nie wstanę, dopóki nie zgodzisz się za mnie wyjść.

Roześmiała się.

- Wstań, Duncanie, podłoga jest bardzo zakurzona.

- A więc?

- Oczywiście, że tak. Jak możesz w to wątpić?

- Moja najdroższa! Będziemy bardzo szczęśliwi. - Usiadł obok niej i znów ją pocałował.

Pukanie do drzwi przywróciło ich do rzeczywistości. W drzwiach stał oberżysta, przed nim sługa z jedzeniem i winem. Chłopak nakrył stolik przy oknie, po chwili znów byli sami.

- Teraz będziemy jeść i pić - powiedział Duncan. - A potem poczynimy plany.

Maddy z wielkich emocji nie czuła głodu, jednak dała się namówić na skosztowanie doskonałego posiłku. Z opóźnieniem zdała sobie sprawę, na co się zgodziła, i poczuła strach. Duncan pojmował ją doskonale. Nakrył dłonią jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, kochana. Obiecuję ci to.

- Być może...

- Żadnych wątpliwości! Dokąd się wybierałaś, gdy cię spotkałem? Z powrotem do Londynu?

- Tak. Miałam nadzieję, że pan Greatorex przyjmie mnie znów do siebie.

- Byłby głupcem, gdyby tego nie pragnął, ale... - Urwał. Nie chciał psuć nastroju, musiał jednak poznać prawdziwy stan rzeczy w Pargeter House. - Czy wicehrabia Armitage nie zostawił ci nic w testamencie?

- Nie sądzę. Bierzesz więc pannę bez posagu.

- Dobrze wiesz, że nie o tym mówię - odrzekł gwałtownie, zauważył jednak błysk w fiołkowych oczach i zrozumiał, że Madeleine podpuszcza go perfidnie. Uświadomił sobie, że nigdy nie będzie wiedział na pewno, kiedy ona mówi poważnie, a kiedy tylko żartuje sobie z niego.

- Wiem. Cały ten tłum kuzynek i kuzynów patrzył na mnie jak na intruza. I w jakimś sensie tym intruzem byłam, ale to już nie ma znaczenia. Dziadek był chory, gdy tu przybyłam, i z pewnością nie zdążył zmienić przed śmiercią testamentu, więc wyjechałam. To był tylko krótki epizod w moim życiu. Pokochałam dziadka, zaprzyjaźniłam się z panią Gunnery, i nikt mi tego nie odbierze. A reszta jakby nie istniała.

- Tak mi przykro, Madeleine.

- Niepotrzebnie, bo nic nie idzie na marne. Sam wiesz, że doświadczenia wykuwają nasz charakter i myślę, że udało mi się trochę zmądrzeć. - Uśmiechnęła się. - A poza tym nauczyłam się jeździć konno.

- Naprawdę?

- Dziadek tak zarządził. Dostałam łagodnego konia i dobrego

instruktora, i bardzo polubiłam siedzieć w siodle.

Duncan uśmiechnął się szeroko.

- Zobaczysz, jak będziemy szaleć na wrzosowiskach wokół Loscoe Court. Jeśli się zgodzisz, to pojedziemy najpierw tam. Cała moja rodzina jest już na wsi, a oni powinni dowiedzieć się pierwsi.

W powozie Madeleine zaczęła drzeć niepohamowanie. Duncan opiekuńczo otoczył ją ramieniem.

- Z całą pewnością Madeleine Charron, wielka aktorka, która bez zmrużenia oka stawiała przed tysiącami widzów, nie może drzeć na myśl o spotkaniu z garstką ludzi, którzy są do niej przyjaźnie usposobieni. Obiecuję, że moja rodzina nie będzie w ciebie rzucać skórkami z pomarańczy!

Roześmiała się, a po chwili zasnęła w ramionach Duncana. Obudził ją, gdy przejeżdżali przez bramę Loscoe Court.

- Jesteśmy w domu, kochana.

W domu. Brzmiało to tak cudownie! Spojrzała na ogromną budowlę widoczną przy końcu długiego podjazdu i znów zaczęła drzeć. To był wiejski dom księcia Loscoe, któremu miała zostać przedstawiona jako przyszła synowa.

Na dźwięk podjeżdżającego powozu drzwi otworzyły się szeroko i na najwyższym stopniu schodów stanęła księżna, gotowa witać Madeleine. Wprowadzono ją do domu, gdzie cała rodzina przyjęła ją tak ciepło, że aż zakręciło jej się w głowie. Wciąż jednak, jak dręczący komar, nie dawało jej spokoju pytanie: czy byliby równie szczęśliwi, gdyby nie okazała się wnuczką wicehrabiego?

Dopiero Lavinii udało się ugasić jej niepokój. Siedziały w porannym pokoju, czekając na Duncana, który miał zabrać narzeczoną na przejażdżkę konną. Madeleine włożyła strój swej matki. Lavinia stwierdziła, że ogromnie do niej pasuje, a gdy przyszła bratowa milczała zadumana, spytała:

- O czym myślisz?

- Zastanawiam się, co wszyscy na to powiedzą? Czy będą myśleć, że zostałam zaakceptowana w towarzystwie tylko dlatego, że *mój dziadek* był wicehrabię? Czy *sądzisz*, że *Duncan*...

- Dobry Boże! Nic go nie obchodzi twoje pochodzenie. Dla niego ważne jest tylko to, że zgodziłaś się zostać jego żoną. Zresztą wszyscy jesteśmy tego samego zdania. Szczęście Duncana jest dla nas najważniejsze, a jasne jest jak słońce, że to ty jesteś jego szczęściem i nie ma znaczenia, co myśli o tym reszta świata. - Uśmiechnęła się. - Możesz jednak wykorzystać swój nowy status, by mu ułatwić sytuację. Przecież nie ma w tym nic złego, prawda?

- Co masz na myśli?

- Czy zgodzisz się, by przy ogłoszeniu zaręczyn nazwać cię wnuczką zmarłego wicehrabiego Armitage'a? Duncanowi to bez różnicy, jednak jest to prośba jego starszej siostry. Po prostu będzie wam łatwiej.

- Co wy knujecie? - zapytał Duncan, który właśnie zszedł na dół.

Na jego widok serce Madeleine, jak zawsze, zaczęło bić żywiej. Podniosła się i wzięła go za ręce, on zaś pocałował ją w policzek.

- Zastanawialiśmy się, jak powinno brzmieć ogłoszenie o naszych zaręczynach.

- To tylko formalność, moja droga. Zostaw to mnie.

- Czy chcesz powiedzieć całemu światu, że żenisz się z aktorką Madeleine Charron?

- Oczywiście, że tak. Jestem z niej dumny i chcę, by wszyscy o tym wiedzieli. - Zdawał sobie sprawę, że gdyby zasugerował cokolwiek innego, wzbudziłby gniew Madeleine, poza tym chciał jej dowieść, że rzeczywiście tak myśli i że kocha ją bez względu na to, kim ona jest.

- Nie można publicznie ogłaszać nieprawdy, Duncanie. Przecież Madeleine Charron nie istnieje. To pseudonim ze świata teatru, ze świata iluzji - odrzekła Maddy, uważnie wpatrując się w jego twarz. - Kobieta, z którą się żenisz, to Madeleine Cartwright, wnuczka zmarłego wicehrabiego Armitage'a. - Roześmiała się. - A ponieważ właśnie się dowiedziałam, że dziadek jednak zostawił mi niewielki spadek, zasługuję teraz na tytuł prawdziwej damy.

Ujął ją za ramiona. W jej oczach błyszczała miłość. Wiedział, że Madeleine robi to, by mu sprawić przyjemność, a ponieważ jemu z kolei zależało na jej szczęściu, uśmiechnął się czule.

- Jak sobie życzysz, moja pani. Bez względu na to, jak się nazwiesz, dla mnie zawsze będziesz prawdziwą damą.

Nie zauważyli, że Lavinia niczym duszek umknęła z pokoju, zbyt bowiem pochłonął ich pocałunek.

Uznano, że ponieważ Madeleine ledwie zdążyła poznać dziadka, sześciomiesięczna żałoba wystarczy, i ślub odbył się wiosną. Miała to być cicha uroczystość, Lavinia jednak przekonała ich, że cichy ślub stanie się wodą na młyn plotkarzy, więc lepiej zorganizować wszystko jak należy. Poza tym nie mogli się pobrać, nie zapraszając choćby najbliższych przyjaciół, więc czemu nie zaprosić wszystkich? I tak oto ślub stał się wielkim wydarzeniem towarzyskim.

Madeleine ubrana była w suknię z ciężkiej kremowej tafty, przy dekolcie lamowaną jedwabiem. Takim samym jedwabiem obrzeżona była halka sukni wyglądająca spod fałd tafty. Włosy miała zwinięte w węzeł, na którym umocowano długi koronkowy welon z jedwabnymi wstążkami. Duncan również wyglądał doskonale w jasnoszarym surducie, takich samych spodniach i skórzanych butach. W wyrazistych, fiołkowych oczach panny młodej, które patrzyły w jego oczy, błyszczała miłość.

Madeleine nie zwracała uwagi na gości, dopiero gdy msza dobiegła końca, powoli przeszła wzdłuż nawy, wsparta na ramieniu męża. Mężczyźni kłaniali się jej, a kobiety zginały kolana, przyjmując w ten sposób do wiadomości, że mają przed sobą markizę. Z trudem powstrzymywała się od chichotu. Wśród gości były kuzynki, które wcześniej patrzyły na nią z lekceważeniem, a także Benedict i Annabel w towarzystwie lordostwa Bulford, którzy znaleźli się tu na wyraźne życzenie Madeleine. Z wdziękiem skłoniła przed nimi głowę i poszła dalej.

Duncan z uśmiechem szepnął:

- Zemsta jest słodka, nieprawdaż?

Nikt z gości nie rozumiał, dlaczego Madeleine roześmiała się głośno, ale wśród zaproszonych mężczyzn nie było żadnego, który nie zazdrościłby przystojnemu panu młodemu, ani żadnej kobiety, która nie westchnęłaby z zawiści na widok pięknej panny młodej.



SR